PRZEKŁADY

I

RYMY WŁASNE

PRZEKŁADY
I
RYMY WŁASNE

KAROLA KRUZERA.

TOM TRZECI.

WARSZAWA.
Drukiem Emila Skiwskiego.
ulica Elektoralna, Nr. 28.

1876.

Дозволено Цензурою
Варшава 2 Іюля 1876 г.

PRZEKŁADY.

Lord Byron.

Parisina.

Lara.

Kaim.

Poezje Ulotne.

Oh! memory with more than Egypt's art,
Enbalming all the sorrows of the heart,
Sits at the altar which she raised to woe,
And feeds the source whence tears eternal flow!

Curran.

O! pamięć, dzielniéj niźli Egipcjanie,
Zabalsamuje każde serca łkanie,
I wznosząc smutkom świątynię, w niéj siada
Podsycać źródło, zkąd wieczna łza spada.

PARISINA

Poemat

LORDA BYRONA.

PANU

SCROPE BERDMORE DAVIS,

Następne Poema,

Poświęca

DAWNY CZCICIEL JEGO TALENTU.

Przyjaciel

BYRON

22 Stycznia, 1816 r.
Londyn.

Przedmowa.

Następne poema osnułem na wypadku opowiedzianym przez Gibbona, w *Starożytnościach Domu Bruńświckiego.* Obawiam się aby w obecnych czasach, dziecinna drażliwość czytelników, nie potępiła podobny przedmiot do poezji.

Dramatyczni poeci Greccy, i niektórzy dawniéjsi Angielscy lepsi pisarze, inaczéj myśleli; z późniéjszych już, *Alfieri* i *Schiller*, byli mego zdania. Wyciąg następny objaśni fakta, na których budowę poematu oparłem. *Mikołaja* III, przezwałem Książęciem *Azo*, bo rzeczywiste jego imię nie podoba mi się.

„Za rządów Mikołaja III, Ferrarę zakrwawiły niesnaski domowe. Ostrzeżony przez jednego ze swych dworzan, Margrabia *Est*, przeświadczył się naocznie o niecnych stosunkach żony swéj *Parisiny*, z jednym z synów swych pobocznych, *Hugonem*, pięknym i dzielnym młodzieńcem. Ścięto im głowy z rozkazu obrażonego małżonka i ojca, któ-

ry ogłosiwszy sromotę swą przed światem, przeżył ich karę. Musiał on cierpieć wielce jeśli wykroczyli, lecz jeżeli skazał niewinnych, boleść jego była dotkliwszą. W obu tych razach, nie godzę się w wymiarze sprawiedliwości, na ojca sąd tak dziki."

(*Rozmaitości Gibbona*, T. III, k. 470).

PARISINA. (1)

I.

Oto godzina w któréj śpiew słowika.
Brżmiącą piosenką najgłębiéj przenika.
Oto godzina w któréj kochankowie,
Słodkie przysięgi szepcą w każdém słowie.
W któréj świst wichru, wodospadu szumy,
Samotnikowi szemrzą tęskne dumy.
Na kwiatach perli się kroplista rosa,
Lśniącémi gwiazdy iskrzą się niebiosa,
Woda zapada w ciemniéjsze błękity,
Ciemniéjszą barwą każdy liść pokryty,
A niebo czystsze co chwila się mieni,
Owym pryzmatem pół światła, pół cieni,
Który uroczo duszę tak zachwyca,
Gdy mrok wieczorny srébrzy blask księżyca. (2)

II.

Nie dla słuchania jednak wód szelestu,
Z książęcych progów zbiega Księżna d'Estu
Nie dla patrzania na firmament złoty,
Mknie pokryjomu śród nocnéj ciemnoty.
Jeśli pod drzewem rączy bieg zatrzyma,
To jéj dłoń kwiatów rozwitych nie ima.
Słucha: lecz ucho jéj czeka na dźwięki
Milsze, niż wszystkie słowicze piosenki.
W gąszczy liściastéj przemknęło widziadło,
Serce jéj drgnęło, jéj czoło pobladło.
Szept jakiś z gęstwi musnął nocną ciszę,
Poczerwieniała; pierś jéj ciężko dysze.
Jeszcze chwileczka! — chyżo ona zbieży,
Kochanek przed nią kolanem uderzy.

III.

Co im świat Boży, jego losów dzieje,
Przedstawiające zmienne wciąż koleje?
Co ludzie, ziemia, niebo tak ponętne?
Dla nich to wszystko martwe, obojętne!
Zimni, nieczuli, niby owe ciała,
Z których oddawna dusza uleciała,
Wcale nie troszczą się co ich okala,

Drga im pod stopy, nad głową przewala.
Jakby po świata całego pogrzebie.
Dyszą jedynie dla siebie, przez siebie;
Westchnienia nawet ich rozkoszą zieją;
A rozszalałe serca tak goreją,
Że gdyby ogni tych nie zgasły żary,
Spłonęły-b wkrótce własnémi pożary.
Wspomnienie zbrodni, okrutnémi razy,
Czyż nie zakrwawi im snów tych extazy?
Któż, gdy go miłość czarem swym opęta,
W chwilach zachwytu o trwodze pamięta,
I na znikomość szczęścia się użali?
Lecz ono pierzchło już, znikło w oddali.
I musim ocknąć się, nim postrzeżemy
Że już tak cudnie nigdy nie zaśniemy.

IV.

Rzucając z żalem ustroń niedostępną,
Osłaniającą miłość ich występną,
Mimo nadziei że się ujrzą jeszcze,
Śmiertelnéj trwogi wstrząsają ich dreszcze.
Usta ich blade, sklejone ogniście,
Chciały-b pozostać zlane wiekuiście,
Jakby ostatni raz już się widzieli.
Oblicze Księżny posępnie się bieli

W odblasku nieba, które, drżąca czuje,
Że się już nigdy nad nią nie zlituje.
Zda się jéj lśniąca wstrętnych gwiazd gromada,
Widząc ich winę, wszystkim ją rozgada.
Częste westchnienia, ramiona splecione,
Owym całusem usta ich zlepione,
Stanęli nagle, słychać ciche łkania,
Lecz już wybiła godzina rozstania.
Serca im mdleją, ów dreszcz chłodem ziębi,
Który po zbrodni mrozi je do głębi.

V.

Hugo na łoże swe osamotnione
Legł, pożądając wrząco cudzą żonę.
Lecz ona winna przy małżonka łonie,
Tak wierzącego jéj, złożyć swe skronie.
Nerwowa drgawka ciała jéj zdradzała,
Jak ją w śnie jakaś mara przerażała,
Acz jéj, w obłędach sennego marzenia.
Purpurą śnieżne lica zarumienia.
Czasami z ust jéj imię się wymyka,
Które czuwając, w głąb duszy zamyka.
Przygarnia męża do łona cudnego,
Które kryjomo dysze dla innego.
Ocknięty Książę tkliwémi zaloty,

Mniema że owe to słodkie pieszczoty,
Którym tak niegdyś błogosławił szczérze.
A więc się ciesząc niémi w dobréj wierze,
Roznamiętniony, ledwie że nie szlocha
Nad żoną, co go śpiąc nawet tak kocha.

VI.

Tuli do serca cacko ukochane,
Nadstawia ucho na słówka urwane,
Czemuż drgnął nagle, jakby mu grobowo
Głos archanioła zagrżmiał po nad głową?
Biédny! nie wrzaśnie mu straszliwiéj w duszy
Krzyk, co mu jego sarkofag rozkruszy,
Powołujący przed tron Boga hardo,
Budząc go ze snu którym spał tak twardo.
Biedny! już nic mu, nic mu od téj chwili,
Goryczy życia nigdy nie umili.
Imię to, które z cicha Księżna jąka,
Świadczy o zbrodni jéj, hańbie małżonka.
Jakież to imię ryczy tak mu w łożu,
Jak wściekły bałwan na spienioném morzu,
Który łódź wątłą, rozprysła w kawały
Topi, do reszty gruchocząc o skały?
Taki i w niego straszny cios uderzył.
Czyjeż to imię? o! któżby uwierzył!

Imię Hugona; tak! syna miłości,
Owocu jego niesfornéj młodości,
Dziecięcia niegdyś nadto słabéj Blanki,
Aby odeprzeć Księcia zalecanki.
Która zostawszy przez niego zhańbioną,
Nie była nigdy jemu poślubioną.

VII.

Nagle za sztylet porwał groźnie Azo;
Ale nim z pochwy wydobył żelazo,
Precz go odrzucił: bo choć tak obłudne,
Czyż zamordowałby cacko to cudne!...
Jeśliby jeszcze wiarołomna żona,
Nie spała ufna obok jego łona;
Jeśliby jeszcze, niby u dzieciny,
Nie uśmiechały się ust jéj karminy.
Nie! a co więcéj, nie budzi ją wcale.
Ale w nią wlepił wzrok zapamiętale,
Który-b przestrachem zmroził ją na wieki,
Jeśli-b ocknięta, podnosząc powieki,
Ujrzała nagle blade Księcia czoło,
Ziębiącym potem okroplone wkoło,
I w każdéj kropli co po licu biegła,
Ponury odblask nocnych lamp dostrzegła.

Lecz ona drzémie jak dziecię uśpione,
Nie wié że chwile jéj już policzone.

VIII.

O świcie Azo domowników bada;
Każdy z nich jawne dowody mu składa
Na to, co w duchu on, ach! jak drży, dociec,
Tak! żona zdradza! tak! zbezczeszczon ojciec!
Służebne Księżny długo sprzyjające
Miłostkom pani, ażeby chłoszczącéj
Uniknąć kary, całe brzemie winy,
Walą na barki saméj Parisiny.
Już to nie tajne; przeto wygadały
I co wiedziały, i co nie wiedziały.
Więc najdrobniéjsze zdarzenia, szczegóły,
Stwierdzając prawdę, czarne pasmo snuły.
Rozbite serce Azy, już nie wgląda
W brudy oskarżeń tych, ani ich żąda.

IX.

Lecz Książę w niczém nie lubił zachodu,
Potomek Estów odwiecznego rodu,
Otoczon dworem, w groźnym majestacie,
Zasiadł na tronie w obradnéj komnacie.
Przed nim zbrodniarze: wiosenne ich życie;

Nic nie dorówna wdziękom jéj w rozkwicie!
On rozbrojony — dzwoniąc kajdanami,
Syn na sąd ojca staje przed tłumami.
A jednak winien tak się mu przedstawić,
Wysłuchać co mu groźnie ma objawić.
Hugo zaklęcie milcząc, z dumą w oku,
Czeka spokojnie strasznego wyroku.

X.

Jako on niema, blada, skamieniała,
I Księżna zimno na swój sąd czekała.
Jakże zmieniony los jéj! wczora lśniące
Oczy jéj, siejąc promieni tysiące,
Blaskiem wesela pałac ozłacały,
W którym rycerzy orszak okazały,
Na jéj skinienia na wyścigi śpiesząc,
Służył jéj kornie, pysząc się i ciesząc.
W którym czarowne panie i panienki,
Każdy ruch, słówko, głosu nawet dźwięki,
Naśladowały, czyż je za to winię?
Cudny pierwowzór, Królowę-Mistrzynię.
O! gdyby wówczas oko jéj łzą błysło,
Tysiąc-by mieczów w obronie jéj prysło,
Tysiąc szermierzy w szeregi się zbiegło,

I mszcząc zniewagi jéj, za nią. poległo.
A teraz możeż rozkazać co komu?
Któż ją posłucha, choćby pokryjomu?
Wszyscy grobowo milczą; brwi zmarszczone,
Oczy ich dziko w posadzkę wlepione,
Na piersiach ręce na krzyż powiązane,
Usta uśmiechem wzgardy sfałdowane.
Taki to obraz roztacza przed okiem
Dwór, z całém gronem niewiast, mężczyzn tłokiem.
Lecz on, pieszczota duszy jéj marzenia,
Na lada ruch jéj, lada rzut spojrzenia,
Gdyby nie pęta, byłby ją ocalił,
Choćby w zapasach tych sam się powalił!
Ale kochanek jéj, mimo swéj buty,
Ani drgnie, w silne łańcuchy okuty.
Nie widzi ócz jej, nie! które z rozpaczą,
O! nie nad sobą, ale nad nim płaczą.
A wczora jeszcze powiek jéj żyłeczki,
Na alabastrach ich plącząc niteczki
Ledwie dojrzane — błękitem turkusów,
Roznamiętnionych wzywały całusów.
Dziś te powieki blado siniejące,
Uciskać, zdają się, oczy gasnące,
Które omglone łzą i przerażeniem,
Stanęły słupem pod jego brzemieniem.

XI.

I Hugo nad nią szlochałby rozpacznie,
Gdy-b nie utkwiło weń tyle ócz bacznie.
Gniecie on boleść, a czoło ponura,
Wyniosłéj dumy zasępia mu chmura.
Sromby mu było drżéć w obec drużyny;
Lecz nie śmie spojrzeć na twarz Parisiny.
Pamięć minionych chwil — miłość złowroga, —
Kochanka,— ojca gniew,— obraza Boga, —
Swe położenie, — cnotliwych serc zgrozy, —
Hańba przedśmiertna,— pośmiertny sąd Boży,—
A nadewszystko los jéj nieświadomy, —
Takich to myśli tłoczą go ogromy!
Mógłżeby spojrzeć na jéj lica sine?...
Nie! wzruszonego serca jego winę,
Zdradziły-b groźnie wyrzuty sumienia,
Za wszystkie przezeń doznane cierpienia.

XII.

Azo przemówił:
,,Wczora jeszcze byłem
Szczęśliwym mężem, synem się pyszniłem.
Sen ten uleciał, i zanim dzień skona,

Wraz osierocą mię, i syn i żona.
Na pustelniczy żywot mię skazano.
A więc się godzę z dolą opłakaną!
Któżby inaczéj postąpił jak czynię?...
Kto skruszył łańcuch wiążący nas nynie?...
Nie ja! lecz Fatum tak chciało; grom runie!
Hugo! ksiądz czeka cię, a potém w trunie
Weźmiesz zapłatę za czyn twój niegodny.
Żegnam-ć! idź, pomódl się, synu wyrodny,
Masz do wieczora, przed twoim pogrzebem,
Z tak obrażoném pogodzić się niebem;
A może jeszcze, jeśli to być może,
Rozgrzeszy ciebie miłosierdzie Boże,
Bo tylko ono może ci przebaczy,
Jeśli twym żalem przebłagać się raczy.
Ale na ziemi, o! niéma sposobu,
Znaleść zakąta wspólnego dla obu!
Gdziebądź i jakbądź byśmy się ukryli,
Abyśmy chwilkę po ludzku przeżyli.
Nie będę świadkiem hańby skonu twego,
Lecz ty, bezwstydna! ty patrz na kaźń jego!
Precz, sromotnico! nie moja to wina!
Tyś to zabiła, ty! mojego syna!
Baw się widokiem jego mąk, powtarzam,
Ciesząc się życiem którém cię obdarzam."

XIII.

Rzekłszy to Azo zasłonił swe lice,
W skroniach gwałtownie biją mu tętnice,
Jakby krew wszystka zaparta w żył cieśni,
Miała wytrysnąć z głębin ich boleśnie.
Zwiesiwszy głowę, dłonią swą drgającą,
Oczy przed czernią zakrył szpiegującą.
Hugo wszelako okute ramiona
Wznosi ku ojcu, radby, zanim skona,
Odeprzeć słówkiem jego urągania.
Książę wciąż milczy, lecz mówić nie wzbrania.
„Śmierć mię nie trwoży, rzekł, wszak przy twym [boku,
W najkrwawszych rzeziach dotrwałem ci kroku.
Miecz mój, co w strasznym boju wsparł cię nie raz,
Który twe zbiry wydarli mi teraz,
Nie raz dla ciebie wytoczył krwi zdroje,
Szérsze, niż topór co wyleje moję.
Dałeś mi życie, nie myślę cię żebrać,
Dar nieproszony, możesz go odebrać.
Nie zapomniałem nieszczęść matki biédnéj,
Zdeptaną miłość jéj, sławy ohydnéj,
I na puściznę dziecięcia, w dodatku,
Srom jéj, dziedzictwem przekazany w spadku.
Lecz ona dawno już leży w mogile,

Gdzie się z nią syn ów połączy za chwilę,
Co był twym synem i współzawodnikiem.
Matka zabita okrucieństwem dzikiém,
Mordem twych katów zabite twe dziécię,
Złożą świadectwa w zagrobowym świecie,
O twéj dla piérwszéj kochanki miłości,
I dla jéj syna ojcowskiéj tkliwości.
Ciężkom cię ubódł! nie taję się wcale,
Nie! — za zniewagę zniewaga! — tak! ale
Nowa ofiara dumy twéj, twa żona,
Oddawna dla mnie była przeznaczona.
Wiész o tém! Cudne ujrzawszy jéj wdzięki,
Pozazdrościłeś mi ich, jak i ręki.
I z urodzenia mego drwiąc niegodnie,
Choć tobie chwała należy za zbrodnię,
Raczyłeś uznać w przystępie dobroci,
Że ją małżeństwo ze mną osromoci.
Prawda! nie mogłem z mego położenia,
Wymagać spadku twojego imienia.
A jednak! jeśli-b jeszcze mi zostało
Kilka chwil tylko, imię by me brzmiało
Rozgłosem większym niż Estów zaszczyty,
Acz byłby tylko przezemnie zdobyty.
Miałem miecz, serce mam coby zdołało.
Wywalczyć szyszak może z większą chwałą, (3)
Piękniéjszy może niż wszystkie przyłbice,

Ocieniające twoich Estów lice.
Nie zawsze w gmachach pachole zrodzone,
Wyniosło z boju ostrogi złocone,
A moje nie raz rumaka dzikiego
Pchnęły przed orszak rodu Książęcego,
Kiedym na wrogów nieprzełomne męztwo,
Wpadał z okrzykiem groźnym: „Est! zwycięztwo!"
Nie myślę błagać przebaczenia winy,
Ni u litości twéj, życia godziny.
By czas stulając zwolna me powieki,
Kiedyś je śmiercią zasklepił na wieki.
Chłostana przeszłość ma takiémi burzy,
O! już się dla mnie więcéj nie powtórzy.
Ród mój, jak imię, czarna plama brudzi,
A takich duma twa odpycha ludzi!
A jednak! w rysach mych poznają twoje,
A duch twój całkiem owiał łono moje.
Tyś to rozpalił myśli mych pożogi,
Tyś to!... i czemuż drgnąłeś dreszczem trwogi?
Tak! tyś rozdmuchał serca mego żary,
Tobie dłoń winna ciosów jéj ciężary!
Nie tylkoś życiem darzył mię — dostojnie!
Ale twe wszystko spadło na mnie hojnie.
Mogę cię nazwać moim życiodawco!
Patrz na zalotów twych owoc, łaskawco!
Niebo zesłało-ć nadto podobnego

We wszystkim syna, do ciebie samego.
Nie jest to dusza syna padalicy,
Lecz jak lwa, harda, w nieszczęść nawałnicy!
Życie me, które wydzierasz tak wcześnie,
Zawszem dbał o nie, jak ty, gdy współcześnie,
W przyłbicach, konie gnaliśmy spienione,
Na nieboszczyków ciała sposoczone.
Przeszłość jest niczém, a przyszłości cienie,
Jeno nieuctwa tego powtórzenie!
Czemuż jednakże wówczas nie zginąłem!
Tyś zabił żalem matkę mą, i społem
Biorąc mi żonę skruszył me nadzieje.
Aleś ty ojciec, znam twe przywileje.
I acz twój wyrok okrutny, straszliwy,
Chociaż twój własny, ale sprawiedliwy.
Byłem owocem zbrodni, mrę wyklęty!
Kończę więc zawód mój, jak był zaczęty.
Zniewaga syna jest ojca zniewagą,
Karzesz ich obu społem jedną plagą.
Winniéjszym świat mię nazwie prostodusznie,
Ale Bóg w niebie osądzi nas słusznie."

XIV.

Umilkł, i ręce na piersiach krzyżując,
Podniósł łańcuchy, aż jękły wibrując.

Brzęki tych kajdan szerząc dźwięk nie miły,
Smutnie o serca widzów się odbiły.
Lecz wkrótce zgubna piękność Parisiny,
Ściągnęła na nią wzrok całéj drużyny.
Mogłaż spokojnie słuchać, co słuchała
Ona; co taki los mu zgotowała?
Oko jéj dzikie, nieruchome oko.
Tonie w przestrzeni utkwione głęboko.
A jéj powieki, mrużąc się, ni razu
Nie złagodziły mu zgrozy wyrazu,
Lecz naciągnięte w obrębie swym całym,
Obwiodły szafir zrenic kręgiem białym.
Rzekłbyś, spojrzawszy na ten wzrok stężały,
Że już w niéj resztki krwi zlodowaciały.
Czasami jednak błysła spadająca
Z ócz jéj, łza bujna, na rzęsach wisząca;
Trza było widzieć, a ci co widzieli,
By człowiek płakał tak, wierzyć nie śmieli.
Chciała przemówić, ale szept jéj głosu,
Ginąc na ustach w połowie rozgłosu,
Wystękał jeno przytłumione dźwięki,
Acz serce całe zlało się w te jęki.
Nagle umilkła, znów usta otwiéra,
Ale krzyk taki łono jéj rozdziéra,
Że zanim ucichł wybuch ten szalony,
Padła jak posąg z podstawy strącony.

Bardziéj podobna do marmuru bryły,
Lub ciał bezdusznych co nigdy nie żyły,
Niż do występnéj nieszczęsnéj piękności,
Która opętać da się namiętności;
Lecz nigdy, nigdy sobie nie przebaczy,
Ni własnéj hańby, ni cudzéj rozpaczy.
Zaledwie dysze ocknięta z omdlenia,
Ale warjatka!... warjatka z cierpienia!...
Nerwy jéj mózgu się ponaprężały,
Roje dziwadeł snuł umysł schorzały.
I jak cięciwa łuku natężona,
Wolniejąc nagle słotą odwilżona,
Zabójcze strzały szle obłędną drogą,
Ale już niémi nie rani nikogo,
I on, harpjami żalu opętany,
Wił luźnych mrzonek wątek potargany.
Przeszłość jéj znikła w zadumie ponuréj;
Przyszłość, pokryły czarne jakieś chmury,
Które niekiedy pręgą błyskawicy,
Rozwidnią całą zgrozę jéj ciemnicy,
Jako noc mglistą podróżnika oku,
Błędny meteor spadając z obłoku.
Czuła z przestrachem co w duszę kołata,
Że jakiś ciężar serce jéj ugniata,
Że wstyd i zbrodnia boleści nadmiarem,
Palą jéj łono straszliwym pożarem.

Wie że grom śmierci w kogoś ma uderzyć,
Lecz w kogo? nie śmie i nie chce uwierzyć.
Ziemia-ż to, co ją depcze swémi stopy?
Nieba-ż to nad nią siniejące stropy?
Któż to obraża ją, ludzie, czy mary?
Lub może duchów piekielnych maszkary
Grożą oczyma jéj, które przed chwilką,
Patrzały na nią uśmiechnięte tylko?
Wszystko splątało w niéj ducha szaleństwo,
Wszędzie dostrzega rozkosz, lub męczeństwo.
Śmiejąc się dziko, lub płacząc z rozpaczą,
Jak obłąkani śmieją się i płaczą,
Snem konwulsyjnym dręczy się, to łudzi,
O! już ją z tego snu nic nie obudzi!

XV.

Rozkołysany dzwon klasztornéj wieży,
Z szarych granitów żałobny dźwięk szerzy.
Im daléj w przestwór jęki swe roztacza,
Tém głębiéj w duszę zapada słuchacza.
Już rozpoczęto hymn za nieboszczyków,
I za skazanych na śmierć śmiertelników.
Spiż ten ponuro dzwoni za człowieka,
Którego rychło mogiła już czeka.
On już u krańca dni swych; zgiął kolana,
Na ziemi chłodnéj kląkł u stóp kapłana.

O! zgrozo! przed nim rusztowanie sterczy!
Otoczon strażą, kat na miecz morderczy
Patrząc, palcami wzdłuż po ostrzu wodzi,
Zanim nim zręcznie i szybko ugodzi.
Tłum przerażony ściąga się, spoziera,
Jak syn przez ojca, dla ojca umiéra.

XVI.

Był to rozkoszny wieczór dnia letniego,
Sam zachód słońca dnia tak nieszczęsnego.
Ostatni jego blask na Huga padał,
Gdy on ostatni grzech swój wyspowiadał,
I strasznym losem swoim rozżalony.
Słuchał słów świętych księdza pochylony,
Które, nadaną im od Boga władzą,
Najcięższych zbrodni nawet winy gładzą.
W téj chwili słońca gasnące płomienie,
Oblały bujnych mu włosów pierścienie,
Ale najkrwawiéj blask ich, trwożąc, lata,
Po lśniącéj klindze groźnego bułata.

XVII.

Skończył już modły wielki winowajca,
Niecny kochanek, ojca swego zdrajca.
Już jego palce różaniec obiegły,

A grzechy w duszy spowiednika legły.
Ostatnia życia wybiła godzina.
Krucze kędziory nożyca ucina,
Płaszcz zeń zerwano, nawet mu odjęto
Szarfę, pamiątkę Parisiny świętą.
Nie będzie razem z nim w grobie złożona!
Zdarto ją; oczy zaćmi mu zasłona.
Lecz nie! nie! srom téj ostatniéj obrazy,
Hardego jego czoła nie znieważy,
Bo dzika pycha jego, jednym razem
Głębokiéj wzgardy błysnęła wyrazem,
Gdy nagle podły kat ręką drgającą,
Chciał mu oślepić wzrok szmatą hańbiącą,
Jakby on nie śmiał utopić go w śmierci.
Porwał za gałgan, potargał na ćwierci,
I odrzucając precz, zawołał dumnie:
„Pluszcz się w krwi mojéj! złóż me życie w trumnie!
Masz już me dłonie w łańcuchów obroży,
Lecz umrę, jak chcę, patrząc na świat Boży!
Uderz!!!" i legła na pniu jego głowa.
Uderz!!!" ostatnia była to przemowa.
Świsnął miecz, głowa spadła, a zbroczony
Kadłub wstrzęgł na wznak w piasek sposoczony.
Krew z żył lunęła, oczy, usta drgały,
Ale podrygi te rychło ustały.
Umarł jak zbrodzień, kornie, bez wystawy,

Modlił się klęcząc, i ku Stwórcy łzawy
Wznosząc wzrok, wierzył w pociechę pacierza,
Że mu, przebłagan, poda dłoń przymierza.
Gdy się spowiadał ze skruchą głęboką,
Myśl jego wzbiła się nad świat wysoko.
Gniew ojca, rozpacz najdroższéj istoty,
Zapomniał o nich; bez skarg, bez zgryzoty,
W męczennéj ducha przedśmiertnéj pokucie,
Wzniesion ku niebu, śnił jego przeczucie.
Prócz słów ostatnich, co mu się wymknęły,
Nim się na wieki wieków wargi ścięły,
Szydząc z wstrętnego na oczy welonu;
Tak on pożegnał świadków swego skonu.

XVIII.

Milczącym jako nieboszczyka ciało,
Widzom z boleści w piersiach tchu nie stało.
Lecz elektryczny dreszcz przemknął zarazem
Wszystkich, gdy nagle kat groźném żelazem,
Strącił do grobu, za jednym zamachem,
Miłość i życie młodzieńca. Więc strachem
Niewysłowionym, co tak ducha ziębi,
Przejęci na wskroś, duszą jęk w serc głębi.
I nie zamąca nic ciszy wieczoru,
Pokrywającéj zgubny świst toporu.
Lecz cóż to za wrzask dzikim tak wybuchem,

Przemknął złowrogo nad każdego uchem?
Niby krzyk matki, która osłupiona,
Ujrzała że jéj jedynak już kona.
Wrzask przeraźliwy ten o niebo bije,
Jako jęk duszy co się w piekle wije.
Z pałacu Azy wypadł on; w tę stronę
Pobiegły wszystkich spojrzenia zwrócone.
Ale już ucichł. Księżna to krzyknęła,
Lecz nigdy rozpacz straszniéj nie wrzasnęła.
Co go słyszeli, życzyli jéj w duchu,
By i jéj życie prysło w tym wybuchu.

XIX.

Hugo nie żyje; odtąd Księcia żona.
Znikła z pałacu i parków Azona;
Rzekłbyś że nawet nigdy nie istniała.
Imię jéj trwoga z ust wszystkich wygnała,
Jak owe wielce podéjrzane słowa,
Których się strzeże przyzwoita mowa.
Książę nie wspomniał nigdy o swéj żonie,
Nigdy o synie, ani o ich skonie.
Grobowcem pamięć ich nie uświęcono,
Na ziemi świętéj zwłok ich nie złożono.
Przynajmniéj jego — pokątnie szeptano,
Że za cmentarzem gdzieś go pochowano.
O Parisinie i mowy nie było:

Znikła jak prochy zmarłych pod mogiłą.
Może zamknięta za klasztornym progiem,
Postem, modlitwą, jednając się z Bogiem,
Błagała niebo gorzką łzą pokuty,
Smagana zgryzot sumienia wyrzuty.
A może sztylet, albo trucizn jady,
Pomściły niecnych uczuć jéj szkarady.
Lub litość Boża w łasce zmiłowania,
Chroniąc od męki długiego konania,
Zgnieść ją raczyła tym samym piorunem,
Co przykrył Huga śmiertelnym całunem.
Nikt nie wié, i nikt nigdy nie rozwiąże,
Na co ją skazał obrażony Książe.
Lecz jakabądź jéj życia dola była,
Ból je rozpoczął, a rozpacz skończyła. (4)

XX.

Azo ożenił się, długo nie zwlekał;
Znowu na starość synów się doczekał;
Cnotliwych synów; ale między niémi
Żaden nie zrównał, czynami świetnémi,
Bohatérowi śpiącemu w mogile,
Który za życia dokonał ich tyle.
A jeśli sprostał, ojciec obojętnie
Spojrzawszy na nich, westchnął tylko smętnie.
Ale łza nigdy lic mu nie zrosiła,

Ani uśmiechem twarz się rozmarszczyła,
Którą, dręczący go smutek boleśnie,
Bruzdami myśli poorał zawcześnie,
I témi rany, co niezabliźnione,
Poryły w duszy walki w niéj zwiedzione.
Już on na słodycz pociech był nieczuły,
Ale i żądła trosek go nie kłuły.
Nocą sen z powiek jego odlatywał,
A dnie ponury mrok jakiś zaćmiewał.
Drwiąc z nagan, również zimny na pochwały,
Obrzydł samemu sobie, lecz ścigały
Go wspomnień harpje i sumienie żarły,
Choć się już niby dawno w nim zatarły.
Mróz ścina tylko w lód powierzchnią rzéki,
Ale pod lodem płyną wód jéj cieki.
I serce Azy pozornie spokojne,
Staczało tajnie wciąż straszliwą wojnę.
Bo gdy myśl krwawa w głąb jego zapadnie,
O! nie wypłynie zeń ze łzami snadnie!
Gorzkich łez, darmo! wola nie osuszy,
Gdy je powściągniem, ściekają do duszy,
I tam, w ich źródle, w jasny kryształ zlane,
W łożysku głębszém, żywe, niedojrzane,
Wiecznie palące, tém boleśniéj czujem,
Że je dla siebie samych pielęgnujem.
Niejednokrotnie Książę się litował,

Nad umarłémi co sam pomordował.
Niczem zapełnić nie mógł próżni ducha
Gnębiącéj serce, bo nawet otucha
Ujrzenia kiedyś w krainie wybranych,
Swych nieboszczyków nieodżałowanych,
Nie pocieszała go — był przeświadczony
Że tylko spotkał ich los zasłużony.

Gdy znawca martwe gałązki wypleni,
Pyszny dąb bujniéj liściem zazieleni.
Lecz gdy mu piorun odwali konary,
Zdruzgotanego olbrzyma pień szary,
Próchniejąc coraz, wreszcie się obali,
Tak mu zajadle rdzeń życia wypali.

PRZYPISY.

PRZYPISY.

1). Poemat ten, najdzielniéj może obrobiony ze wszystkich wyszłych z pod pióra Byrona, napisał on w Londynie, w jesieni, 1815 roku, a ogłosił w Lutym, 1816. Cały kraj uznał jego piękności, a liczne ustępy zamienione w pieśnie, krążyły we wszystkich ustach po Anglji. Lecz treść przedmiotu drażniła przesadzoną skromność krytyków, i dzienniki spółczesne ubolewały, że tak wielki poeta, budząc silne spółczucie dla niecnych kochanków, stał się, niejako, spólnikiem ich występku. Podobny zarzut możnaby zrobić *Edypowi Sofokla*, *Phedrze Eurypidesa* i *Racina*, z tą samą słusznością, bo poeta, nie uświęcając wcale zbrodni, lekko o niéj napomknąwszy, skupia całą naszą uwagę na jéj chłostę.

2). *Gdy mrok wieczorny srébrzy blask księżyca.*

Wiersze pierwszego ustępu, drukowane z podłożoną muzyką, obiegały już po kraju, lecz należały one do tego poematu. którego znaczna część napisaną była przed *Larą*, i innemi utworami ogłoszonemi później.

3). *Wywalczyć szyszak może z większą chwałą.* *Hanght crest*, pyszny czub u hełmu. *Awoy! haught man, thou art insulbing me!* Precz! pyszałku znieważasz mię!

Ryszard 11. Shalces-Peare.

4). *Ból je rozpoczął, a rozpacz skończyła.*

„Był to opłakany rok dla Ferrary, bo dom Księżnej smutny wypadek zakrwawił. Roczniki nasze drukowane lub rękopiśmienne, prócz dorywczego dzieła *Sardiego*, i jeszcze jakiegoś pisarza, przechowały nam następne szczegóły, wymijając wszakże pewne okoliczności, a głównie opowiadanie *Bandellego*, który w sto lat później pisząc, nie godzi się z historykami spółczesnemi.“

„ Ze *Stelli dell Assassino*, wyżej wspomnianej, Margrabia miał w r. 1405 syna, przezwanego *Ugonem*, pięknego i dzielnego chłopca. *Parisina Malatesta*, wtóra małżonka *Mikołaja* III, jak zwykle macochy, lekceważyła go wielce z niemałym smutkiem Margrabiego, który kochał bardzo syna swego. Pewnego dnia prosiła ona męża, aby jej przejechać się pozwolił. Przystał na to chętnie, z warunkiem, aby Ugo jej towarzyszył, mniemając że tym

wybiegiem przemoże uporny wstręt jéj ku młodzieńcowi. Podstęp ten wyśmienicie mu się udał, bo w podróży téj, nienawiść jéj przetworzyła się nagle w namiętną miłość. Po powrocie ich, Margrabia nie miał już powodów użalać się na jéj obojętność. Pewnego dnia dworzanin Margrabiego, przezwany *Zoese*, a wedle innych, *Giorgio*, przechodząc koło drzwi komnat Parisiny, spotkał jedną z jéj pokojówek zanoszącą się od płaczu. Zapytana o powód łez tak gorących, odrzekła że pani obiła ją za lekką przewinę, a zapalając się gniewem dodała, że mogłaby krwawo się pomścić gdyby chciała, wyjawiając stosunek sromotny Parisiny z własnym pasiérbem. Służebny słowo w słowo powtórzył to panu. Margrabia osłupiał: lecz, zaledwie wierząc własnym uszom, przeświadczył się dostatecznie naocznie, zaglądając przez otwór, wycięty w pułapie do sypialni żony. Opętan wściekłością, kazał ich natychmiast uwięzić społem z *Aldobrandino Bangonim*, z Modeny, swym podkomorzym, i jak twierdzą, z dwiema jeszcze kobiétami, spólniczkami zbrodni. Poczém, kazał sądzić ich niezwłocznie, polecając sędziom ogłosić wyrok, w formułach używanych przeciw przestępcom. Niektórzy wstawiali się za obwinionémi na śmierć skazanémi, między innémi *Ugoccion Contrario*, którego wielce lubił Margrabia i jego stary minister *Alberto del Salc*. Oba

błagali na klęczkach ze łzami, miłosierdzia Mikołaja, łagodząc czém jeno mogli, zniewagę władzcy, nie mówiąc już o przyzwoitości, któraby winna była go nakłonić do zatajenia tak sprośnéj sprawy. Lecz oburzenie jego nie miało granic, i kazał natychmiast spełnić wyrok."

„21 Maja w nocy, ścięto naprzód Ugona, potém Parisinę: pomordowano ich w więzieniach zamkowych, w tych samych przerażających lochach, które widzimy dziś jeszcze pod komnatą przezwaną *Aurora*, u stóp wieży *Lwa* przy końcu ulicy *Giorecca*. Zoese, oskarżyciel Parisiny, zawiódł ją na miéjsce kaźni, prowadząc pod rękę. Mniemała ona idąc że zepchną ją w przepaść więzienną, i pytała co krok czy jeszcze do niéj daleko. Powiedziano jéj że zginie od toporu. Spytała co stało się z Ugonem, odpowiedziano że już nie żył. Wówczas westchnąwszy gorżko, zawołała: „Czemuż ja jeszcze żyję? pragnę umrzeć." Przybywszy pod rusztowanie, sama zdjęła swe szaty, i okręcając sobie głowę chustką, podała szyję pod miecz, który zamknął dramat ten dziki. Podobny los spotkał Bangoniego i dwóch innych, których, wedle ksiąg klasztoru *Ś-go Franciszka*, pogrzebano na ichże cmentarzu. Niewiadomo co stało się z kobietami."

„Margrabia całą tę noc straszliwą czuwał, i przechadzając się sążnistym krokiem, zapy-

tał Kapitana zamkowego czy Ugo żyje; usłyszawszy że zginął, krzyknął rozpacznie: „O! czemuż wpiérw nie skonałem, nim podpisałem wyrok na śmierć jego!“ Gryzł całą noc laskę którą trzymał w ręku, wzywając łkającym głosem syna po imieniu. Nazajutrz, uznawszy potrzebę usprawiedliwienia się przed światem, z czynu nie mogącego być utajonym, kazał sporządzić sprawozdanie całego wypadku, i rozesłał je po wszystkich dworach Włoskich.“

„Na tę wieść owoczesny Doża Wenecji *Francesco Foscari*, nie ogłaszając wszakże powodów, zawiesił przygotowania do turniejów, które pod przewodem Margrabiego, kosztem miasta Paduy, miały się odbyć na rynku Ś-go Marka, na cześć wyniesienia go na dostojność Doży.“

„Nie poprzestając na tém, Margrabia oślepion niepojętą wściekłością, kazał pościnać jak Parisinę, wszystkie małżonki wiarołomne. Między innémi, *Barberina*, albo, jak inni ją mianują, *Laodamia Bomei*, żona sędziego, poniosła śmierć na miéjscu zwykłem kaźni, w okręgu *Ś-go Joachima*, pod twierdzą obecną, za *Ś-ym Pawłem*. Trudno wyrazić jak zdumiało wszystkich obéjście się to Książęcia, który, w[illegible]trzywszy się w jego usposobienie, winie[illegible] być wyrozumialszym na podobne spraw[illegible] chwalali go wszakże niektórzy.

(Dzieje Ferrary, Fr

LARA.

Poemat

LORDA BYRONA,

W DWÓCH PIEŚNIACH.

LARA.[1]

PIEŚŃ PIERWSZA.

I.

Swobodni w Lary dzielnicach wassale, ([2])
O lenne więzy swe nie dbają wcale.
Pan ich, którego się nie spodziéwano
Ujrzéć już nigdy, choć nie zapomniano,
Z własnowolnego wygnania długiego,
Wrócił do zamku nagle ojczystego.
W wielkiéj komnacie krąży tłum wesoły,
Roztruchanami połyskują stoły;
Na ścianach wiszą sztandary; lśniąc, błyska,
Z wyziębionego dawno już ogniska,
Gościnne światło, którego odblaski,
Złocą barwione na taflach obrazki,

Tłum biesiadników kominek obsiada,
I gwarnie śmiejąc się, coś opowiada.

II.

Lara więc wrócił; dla czego wszelako
Przebył on morza, odbył podróż taką?
Straciwszy ojca zmarłego zawcześnie,
By taką stratę uczuć mógł boleśnie,
W zaraniu życia, burzliwe pacholę,
Zdobyło sobie niepodległą wolę.
Smutna puścizna, zgubne to dziedzictwo,
Takie wyrostka sobą kierownictwo,
Bo ono w następstw okropnym rozwoju.
Pozbawia serce na zawsze spokoju.
Nie mając nigdy z życzliwych nikogo,
Coby łagodnie wiódł go cnoty drogą;
Lara, pozbawion z młodu przewodników,
Dla hamowania gorszących wybryków,
Miasto, żeby się innym powodował,
Najsamowolniej każdemu przodował.
Po cóż nam śledzić manowców tajemnych
Przeszłości jego, dla wszystkich tak ciemnych?
Obręb przeznaczeń jego acz był mały,
Dość wielki jednak by go zgruchotały.

III.

Lara młodzieńcem rzucił ojców progi;
Lecz odkąd wybiegł na świata rozłogi,
Zaprzepaściły się tak ślady po nim,
Ze wreszcie pamięć zatarła się o nim.
Ojciec w mogile, syn przepadł bez wieści;
Takie to o nim lenników powieści.
Lara nie wracał, i nie słał nikogo,
Coby oznajmiał gdzie go znaleść mogą.
Wyprowadzano więc przeróżne wnioski,
Wszyscy na zimno, ledwie kilku z troski.
Zaledwie czasem zamczyska sklepienia,
Drgną cichem echem młodzieńca imienia,
A wizerunek jego poczerniały,
Wisi okopcon w ramie strupieszałéj.
Do narzeczonéj mu niegdyś kochanki,
Inny gach spieszy rad na zalecanki,
Już zapomina go rówienne grono,
A starców dawno w mogiłach złożono.
„Jednak on żyje!“ woła spadkobierca
Zniecierpliwiony, pragnąc rychléj z serca,
Przywdziać żałobę miłą, któréj, Boże!
Próżno, doczekać się nigdy nie może.
Sto opylonych tarcz, zdobi zamkową
Odwieczną Larów siedzibę grobową.

Jednéj brak jeno w tym rdzawym szeregu,
A zawieszono-b chętnie ją u brzegu.

IV.

Przybył na koniu samotny: zkąd? kto wie?
Po co? i czego? — Któż na to odpowie?
Nie dziwił wcale że wreszcie powrócił,
Lecz że na długo tak próg ojców rzucił.
A cały orszak jego, jak na drwiny,
Składał paź tylko z odległéj krainy.
Czas biegł, a pogoń jego równie skora,
Tak dla włóczęgi, jak i domatora.
Ale brak wieści ze stref oddalonych,
Obarczał mu lot skrzydeł roztoczonych.
Widzą go wszyscy, każdy go poznaje,
Jednak obecność złudą im się zdaje,
Przeszłość snem, i acz szargami lat mięty,
Wybrnął z nich przecież, jędrny, nieugięty.
Jakiebądź dawniéj winy jego były,
Igrzyska losu już go z nich obmyły.
Nie krążą o nim też żadne pogłoski,
By z nich wysnuwać złe, lub dobre wnioski.
A przeto śmiało jeszcze, bez zawodu,
Podtrzymać może chwałę swego rodu.
Niegdyś on grzeszył pychą wyuzdaną:
Ale najbardziéj jemu wymiatano,

Owe miłośnych swawoli zapędy,
Co wiodą młodzież w naganne obłędy.
Lecz te powszechne tak wszystkim usterki,
Byle-b się ustrzedz z sumieniem rozterki,
Świat winowajcom łaskawie przebacza,
Jak i z nich żaden wielce nie rozpacza.

V.

I rzeczywiście, wszystko w nim zmienione.
Ledwieś nań spojrzał, wnet oko zdumione
Widzi, że nie jest to co niegdyś było,
Tak się w nim dziwnie wszystko przetworzyło.
Na tęsknem czole smętnych bruzd promienie,
Rysując w gzygzak głębokie desenie,
Niezatartemi ślady wskazywały,
Jakie wulkany w duszy tej gorzały.
Postawa jego dumna, lecz młodości
Próżno w niej szukać zgasłych namiętności.
Wyniosła wzgarda pochwał, ruchy sztywne,
Pozór mrożący chłodem, oko dziwne,
Które ciskając zda się błyskawice,
W najskrytszych myśli sięga tajemnice.
Słowa szczypiący jad, język szyderczy,
Ów zakrwawionych serc, oręż morderczy,
Którym szermując niby od niechcenia,
Acz sprawiał innym bolesne cierpienia,

Jednak tak zręcznie nim obałamucał,
Że mu krzywd swoich żaden nie wyrzucał.
Wszystko to, i coś, jeszcze coś, w nim było,
Czego głos, ani oko nie zdradziło.
Sława i miłość, te cele żywota,
Ku którym każdy na oślep się miota,
A których rzadko ludzie dosięgają,
Do jego serca przystępu nie mają.
A jednak, jednak, pragnień tych potęgi,
Nie raz strasznémi chłostały go cięgi.
Wreszcie, Bóg wié zkąd, i kiedy wylęgłe,
Uczucie jakieś, głęboko weń wstrzęgłe,
Którego nie zgadł nikt, nigdy znaczenia,
Czasem mu sine lice opromienia.

VI.

Gdy go o przeszłość pytano natrętnie,
To wybadywań tych słuchał niechętnie.
Nie wspomniał nawet nigdy o cudownych
Pustyń pięknościach, ani o czarownych
Wdziękach okolic, które zabłąkany
Przekroczył niegdyś, samotny, nieznany,
Jak mniemał; więc go pytano daremnie,
Patrząc mu w oczy, lub pazia tajemnie.
Bo nie napomknął ani razu w domu,
O tém co widział, lub słyszał, nikomu.

A gdy go za to zbyt kto upominał,
Wnet, marszcząc czoło, rozmowę ucinał.

VII.

Witając szczérze, przyjmując ochoczo,
Wszyscy w około wędrowca się tłoczą.
Świetnego rodu, pan sporéj dzielnicy,
Gościł u wszystkich panów w okolicy.
Na ich turnieje, biesiady, festyny,
Spiesząc pospołu z innémi drużyny;
W ich towarzystwa acz często się wcielał,
Zabaw ich, ani nudy, nie podzielał.
Nie kroczył z niémi on jednémi tory,
Goniąc za złotem, pięknością, honory,
Lub zemstą, którym nadzieja zwodnicza,
W oczach półgłówków świetnych barw użycza.
W około niego, jakiś krąg mistyczny,
Odpychał, zrażał czemś świat okoliczny.
Wzrok jego dziwny, zimno osłupiały,
Opamiętywał roztrzepańców szały.
Lękliwsi zaś nań spojrzawszy przypadkiem,
Drżąc, szepcą o nim coś sobie ukradkiem.
A drobne gronko życzliwszych, wyznaje
Że Lara lepszym jest niż się wydaje.

VIII.

Dziwna! w młodości on wezbranem życiem,
Goniąc na zabój za świata użyciem,
Szukał naprzemian, kobiet, bitew, morza;
Wszystkiego, czem się jeno szał rozsroża,
Drażniąc rozkoszą, lub dzikim sposobem,
Niebezpieczeństwy — choćby nawet grobem!
Wszystko wyczerpał już to, po kolei,
Od mąk piekielnych, do nieba nadziei;
Bo tylko takie naprężenie duszy,
Wyswobodzało go z myśli katuszy.
Straszliwe serca jego uragany,
Drwiąc, na żywiołów patrzały orkany.
I wówczas, gdy w nim kipiały odmęty
Najdzikszych wzruszeń, duchem w niebo wzięty,
Badał, czy ono ma na swe rozkazy,
Podobne jego zachwytom — ekstazy.
Sługa, niewolnik własnych namiętności,
Porozpalanych do ostateczności,
Jakąż potęgą, czy jakiémi cudy,
Pozbył się snów tych szalonych ułudy?
Nie mówił, lecz weń tyle bolów wsiękło,
Że przeklął serce swe czemu nie pękło.

IX.

Dawniéj bywało, czytał on jedynie
W sercu człowieczém; ale za to, nynie,
Wertuje, mimo mozołu mitręgi,
Ciekawszém okiem, i pisane księgi.
I często gdy mu ból jakiś dopiéka,
Smętny, na długo od ludzi ucieka.
A wówczas służba, którą acz niechętnie
Wzywa niekiedy, utajon gdzieś skrzętnie,
Twierdzi że nieraz kroki jego słyszy,
Tętniące głucho śród północnéj ciszy,
W ciemnym krużganku, którego wzdłuż ściany,
Obwieszał szereg przodków malowany.
Słyszy je czeladź, lecz kornie uprasza,
Niechaj się nigdzie wieść ta nie rozgłasza.
Prócz tego, słyszy w pomroce zamkowéj,
Dźwięki nie jego, i nie ludzkiéj mowy.
Tak! śmiéj się, kto chcesz! wszyscy jednak z trwogą
Widzieli kiedyś, coś, czego nie mogą
Określić, pojąć, lecz co wyglądało
Nie tak zapewne! jakby należało.
Dla czego Lary, wciąż, źrenica dzika
Wlepiona, w wstrętną głowę nieboszczyka,
Którą bezbożna dłoń wykradłszy trumnie,

Złożyła obok księgi na kolumnie,
Jakby pragnęła przestrachem każdego
Wypłoszać z tego ustronia, prócz niego?
Czemu nie zaśnie on, gdy świat spoczywa?
Unika gościa, kiedy doń przybywa?
Nie słucha piosnek? O! wszystko to znaczy
Coś złego; lecz co? któż to wytłómaczy?
Niektórzy mogliby prawdę powiedzieć,
Jeśli-b raczyli choć słówko wycedzić.
Ale to powieść długa, więc upornie
Milczą, lub bredzą z cicha coś przezornie.
A wygadano-b wiele, gdyby chciano;
Tak sobie w izbie czeladnéj szeptano.

X.

Noc. — Szafirowym pierścieniem lśniąc rzéka,
Dzielnicy Lary spokojnie przecieka.
Nurt jéj poważny; mknął on jednak chybko,
Jak mary szczęścia znikające szybko.
A fal jéj cichych przejrzyste kryształy,
Blask nieśmiertelnych gwiazd odźwierciadlały.
Po obu brzegach jéj, śród drzew, na kwiatki.
Siadały, lecąc, brzęcząc, pszczół gromadki.
Z takiego kwiecia to, jeszcze dziecięce
Dianny rączki, pletły niegdyś wieńce;

Z kwiecia takiego, Miłości w ofiarze,
Mogła-b Niewinność wić girlandy w darze.
Śród ukwieconych bujnie tak wybrzeży,
Rzéka łożyskiem połamaném bieży,
Którego świetne, ruchome odmęty,
Lśnią jako węża pełznącego skręty.
W przyrodzie taka woń, niebo tak czyste,
Że spotykając nawet duchy mgliste,
Nikt by się nie bał piekielnéj ich mocy,
Śród miéjsc tak cudnych, czarownéj tak nocy.
Wybrańcom, dobrym, jeno pozwolono,
Myślał, wracając z twarzą zasmuconą,
Lara do zamku, ociężałym krokiem,
Rozkoszy świata poić się urokiem.
I dusza jego w goryczy natłoku,
Nie wytrzymała takiego widoku.
On uobecnił mu: słońce ognistsze,
Srébrzystszy księżyc, gwiazdy promienistsze,
Minione lata, wspominane nieraz,
Piękniéjsza nieba i serca, co teraz!...
Nie! najstraszliwszéj nawet burzy szargi,
Nigdy zeń jednéj nie wyduszą skargi,
Niech jak chce sroży się, wścieka i wyje,
O czoło jego pewnie się rozbije.
Ale noc taka! jak na pośmiewisko;
Nie! — za boleśne to urągowisko!

XI.

Wszedł do sypialni swéj odosobnionéj,
Kroczy po izbie, a cień przedłużony,
Ściga go w ślady po ścianach komnaty,
Na których wiszą jego antenaty.
Tyle to jeno zostało widomych
Cnót ich, lub zbrodni, pomników znikomych;
I może kilka baśni legendowych,
I kilka arkad sklepień ich grobowych,
Przykrywających opleśniałe lochy,
W których śpią społem błędy ich i prochy.
I może jeszcze, z połowa kolumny
Karty, wpisanéj w rodowód ich szumny,
W któréj Historja sławi, lub bezcześci,
Wiekami pamięć dowolnéj powieści,
Kłamiąc poważnie i wierząc w swe słowa,
W których jednakże jest prawdy połowa.
Kroczy w zadumie; księżyca promienie,
Przefiltrowane przez tafel desenie,
Srébrzą kamienną posadzkę bogatą,
I strop, odbitą z marmurów poświatą.
Święci na szybach w postawie klęczącéj
Pomalowani — w modlitwie gorącéj,
Zda się, odżyli znowu życiem nowém,
Lecz życiem dziwném jakiémś, za światowém.

Lara wciąż kroczy, czub jego rozwiany,
Czarny pióropusz, jak włos, rozmiotany,
Czoło ponure, wszystko mu dawało
Pozór widziadła, co z grobu powstało.

XII.

Północ: śpią wszyscy; blask lampy gasnącéj
Miérzchnie, w ciemności tak przerażającéj.
Słuchaj! szmer jakiś zamczysko obiega,
Potém jęk, potém krzyk w nim się rozlega,
Potém to wszystko, jakby nic nie było,
Grobową ciszą milczenie pokryło.
Przydwornéj służby poczet znamienity,
Słyszał-że krzyk ten echami odbity?
Słyszał, i z trwogą na poły, pół mężnie,
Na odgłos wrzasków tych wpada orężnie,
Świecąc pochodnią w jednem ręku, w drugiém
Wstrząsając mieczem obosiecznym, długim.

XIII.

Zimny jak marmur, blady jako drżące
Światełko lampy lice mu złocące,
Lara na ziemi leżał rozciągnięty;
Przy nim miecz z pochwy w połowie wyjęty,

Nadprzyrodzonéj, zda się, trwogi siła,
Nagle gwałtownie z rąk mu wytrąciła.
Jednak nie runął on ducha słabością;
Zmarszczone czoło zawsze tchnie wściekłością.
Leży jak martwy, mimo to, ust drżenie
Zdradza obawę i mordu pragnienie.
A zrozpaczonéj pychy groźba cała,
Na licu, zda się, mu zakamieniała.
Wzrok jego gęstą siecią rzęs przyćmiony,
Lśnił błyskawicą z pod powiek osłony,
Wzrok gladjatora ten, jakby żelazem
Zabijał dawniéj zwykłym mu wyrazem;
Unieruchomion strasznėm osłupieniem,
Przerażał jeszcze tém samém wrażeniem.
Wzięto go, niosą, cyt! dysze, coś jąka,
Rumieniec znów mu po twarzy się błąka,
Czerwienią usta, oko omroczone
Krąży w orbitach znowu jak szalone,
A wszystkie członki zwolna, lekko drgają,
I do dawnego życia powracają.
Mruczy coś; ale nie ojców to mowa;
Nikt nie rozumie z niéj jednego słowa.
Poznano jeno że ta spiewność dzika,
Niepojętego jakiegoś języka,
Jęczała tęskno tak, w północnéj ciszy,
Dla ucha, które wcale go nie słyszy.

XIV.

Paź jego podbiegł; on jeden rozumie
Język, którego nikt pojąć nie umié.
Z oblicza jego, które mu to bladnie,
To się czerwieni, każdy wnet odgadnie
Że Lara mowy swéj nie wytłómaczy,
Ani objaśni paź co ona znaczy.
Jednak zdumienia nie budzi takiego
W nim jak u innych, niemoc pana jego.
Jeno pochylon nad ciałem złamaném,
Szepce doń owém narzeczem nieznaném,
Tą samą mową niesłychaną, mglistą,
A która, zda się, jest jego ojczystą.
Lara wsłuchiwa się w te słodkie dźwięki,
Balsamujące marzeń jego męki,
Jeśli jednakże mogłyby marzenia,
Rozbić tak serce, obuchem cierpienia,
Serce co wcale niepotrzebowało
Wymyślać nieszczęść, jakby ich nie miało.

XV.

Co bądź on dostrzegł, na jawie, czy w szale
Rozkołysanych snów zapamiętale,
Zawsze zagadka nocnego widziadła,
Zamknięta w duszy, na wieki przepadła.

Ranek zaświtał, i ożywcza siła,
Zwykłą sprężystość członków mu wróciła.
Lara lekarza, ni księdza nie wzywa,
Codziennych zajęć wcale nie przerywa,
Zawsze jednaki i w mowie i w czynie,
Jakim był wczora, takim jest i nynie,
Ani się smuci, ani téż pociechy
Nie zdradza niczém, słówkiem, lub uśmiechy.
A jeśli nocy, lub wieczoru cienie,
Dręczą mu więcéj serce, czy sumienie,
To wrażeń jego smutnéj tajemnicy,
Nie domyślają się nawet lennicy,
Którzy przybici zabobonną trwogą,
Strachu tak rychło zapomnieć nie mogą.
W istocie, gawiedź ta, jeno parami
Prześlizgiwuje się dzwoniąc zębami,
Po domie pustym, bo żaden z wazali,
Sam nie ośmieliłby się wejść do sali.
Boją się oni obić szeleszczących,
Stuku drzwi, szmeru sztandarów wiszących,
Cienia drzew, który przez okna zamczyska,
Z kłąbów posępnie do komnat się wciska.
Poświstów wichru, gdy wycia swe szerzy,
Trzepotu skrzydeł lotnych nietoperzy,
Skrzypu posadzek, wszystkiego co może
Wzrok ich, lub ucho, trwożyć w owéj porze,

Gdy noc spuszczając zwolna zmierzch ponury,
Starożytnego kastlu czerni mury.

XVI.

Próżne obawy!... odtąd w smutnym gmachu,
O tajemniczym nie słyszano strachu,
Lub pan nie raczył się nigdy nim zająć,
Czém zdumiał wszystkich, nie uspokajając.
W istocie-ż? skoro odzyskał on zmysły,
Wspomnienia jego w niwecz się rozprysły?
To tylko pewna, że ani skinieniem,
Ni słówkiem, ani dwuznaczném spojrzeniem,
Nie zdradził nigdy w obec swego dworu,
Gorączkowego widziadła — potworu.
Sen że to? jegoż to usta bredziły
Jakimś szwargotem, monolog zawiły?
Jegoż to krzyki, a raczéj wrzask jego,
Pobudził wszystkich ze snu kamiennego?
Jegoż to serce piorunem rozbite
Nagle, stanęło mu w piersiach jak wryte?
Oko-ż to jego okropnym wyrazem
Strętwiło zgrozą wszystkich ich zarazem?
Człowiek co przetrwał krwawą tak męczarnię,
Mógłże zapomnieć wnet o niéj bezkarnie,
Gdy ci, co z trwogi spojrzéć nań nie śmieli,
Na samą myśl o niéj, jeszcze truchleli?

Może milczenie jego wskazywało,
Że to wspomnienie zbyt się zakopało
Głęboko w duszy mu, by choć w połowie,
Kiedybądź mogło wyrazić się w słowie.
I tam zaparte, ze swego ukrycia
Wsiąka powolnie mu wciąż w nerwy życia,
Pokąd nie wyssie je do odrobiny,
Wskazując skutki, a tając przyczyny?
Nie! Lara powód i skutek zarazem,
W wyniosłém łonie swém uwięził razem.
Zaiste! lada widz nie wytłómaczy,
Co szereg myśli budzących się znaczy,
Które w rozmowie pobieżnie dotknięte,
Giną na ustach, w połowie ucięte.

XVII.

W tym zagadkowym mężu oko widzi,
I co się kocha, i co nienawidzi,
Czego się, wielbiąc, szuka u bliźniego,
I co odrazą odpycha od niego.
Świat, tajemnicze jego, dziwne życie
Tłómaczy sobie, jak chce, rozmaicie.
Lecz skoro tylko o nim wspominano,
Nagan, lub pochwał, mu nie oszczędzano.
Z milczenia nawet jego tworząc wnioski,
Puszczano o nim przeróżne pogłoski,

I nałamano sobie nie raz głowy,
Aby odgadnąć żywot ten Sfinksowy,
Czém on był? cóż to za człowiek? którego
Nie znał nikt nigdzie, krom z rodu świetnego?
A który krocząc po świecie szerokim,
Na ludzi patrzał złowrogiém tak okiem?
Niektórzy twierdzą że w szałach biesiady,
Nie raz swawolą prześciga sąsiady,
Ale dodają, że śledząc go bacznie,
Śmiéch jego urok utraca nieznacznie,
I z czarującéj, wesołéj pustoty,
Zmienia się wreszcie w szydercze chychoty,
Które mu usta jeno wykrzywiając,
W nich zastygają, ócz nie ożywiając.
Niekiedy jednak, przesiąkły goryczą
Wzrok jego, tęskną pociągał słodyczą,
Jakby przyroda w dniach jego młodości,
Dała mu serce przystępne litości.
Lecz skoro mniemał, że nader ciekawie
Weń się wpatrują, dziwiąc téj objawie,
Oburzon taką duszy swéj słabością,
Wnet niepojętą roziskrzał się złością,
Drżąc aby jakieś tam powątpiewania,
Nie nadwątlały o nim przekonania.
Gryzł-że on serce swe tak, że jak żarem,
Paliło niegdyś go ogni nadmiarem?

Chciałże, udręczon boleści nawałą,
Aby wyklęło to, co uwielbiało?

XVIII.

Wszystkim pogardzał on dumnie, bezkarnie,
Jakby już przetrwał najsroższe męczarnie.
Krocząc po ziemi samotny, nieznany,
Jak duch ze świata innego wygnany;
Miotan szałami dzikiéj wyobraźni,
Szukał z umysłu wszystkiego co drażni.
Acz z niebezpieczeństw, dolą zbyt usłużną,
Wybrnął szczęśliwie, lecz wybrnął napróżno;
Bo ich wspomnienia, były mu zarazem
Przeszłych tryumfów i bolów obrazem.
Party potęgą kochania szaloną,
Jaką człowieczy ród nie obdarzono,
Jego marzenia o cnocie, zawcześnie
Rozczarowały się nader boleśnie,
A wiek dojrzalszy, dręczon serca znojem,
Zastąpił młodość zużytą rozstrojem;
Został mu jeno więc żal, że przepadła
Marnie gdzieś, pogoń jakiegoś widziadła,
I że roztrwonił takie serca siły,
Które wielkiego by mu coś zdobyły.
Smagan biczami namiętności wrzących,
Po jego drogach zwaliska siejących,

Pamięć zapędów wściekłych tych, niemiła,
Z dobrocią serca straszny bój zwodziła,
I pogrążała go w gorzkie zadumy,
Uobecniając przewyłych burz szumy.
Lecz pełen pychy i dumnéj przekory,
Do potępiania się wcale nie skory,
Chcąc ulżyć sobie, bez najmniéjszych względów,
Na swą przyrodę spychając część błędów,
Wymiatał cielsku, które czerń robacza,
Zapamiętale po grobach roztacza,
Wymiatał cielsku, budzie z nędznéj gliny,
Temu więzieniu duszy, swe przewiny.
I tak wywodząc wciąż wnioski te same,
Zlawszy złe z dobrém w dziwną amalgamę,
Nazwał, wynikłe z własnego natchnienia,
Czyny swe, dziełem fatum, przeznaczenia!
Zbyt hardy, by go kiedy nieuczynne,
Opanowało samolubstwo gminne;
Umiał on czasem, w naglącéj potrzebie,
Poświęcić bliźnim, mienie swe i siebie.
Byłaż to litość? czy zamiłowanie
Swych obowiązków? nie! raczéj uznanie,
Że dokonywał, nieproszony, tego,
Na co nie zdobył by się nikt, prócz niego.
Niekiedy znowu, to samo uznanie,
Na tor go krzywy pchnęło niespodzianie.

Tak on, skoro go jakaś myśl upiekła,
Wzlatał do nieba, lub spadał do piekła,
Pragnąc jakkolwiek, dobrocią, czy złością,
Z znienawidzoną mu zerwać ludzkością.
Duch jego, tron swój niedostępny złożył
W nadziemskich sferach, które sam dłań stworzył.
Zkąd patrząc na świat w milczeniu pogardy,
Ostudzał mu się zwolna umysł hardy.
Szczęśliwy, jeśli występku wspomnienie,
Nie rozdrażniało mu to ukojenie!
W prawdzie, nie różniąc się on od nikogo,
Kroczył, pozornie, zwykłą wszystkim drogą;
Prawda, że zawsze czynami i słowy,
Stwierdzał najjawniéj spokój umysłowy.
Serce to jego strasznie tak szalało,
Spokoju głowy nic nie zamącało.
Rozmowa jego nigdy nie wykracza
Czémś, coby mogło zadrasnąć słuchacza.

XIX.

Mimo pozoru tak lodowatego,
Mimo obéjścia się tajemniczego,
I przedstawiania się co raz zawiléj,
Umiał on, (może miał taki przywiléj),
Wrażać swój obraz; gdy go raz widziano,
Że go już nigdy nie zapominano.

Nie była miłość to, ni wstręt, jednakże
Coś, czego człowiek nie wypowie wszakże.
Lecz ci, powtarzam, co go raz spotkali,
Radzi, nie radzi, o nim pamiętali.
Do kogo zwracał się z najlżejszą mową,
Wnet roztrząsano każde jego słowo,
Słuchacze przecież nie wiedzieli wcale
Jak i dla czego, tak się on zuchwale
Wrzynał w ich umysł, że od piérwszéj chwili
Go ubóstwiali, lub nienawidzili.
Wrażenia jego przykre, czy łaskawsze,
Zakotwiczały się w każdym na zawsze.
O! nie zbadana dla was jego dusza,
Chociaż on w waszéj wszelki nerw porusza.
Obecność jego przytomna wam wiecznie,
Marzycie o nim, chcąc nie chcąc, koniecznie.
Darmo pragniecie zbyć tego upiora,
Sprobujcie! szydząc, woła jego zmora.

XX.

Festyn: rycerze, panie, liczną rzeszą,
Na wielkie gody do Ottona spieszą;
I wszystko ciągnie tam świetnym pochodem,
Co się odznacza bogactwy, lub rodem.
Gospodarz, mimo gości poczet mnogi,
Prosi i Larę na bankiet w swe progi.

W olśniewające komnaty światłami,
Płyną gromady barwnémi tłumami,
Gdzie ich przynęca co rychléj, pospołu,
Tan ożywiony, lub wykwinty stołu.
Rój pląsających piękności, spowija
Szczęsnym łańcuchem, młodość i harmonja.
Serca im drgają, drgają pulchne rączki,
Wstrząsane błogo miłośnémi drżączki.
Cudny ten obraz smętne mgły zwiać zdoła,
Z zasępionego boleściami czoła,
Rozmarszczyć starca ponure oblicze,
Przywodząc na myśl dawnych lat słodycze.
I sama młodzież nawet, ogarnięta
Zawrotem głowy rozkosznego święta,
Może zapomnieć, że tyle wesela
Niekiedy ludziom i ziemia udziela.

XXI.

Lara radośnie poglądał w około;
Jeśli był smutny, to kłamało czoło.
Wzrokiem tanecznic ścigał lotne ruchy,
Przesuwających się lekko jak puchy.
Stojąc oparty o sporą kolumnę,
Zaplotłszy ręce na piersi swéj dumnéj,
Jak urzeczony czarownym urokiem,
Nie widział że go mierzą dzikiém okiem.

Lara nie lubił badawczego wzroku;
Dojrzał go — któż to? — nie cofnął i kroku.
Lecz ów natrętnik!—on go nie zna wcale,
Patrzy nań groźnie tak, zapamiętale.
Oko to śledcze, nie mile go, czuje,
Strasznym wyrazem do głębi nurtuje.
Bo cudzoziemiec zabłąkan w te strony,
Badał go bacznie, sam niedostrzeżony.
Wreszcie ich wzroki zbiegły się wypadkiem.
Kto wie? szukały się może ukradkiem,
I z różném na się spojrzeli wrażeniem,
Ten z ciekawością, tamten z osłupieniem.
Lekki niepokój zdradza lice Lary,
Jakby przeczuwał przybysza zamiary.
On wciąż go ściga takiémi oczyma,
Że lada kto ich blasku nie wytrzyma.

XXII.

— „To on!“ nieszczęsny gość w końcu zawoła.
Słowa te krążą z ust do ust do koła.
„To on!“
— Któż taki? kto?
Każdy z przybyszy
Szepcąc, oględnie pyta towarzyszy.
I tak się szepty te co raz wzmagają,
Że się o uszy Lary obijają.

Słowa te dziwne, twarz nieznajomego,
Trwożąc zagadką, zdumiewa każdego.
Lara spokojny. — Pierwotne wrażenie,
Znikło oddawna już niepostrzeżenie.
Nie objawiając żadnego wzruszenia,
Zimny, milczący, jak posąg z kamienia,
Wodził oczyma po biesiadnym tłoku,
Acz cudzoziemiec nie spuszczał zeń wzroku.
Wreszcie, podchodząc k'niemu, bliżéj, hardo,
Z nieopisaną zawołał pogardą,
Donośnym głosem:
— „To on! poco? czemu?
Tu pozwoliliście się wśliznąć jemu?“

XXIII.

To już za wiele: Lara musiał wreszcie
Odeprzeć takie hańbiące bezczeście;
Marszcząc brwi, odrzekł przeto obojętnie,
Nastającemu na niego tak wstrętnie:
— „Jam Lara! Lara! gdy się ktoś ty dowiém,
Grzeczny paniczu, godnie ci odpowiem.
Jam Lara! Lara! jeśli pragniesz więcéj
Wiedzieć coś, pytaj! o! pytaj co prędzéj!
A zadowolnię cię, jak się spodziéwam,
Bo nie wymijam pytań, mask nie wdziewam.“

— „Ty nie wymijasz pytań? a jednakże
Niémasz żadnego, na któreby wszakże
Serce twe odrzec przecie coś musiało,
A które-b ucho twe wstrętnie słuchało?
Nie znasz mie? mówisz, jednak nie daremnie
Pamięć ci dano, a więc przypatrz się mnie.
Ona ci raczy pewien dług przypomnieć,
Który i wieczność nie da ci zapomnieć,
A który, nigdy, o! dobrze to czujesz,
Nigdy, w połowie nawet nie skwitujesz!“

Lara spokojny wzrok wlepił w natręta,
Lecz rysów jego zgoła nie pamięta,
A może nie rad wpatrzyć się w mnie bacznie;
Milcząc wzgardliwie, wstrząsł głową nieznacznie,
I odwracając się od napastnika
Chciał wyjść, ale mu odwrót on zamyka.

— „Słówko rzekł, jeno, odpowiedź mężowi,
Który, jeżeliś szlachcic, szlachcicowi
Najświetniéjszego nawet, ręczę, rodu,
Dorówna rodem swoim bez zawodu.
Lecz kim bądź byłeś, lub jesteś obecnie....
Brwi tak i czoła nie marszcz! jeśli niecnie
Niegodne kłamstwo usta moje zmaże,
Łatwo ci będzie odeprzeć potwarze.

Lecz kim bądź byłeś, lub jesteś w téj dobie,
Człowiek ów, gardząc tobą, śmiéj się sobie!
Ze śmiechów, gniewów twoich, drwi jednako.
Nie tyś to czynem?..“

— „Kim-em bądź, wszelako
Nędzne takiego oszczercy szczekanie,
Nie zasługuje by coś odrzec na nie.
Niech ów, którego brednia ta uderzy
Nadzwyczajnością swą, ślepo jéj wierzy,
I nad dziwami cudów się rozpada,
Jakie tak pyszny wstęp mu zapowiada.
Niech Otton, gościa miłego tak, hojnie
Uracza, ja mu odwdzięczę dostojnie.“

Otton podchodzi zdumion témi słowy.
— „Co bądź wam jątrzy i serca i głowy,
Nie czas, ni miéjsce, z względów poniewierką,
Wesołość mącić jakąś tam rozterką.
Jeśli Ezzelin pragnie się rozwodzić
Nad czémś, co Hrabi Larę ma obchodzić,
Niech czeka jutra, a wówczas możecie
Tu, lub gdzieindziéj, powiedziéć co chcecie.
Ezzlinie, znam cię! acz nakształt Hrabiego,
Tylko coś przybył z kraju dalekiego,
Gdzieś nawet ślad swój pozacierał skrzętnie;
Znam cię, i dajęć porękę mą chętnie.

A jeśli, wróżąc z jego urodzenia,
Lara nie splami swojego imienia,
To po rycersku, wzajem, nieodrodnie,
Wszelkim wymogom twym odpowie godnie."

— „A więc do jutra, niech jutro obwieści
Kto łotr, i jako łotra świat zbezcześci.
Odparł Ezzelin; ja dowody złożę,
Tak mi dopomóż mieczu mój, i Boże!"

Cóż na to Lara? w mnogich wspomnień tłumie
Tonął myślami w głębokiéj zadumie.
Każdy go wzrokiem osłupiałym mierzy,
Szept jakiś o nim po izbie się szerzy,
On wzajem wzrokiem wszystkich oprowadza,
Lecz oko jego roztargnienie zdradza.
Niepamięć tego co się tuż, tuż święci,
Dowodem właśnie przeszłości pamięci!

XXIV.

— „Jutro! więc, jutro!" Témi tylko słowy
Pożegnał Hrabia Lara tłum zamkowy.
Gniew mu nie marszczył oblicza hardego,
Ani roziskrzał blask oka czarnego.
Jednak w tym dźwięku głosu jego, drgało
Niepojętego coś, acz przeświadczało

Że postanowił już, zuchwale, snadnie,
Ale co? któż to przeczuje, odgadnie?
Przywdział płaszcz, lekkiém pochyleniem głowy
Obrzucił dwornie poczet salonowy,
A gdy przechodził obok Ezzelina,
Ciskającego nań wzrokiem Kaina,
Odparł uśmiéchem wzrok ten, coby miotał
Pioruny, byle-b go niémi zgruchotał.
Nie był to uśmiech szczęścia, ni wezbranéj
Dumy, potęgą woli pokonanéj,
Zionącéj wzgardą gniew tak rozsrożony,
Że nań nie może zarzucić osłony.
Lecz był to uśmiech uznania, co wierzy
Że bez namysłu dźwignie co zamierzy.
Uśmiech ten błogiż spokój cnoty znaczy,
Czy skamieniałą już zbrodnię w rozpaczy?
Jedno i drugie graniczą tak blisko,
Że nadaremnie, jak na pośmiewisko,
Nie poznasz ze słów człowieka, ni z twarzy,
Co się tam w głębiach duszy jego żarzy.
Czyny dopiéro, czyny, przekonają
Jakie uczucia to w niéj przemagają.

XXV.

Hrabia przywołał pazia; cudne dziécię,
Zachwycające jak kwiatek w rozkwicie,

Który przybywszy z nim z pod nieb gorących,
Płomienistszémi gwiazdami błyszczących,
Z ognistą duszą, jak ojczyste żary,
Pełnił skwapliwie z polecenia Lary,
Najwybredniéjszych zachcianek wymogi.
Dla niego rzucił on rodzinne progi;
Jak on milczący, ani się zachmurzył,
Acz mu nad stan swój i lata swe służył.
Choć mu nie obcym był język krajowy,
Lara doń własnéj nie używał mowy.
Lecz skoro wezwał go w owym idiomie,
Którym przemawiał w macierzystym domie,
Przybiegał spiesznie na te smętne dźwięki,
Brżmiące jak echa bolesnéj piosenki,
Uobecniając mu ojczyste góry,
I kochających go serc żal ponury,
Od których, tęskniąc za niémi, ucieka,
Odurzon czarem jednego człowieka,
Co stał się wszystkiém dlań na świecie całym.
Cóż więc dziwnego? że jak cień za ciałem,
Owiany tchnieniem jakiegoś uroku,
Kroczył wciąż przy nim, tuż przy jego boku?

XXVI.

Kibić miał wiotką; słońce rodzinnego
Kraju, nie tknęło mu czoła śnieżnego.

Skwarne ognisko jego nie spaliło
Lica, które się czasem czerwieniło;
Nie był to jednak szkarłat, co się żarzy
Zdrowiem, lub szczęściem, na pogodnéj twarzy,
Ale rumieniec schorzały i smutny,
Którym piętnuje serca ból okrutny.
Blask w jego oku dziwnie roziskrzoném,
Świecąc płomieniem gwiazdom wykradzionym,
Elektrycznémi, zda się, błyskawicy,
Zapalon myślą, lśnił w jego źrenicy,
Acz długa rzęsa co ją ocieniała,
Melancholiczny wdzięk jéj nadawała.
Dostrzegacz jednak, więcéj niż boleści,
Widział w niéj dumę niepojętéj treści,
A może tajną tak męka ta była,
Że ją z nim żadna dusza nie dzieliła.
Swawole paziów, pląsy ich i śmiéchy,
Nie pociągały go swémi uciechy;
Ale wlepiwszy w Larę wzrok namiętnie,
Wpatrując się weń godzinami smętnie,
Pogrążon całkiem w jakichś marzeń tłumie,
Zapamiętywał się w gorzkiéj zadumie.
A gdy nie wzywał pan usługi jego,
Błądził samotnie, stronił od każdego;
Nikogo o nic nie pytał, nie badał,
A zapytany zwięźle odpowiadał.

Błąkał się zwykle w poblizkiéj dąbrowie,
Czytywał księgi w rodowitéj mowie,
Czasem nad brzegiem strumienia siadywał,
Jak pan, któremu on jeno sługiwał,
Zda się wszystkiego starannie unika,
Co nęci oko, lub serce przenika.
Z rodzajem ludzkim wcale się nie brata,
Nie otrzymawszy nic a nic od świata,
Krom podarunku, ślicznego znaczenia,
Przymusowego, bądź co bądź, istnienia.

XXVII.

Jeżeli kogo kochało to dziécię,
To Hrabi Larę nad wszystko na świecie.
Ale tę miłość jego, czy męczeństwo,
Zdradzały jeno cześć i posłuszeństwo.
Baczny, milczący, duszą odgadywał
Czego on pragnął, lub tylko zachciéwał;
I aby spełnić, co przeczuł do razu,
Nie czekał na to pańskiego rozkazu.
Lecz w czynach jego dostrzegłbyś i buty,
Co oburzałaby się na wyrzuty.
Jeśli ochoczo, nakształt niewolnika,
Najcięższych robót wcale nie unika,
To choć z wylaniem, kornie usługiwał,
Przecież postawą zawsze rozkazywał,

Jakby się zaparł dumy swéj nie na to,
By był skwitowan podlącą zapłatą,
Lecz poświęceniem swém, ślepém bez miary,
Serdecznéj jeno dopełniał ofiary.
Hrabia wzajemnie, zbytnio go nie nużył;
A jeśli pragnął by mu kiedy służył,
To aby trzymał strzemię, podał szarfę,
Przypiął miecz, dzidę, nastroił mu arfę,
Albo przeczytał dla nudów mitręgi,
Kilka kart z dawnéj, cudzoziemskiéj księgi.
Paź z resztą służby nigdy się nie brata,
Ani jéj schlebia, ani nią pomiata,
Lecz swém obéjściem się wskazać jéj pragnie,
Że do jéj sfery nigdy się nie nagnie.
Jakiebądź było jego urodzenie,
Jakabądź godność, społeczne znaczenie,
Mógł on przed Larą płaszczyć się najkorniéj,
Ale nie zniżyć się do jego dworni.
Zdał się odroślą być świetnego rodu,
I znać szczęśliwsze czasy, gdzieś tam, z młodu,
Bo w ciężkiéj pracy, jego pacholęce
Nie poczerniały, ni zatwardły ręce;
Rączki te były cudne tak, tak drobne,
Bielą do twarzy jego tak podobne,
Że płeć kobiécą jawnieby zdradzały,
Gdyby im suknie wręcz nie zaprzeczały;

I wyraz oka, dziki, w uniesieniu,
Jaki nie zdarza się w niewiast spojrzeniu.
Wyraz ten, w ciałku tém, harmonizował
Z klimatem skwarów co je wypiastował.
Lecz choć go często w licu dostrzegano,
Jednak w rozmowie nigdy nie dojrzano.
Kaled miał imię; gwarzą że miał inne,
Zanim opuścił góry swe rodzinne.
Nie odpowiadał nie raz on, istotnie,
Chociaż wołano go niejednokrotnie,
Jakby się jeszcze nie zżył z niém tak dzielnie,
By zlał się w jedną całość niepodzielnie.
Niekiedy znowu gdy go przezywano,
Zwracał się nagle, drgnąwszy na to miano.
Ale gdy Lara czasem doń przemawiał,
Na ten głos słodki wnet ucho nadstawiał,
I okiem, sercem, dziwnie przetworzony,
Przeczuwał czego chce pan uwielbiony.

XXVIII.

Spór niespodziany śród mnogich tak gości,
Nie uszedł także i pazia baczności.
Zdumion tłum kupiąc się w około niego,
Dziwił się zimnéj krwi nieznajomego,
I cierpliwości, mimo jego buty,

Hrabiego Lary na takie zarzuty.
Słysząc te szepty, Kaled wciąż się mienił,
To bladł, to znowu nagle się czerwienił.
Czoło kropliło mu się zimnym potem,
Którym, mdlejąca myśl pod ciosów młotem,
Zalewa skronie nam gdy serce pęka,
Nie mogąc zdławić hydry co je nęka.
Czasem na pewien czyn trza się odważyć,
Zanim zdołamy go głębiéj rozważyć.
Co bądź zamierzył paź, to wystarczyło
Mu, by go łamiąc zgrozą, oniemiło.
Wpatrywał się on w Ezzelina bacznie,
Pokąd mu Lara nie cisnął nieznacznie
Uśmiechu wzgardy, mijając go w tłoku;
Wówczas dopiéro otrząsł się z pomroku
Co go ogarnął, bo uśmiech ten znaczył
Dlań coś, czegoby nikt nie wytłómaczył.
Pomknął więc śpiesznie k'niemu, i w téj chwili
Znikli obadwa gdzieś jakby nie byli.
Rozpierzchli goście po zamkowéj sali,
Samotnie milczkiem po niéj się błąkali.
Każdy z nich wpatrzył się tak w Lary lice,
Tak pragnął zbadać jego tajemnicę,
Że gdy cień jego znikł nagle za drzwiami,
Lśniącémi rzęsnych pochodni światłami,
Wszystkim zabiły serca, jak w ocknieniu

Ze snu twardego, którego znaczeniu
Acz nikt nie wierzy, jednak się go trwoży;
Bo co nam jeno dogryza najsrożéj,
Najbliższém prawdy jest nieodwołalnie.
Lara i Kaled znikli niewidzialnie;
Ezzelin został jeszcze zadumany,
Lecz i on wkrótce groźny, choć stroskany,
Współbiesiadników pozdrawiając grona,
Uściskiem dłoni pożegnał Ottona.

XXIX.

Tłum się rozproszył, i z amfitrionem
Świetnego balu, uprzéjmym Ottonem,
Po całonocnym legł na łoża znoju,
Gdzie w letargicznym odpocznie spokoju.
Tam się i słodkich pociech zapomina,
I boleść jękiem snu się dopomina,
Który jednako wszystko unicestwia,
Aż do poczucia własnego jestestwa.
Tam drzémią społem, i miłości szały,
Którą nadzieje szczęściem kołysały,
I nienawiści piekielne katusze,
Zawistnym zębem rwące biédną duszę.
Na każdém oku stępel niepamięci,
Wyciska piętno grobowéj pieczęci.
I cały byt nasz zawieszon na chwilę,

Spowity w łożu, leży jak w mogile.
Jakież właściwsze to snu legowisko,
Trumna ta cieniów, może mieć nazwisko?
W któréj, jak w grobie, w conocnéj pościeli,
Słabość i siła, smutni i weseli,
Cnota i zbrodnia, pod mroku namiotem,
Jak w sarkofagach, śpią cicho, pokotem?
Szczęśliwy człowiek, że w ciągłym popłochu,
Może przynajmniéj pokrzepić się trochu,
By po ocknieniu, acz każdy dzień znaczy
Nowém cierpieniem żywot nasz tułaczy,
Walczył znów, choć go ból na wskroś przewierci,
Z trwogą, grożącéj mu co chwila śmierci.
Złorzecząc temu snowi ostatniemu,
Niezaprzeczenie najpotężniéjszemu;
Bo kamiennego umarłych uśpienia,
Nie pomitrężą nawet i marzenia!

LARA.

PIEŚŃ DRUGA.

I.

Noc uleciała; wietrzyk ranny zmiata
Mgłę, co nad szczyty gór o świcie wzlata;
I świat się ocknął zbudzon blaskiem słońca.
Zbliżającemu się do swego końca
Śmiertelnikowi, ledwie wstał z noclegu,
Dzień jeden przybył do dawnych szeregu.
Ale gdzie spojrzysz, potężna przyroda,
Jak w dniu stworzenia, prześliczna, jak młoda!
Życie na niebie i życie na ziemi.
Doliny pstrzą się kwiaty rozlicznémi,
Wietrzyk powiewa podmuchem chłodzącym,
Strumień tchnie w przestwór balsamem rzeźwiącym.

Człowieku! wpatruj się w te cudów cuda,
I krzyknij, gdy cię oślepi ułuda,
„Wszystko to moje!“ wpatruj, pokąd pora,
Bo niedaleko do twego wieczora!
A wówczas wzrok twój tak oczarowany,
Już nie zachwyci wdzięk dziś uwielbiany.
Jakiebądź nad twym grobem wrzasną płacze,
Jakiebądź nad nim zawyją rozpacze,
Ani ta ziemia, ni strop ten niebieski,
Ni jednéj nad nim nie uronią łezki;
Żadna się chmura więcéj nie zaciemi,
Ani liść żaden pochyli ku ziemi:
Najlżéjszy wietrzyk nie westchnie nad tobą,
Jęczącym świstem przesiąkłym żałobą;
Jeno robactwo śliniąc twą zgniliznę,
Rozkiszon proch twój zmieni w grunta żyzne.

II.

Już dzień — południe już — więc i panowie
Wezwani wczora, spieszą ku zamkowi.
Ta to godzina ma zawyrokować,
Czy Larą gardzić, czy go uszanować.
Ezzelin winien, wedle przyrzeczenia,
Poprzeć dowodem straszne oskarżenia.
Lara nawzajem, miał wysłuchać wroga,
W obec skupionych rycerzy i Boga.

Czemuż Ezzelin dotąd się nie stawi?
Czyż mąż, co takie rzeczy komuś prawi,
Może ociągać się tak nieoględnie,
Gdy wytłómaczyć je musi niezbędnie?

III.

Godzina przeszła; Lara najspokojniéj,
Jak i zebrani panowie dostojni,
Czekał jak skończy się dziwna ta sprawa.
Lecz czemuż dotąd Ezzelin nie stawa?
W około szepty jakieś się rozniosły;
Groźnie zasępił się Otton wyniosły.
— „Znam Ezzelina!“ krzyknął.—„a więc szczerze,
Jakem mu ufał, i teraz mu wierzę.
Jeśli on jeszcze w żyjących jest rzędzie,
Ręczę zań sobą, wkrótce tu przybędzie.
Przecież nocował blisko, na granicy
Mych posiadłości, i Lary dzielnicy.
Chciałem ugościć go w mym własnym domu,
Któremu pewno nie naniósłby sromu,
Lecz mi odmówił, bo spieszył do siebie,
Za dowodami k'dzisiejszéj potrzebie.
Dałem porękę zań, i daję znowu;
A w konieczności, wierny memu słowu,
Jeżeli usta go znieważą czyje,
Niecną obmowę, w krwi śmiałka obmyję!„

Skończył. A Lara mu na to:—„Mój panie!
Przybyłem spiesznie tu na twe wezwanie,
Aby wysłuchać jakieś niepowszednie,
Potwarcze, gbura i włóczęgi brednie,
Którego kłamstwa wielce mię ubodły,
Gdyby nikczemnik ten nie był tak podły.
Nie znam go... On mnie zda się, znał w krainie
Gdzie... ale po cóż na czczéj gadaninie
Marnować drogi czas? daj mi oszczercę,
Albo, go broniąc, nadstaw własne serce!“
Z gniewu Ottona posiniało lice;
Dobył miecz z pochwy, cisnął rękawicę.
— „Dobrze więc!“ krzyknął,—„to drugie prze-
[kładam.
Chodź! chodź! za niego chętnie odpowiadam!“
Na Lary twarzy nie dośledzi oko,
Co mu tam w duszy nurtuje głęboko,
Acz przed nim grobu paszcza rozdziawiona,
W którą sam runie, lub zwali Ottona.
W ponuréj wszakże Hrabiego źrenicy,
Czasem nienawiść, nakształt błyskawicy
Mignąwszy, trwoży, że on bez litości
Będzie, opętan porywem wściekłości.
Chwycił miecz wzajem; ujęciem go dłonią
Dowiódł, że wcale nie żartuje z bronią.
Próżno sąsiedzi gromadzą się tłumnie;

Otton naprzekor im, urąga dumnie,
Lży Larę, dziko na wszystko się zżyma,
Twierdząc że włócznią groźby te podtrzyma.

IV.

Bój trwał niedługo: zapamiętałością
Oślepion Otton, pod natarczywością
Razów Hrabiego, legł, ale ta rana
Nie jest śmiertelną, choć zręcznie zadana.
— „Błagaj o życie!“ pogromca zawoła;
Lecz Otton milczy, zda się już nie zdoła
Dźwignąć się więcéj z sposoczonéj ziemi.
Oblicze Lary czarny obłok ciemi,
Taka szatańska wściekłość go przenika;
Podniósł zajadléj miecz na przeciwnika,
Niż wówczas, gdy on, stojąc jeszcze krzépki,
Siekł, tytaniczne zwodząc z nim załebki.
Broniąc się, tylko ciosy on odpierał:
Teraz, rozjuszon gniewem co pożerał
Go, wpadł na wroga tak zapamiętale,
Że zwrócił oręż na tych, co zuchwale
Wstrzymali ramię mu, żebrząc litości.
Wkrótce powściągnął się, lecz wzrokiem złości
Powalonego mierzył zapastnika,
Jakby żałował, że walka tak dzika,

Szczędząca życie nieprzyjacielowi,
Darzy zwycięstwem go jeno w połowie.
A więc rozważał, zda się, jeszcze ile
Ciosów miał grzmotnąć, by już legł w mogile.

V.

Podniesion Otton broczył krwią bez duchu.
Lekarz rannemu najlżejszego ruchu,
Jednego słówka wyrzec nie dozwala.
Tłum do przyległéj izby się oddala,
A Lara, groźny tryumfator boju,
Oburzon, milczkiem, w wzgardliwym spokoju,
Dosiadłszy hardo rumaka, ku swemu
Ruszył zamkowi w dali sterczącemu,
Ani spójrzawszy na misterne szczyty
Wieżyc Ottona, lecących w błękity.

VI.

Lecz gdzież meteor ów nocy, co w cieniu
Błysnąwszy nagle, zgasł w słońca promieniu?
Gdzie ów Ezzelin, co tak napastniczo
Przyciąwszy Larze, znikł gdzieś tajemniczo?
Wprawdzie po czynie takim niepowszednim,
Opuścił zamek Ottona przededniem,
Lecz mu ta droga nadto znaną była,
By najczarniejsza noc go z toru zbiła.

Siedziba jego bliska, jednak w domu
Ani pokazał się nawet nikomu.
A gdy przejrzano wszystkie kąty pilnie,
Każdy przekonał się i to, nie mylnie,
Że znikł bez wieści. Rumaki przy żłobie
Stoją spokojnie; wszędy, niby w grobie,
Cicho i smutno; słudzy rozdrażnieni
Mruczą coś sobie, szemrząc zatrwożeni.
Przebiegli lasy, wzgórza, w niepokoju
Szukając śladów mordu, lub rozboju.
Lecz nigdzie, nigdzie, najlżejszéj oznaki,
Coby natchnęła jakąś myśl poszlaki.
Zgalareciała krew nigdzie nie mieni
Traw wybujałych przepysznéj zieleni;
Na żadnym krzaku nie wiszą gałgany
Odzieży, w boju śmiertelnym porwanéj;
Nigdzie odcisków palców sposoczonych,
Oznajmiających wytężeń szalonych,
Gdy dłoń obwisła już w strasznéj obronie,
Jeszcze się wściekle pręży po gazonie.
Takie wskazówki pewnie-b odszukano,
Jeśliby kogo tam zamordowano.
Lecz nie, nie, nigdzie, więc już podtrzymywa
Jeno przyjaciół, nadzieja wątpliwa.
Tymczasem, w głuchym, pokątnym rozgwarze,
Jakiś złowrogi szept krąży o Larze,

Ale wnet milknie, skoro się on zjawia;
Lecz gdy odejdzie, znów każdy objawia
Jakieś domysły, wnioski, przywidzenia,
Nie zbyt pochlebne dla jego imienia.

VII.

Dnie upływały; i już zabliźniona
Oddawna, rana głęboka Ottona.
Ale ocknięta duma jego, głucha
Na głos rozumu, wściekłością wybucha.
Był to potężny pan, i wróg Hrabiego,
Przyjaciel wszystkich nieprzyjaciół jego.
Przeto trybunał kraju upomina,
Aby zapytał Larę o Ezzelina,
Który w istocie, tak mu się odgrażał,
Że samą groźbą każdego przerażał.
Któżby go sprzątnął więc, jeśli nie zdrajca,
Który się lękał, jako winowajca,
Zarzutów jego? szmer coraz się szerzy;
Tłum tajemnice lubi, i im wierzy.
Zkąd ta pogarda Lary dla przyjaźni,
Której powierzyłby, gdy srodze drażni
Go jaka boleść? zkąd to okrucieństwo,
Zakamieniałe na cudze męczeństwo?
Gdzie się nauczył władać tak orężem,

Chociaż wojskowym nigdy nie był mężem?
Czemu tak zdziczał? bo gdy namiętnością
Uniósł się, szalał demoniczną złością;
Nie był to zatem gniew, który obudza
Lada słóweczko, i słówko przystudza.
Ale uczucie jakieś niezgłębione,
Zapadłe w duszę, i w sercu wszczepione,
Obce litości, gdy się pokryjomu
Rozsroży przeciw czemu, albo komu,
A które tylko długie panowanie,
Mogło zatwardzić tak nieubłaganie.
Wszelkie te względy, i usposobienia
Śliczne ludzkości, raczéj potępienia,
Niż przebaczenia bliźniemu przywary,
Ściągały burzę po nad głową Lary,
Która się w końcu zaczęła tak srożyć,
Że mogła nawet Hrabiego zatrwożyć,
Bo on przeczuwał, wiedział co go czeka,
Za nieobecność, może śmierć człowieka,
Który żyjący, czy umarły, wszędzie
Jako cień, ścigać go zajadle będzie.

VIII.

W kraju tym, wielu groźnie się żżymało
Na ciężkie jarzmo, co ich ugniatało.
Nie jeden zdzierca pokój w nim zakłócał,

Nie jeden, gwałt mu za prawo narzucał.
Zewnętrzne wojny i wewnętrzne waśnie,
Wywoływały tam, corocznie właśnie,
Krwawe niesnaski, mordercze załebki,
Które ochoczo na lada zaczepki,
Wznawiały swary i boje domowe,
Dzieląc mieszkańców jego na połowę,
Wielkich przyjaciół, lub wrogów namiętnych,
Bo tam nie było zgoła obojętnych.
Panom swym w twierdzach zapartym warownie,
Posłuszny lennik, w duchu niewymownie
Ich nienawidząc, klął z całego serca.
I dzielnic Lary ludność przeniewiercza,
Wciąż podżegana przez krnąbrne sąsiady,
Milczkiem, w niechętne kupi się gromady.
Lecz nieobecność pana długa w domu,
Nie naraziła go wcale nikomu.
A po powrocie rząd jego łaskawy,
Uśpił do reszty trwożliwych obawy.
Wazale jego przeto, z nieudaną
Go otaczali dawniejszą poszaną,
A jeśli czego skrycie się lękali,
To się o niego, nie o siebie bali.
Tworząc więc jego sobie obraz żywy,
Rzekli: uczciwy, ale nieszczęśliwy.
Smutną postawę jego, i codzienne

Milczenie tęskne, i noce bezsenne,
Nazwano wpływem tajemnéj słabości,
Żrącéj go skutkiem ciągłéj samotności.
Acz boleść jego dom mu zasępiła,
Jednak uprzejmość wszystkich niewoliła,
I nigdy troska zamkowych podwoi
Nie przekroczyła, nim ją nie ukoi,
Bo zawsze każde serce nieszczęśliwe,
Budziło śpiące w nim uczucia tkliwe.
Jeśli był zimnym z panami wielkiemi,
Pogardzającym, z hardo nadętemi,
To jego dusza skrycie żalem drgała,
Gdy go niedola o litość błagała.
Mówił nie wiele, ale w jego progi
Wchodził spokojnie pielgrzym, czy ubogi.
Widoczném było że wciąż z okolicy,
Doń się ściągali liczniejsi lennicy.
Od strasznéj zwłaszcza zwady z Ezzelinem,
Jeszcze serdeczniéj obchodził się z gminem.
Może nieszczęsny bój jego z Ottonem,
Groził mu tajnie czemś nieodgadnioném.
Co bądź zamierzał, więcéj miał stronników,
Niż którykolwiek z jego przeciwników.
Jeśli tak działał z namysłu, to śmiało
Rzec można, że mu dzielnie się udało,
Bo wszyscy sądząc po tém co widzieli,

Co chciał, i jak chciał, to o nim myśleli.
Każdy wygnaniec z dzielnicy sąsiada,
W jego dzierżawach swobodnie osiada.
Żaden nań kmiotek pokątnie nie zrzędził,
Że go wpierw odarł, a potem wypędził.
A nawet dwornia co go wciąż okala,
Nigdy przed nikim nań się nie użala.
Bogacz u niego krył się ze skarbami,
I nędzarz tulił się doń z łachmanami.
Młodzież ściągnięta tłumnie na festyny,
Jarżmiona czarem niezwykłéj gościny,
Dała się snadnie tak obałamucić,
Że go już wreszcie nie chciała porzucić.
Czasem on wskazał zręcznie nienawiści,
Że wkrótce zemsty swéj marzenia ziści.
Miłości szeptał znów słodkie nadzieje,
Że się jéj przyszłość szczęśliwsza zaśmieje.
Bo skoro z wrogiem śmiertelny harc zwiodą,
Piękność zwycięzcy stanie się nadgrodą.
Przygotowano już wszystko, więc Hrabia
Tajemnie w zamku swym się przysposabia,
Obalić hardych możnowładzców państwo,
Krusząc i znosząc odwieczne poddaństwo.
Otton mniemając wzajem, że wybiła
Godzina zemsty dlań, gońca wysyła
Do mniemanego zbrodnia; on w swéj sali,

Okrążon tłumem tysiącznych wazali,
Oswobodzonych już, drżąc, słuchał chętnie.
Jak w zaślepieniu szaloném, namiętnie,
Wszystkie potęgi wyzywali ziemi,
Licząc że niebo stanie za wolnémi.
Bo tegoż ranku w Hrabiego dzielnicy,
Na wyzwoleńców przeszli niewolnicy.
Odtąd ich dłonie nie będą już ryły
Ziemię, krom na ich ciemiężców mogiły.
Taki ich okrzyk; lecz jeszcze do boju
Potrzeba hasła, aby bez rozstroju,
Mszcząc snadniéj zniewag i krzywd uciśnionych,
Zdobyć co rychléj praw swych pogwałconych.
Wiara! swoboda! zemsta! co chcesz z tego
Wybierz, i śmiało pchnij na rzeź bliźniego.
Bo każdy wyraz ten zręcznie użyty,
Wnet przysposabia bankiet wyśmienity,
Dla wygłodniałych wilków i robactwa,
Zabezpieczając zbrodni jéj łajdactwa.

IX.

Kraj ten feudalizm tak ciężko ugniatał,
Że kto chciał, młodym Xiążęciem pomiatał.
Rokosz mógł przeto wybuchnąć otwarcie,
Mając w żywiołach niesfornych poparcie.

Lennik lżąc Króla hańbiącym wyrazem,
Drwił, nienawidząc, i z pana zarazem.
Czekano jeno wodza, i ukradkiem
Los im szermierza zgotował wypadkiem,
Który kłopocon własnémi obawy,
Duszą i sercem przylgnął do ich sprawy.
Wytrącon straszném jakiémś przeznaczeniem,
Z przynależnego jemu urodzeniem,
I stanowiskiem wyższém, społeczeństwa;
Lara, szukając swego bezpieczeństwa,
Od owéj nocy wzmacniał się w około,
Aby przyszłości stawić śmiałe czoło.
Przeważny jakiś wzgląd mu nakazywał,
Taić gdzie bywał i czém się zajmywał.
Wiążąc się przeto z rokoszem, bezsprzecznie,
Własny upadek odwlekał koniecznie.
Nad jego sercem oddawna, ponura,
Ćmiąc je swym cieniem, kłębiła się chmura,
Choć burze co nim niegdyś tak wstrząsały,
Już się powoli pouspokajały.
Teraz znów nagle orkan rozhukany,
Niezabliźnione rwąc mu duszy rany,
Rozpętan wściekłą wolą przeznaczenia,
W dzikich podrygach tego przesilenia,
Takim go znowu przedstawia wymownie,
Jakim był niegdyś, na innéj widowni.

Nie dbał o życie on, ani o chwałę;
A więc na oślep, w groźną tę kabałę
Wplątał się chętnie, będąc przeświadczony
Że już przez wszystkich z góry potępiony.
I śmiał się gorzko, bo choć i sam zginie,
Ale zagrzebie innych w swéj ruinie.
Co mu tam jakaś swoboda bliźniego?
Dźwigał ilotów, by walić hardego.
Mniemał że znajdzie spokój w swéj ustroni,
Lecz los i ludzie zajrzeli i do niéj.
A przeto, jako drapieżny zwiérz w kniei,
Walczył zajadle łowców po kolei.
Można go zabić, ale nadaremnie,
W sidła nie wpadnie, samochcąc, nikczemnie.
Smętny, milczący, nie pragnąc nic a nic,
Patrzał ozięble na ten świat bez granic;
Gdy trafem rzucon znów na walk arenę,
Znając niezwykłych przymiotów swych cenę,
Głosem, postawą, wzrokiem gladjatora,
Wskazywał, że zna boje nie od wczora.

X.

Mamże odnawiać szkaradne obrazy
Opisywanych wojen, tysiąc razy?
Biesiady sępów, i mordy człowieka,

Czy mu los sprzyja, czy odeń ucieka?
Dzikość zwycięzców, podłość zwyciężonych,
I rumowisko grodów obalonych?
Nowa ta klęska jak i jéj siostrzyce,
Brzemienna w ciężkich nieszczęść nawałnice,
Targając wszystkie sumienia wędzidła,
Wywoływała najkrwawsze straszydła.
Nikt miłosierdzia napróżno nie wzywa,
Bo każdy litość wyszydza, wydrwiwa.
Pojmanych jeńców, zaledwie schwytano,
Na poboisku zaraz mordowano.
Oba, koleją zwycięzkie, obozy,
Rozpasywały się na wszelkie zgrozy;
Zastęp ciemiężców, i swobód szermierze,
Krwią obryzgani, w fanatycznéj wierze,
Na konających patrząc, żałowali,
Że nie od razu ich pozabijali.
Nie czas już było zagasić pożogę,
Rzeź i rabunek sieją wszędy trwogę,
Kraj rozgorzałe pustoszą pożary,
Niosąc dań śmierci z codziennéj ofiary.

XI.

Silnym zapałem, w walce przeciw panom,
Los początkowie sprzyjał rokoszanom;
Ale zgubiło ich to powodzenie.

W szeregi Lary, wnet, niepostrzeżenie,
Wśliznął się zamęt; już go nie słuchają;
Bo w zaślepieniu nieszczęsném mniemają,
Że niech się jak chce wstrętny wróg nadyma,
Nigdy natarcia ich, nie! nie wytrzyma.
Zemsta i grabież, pogon łupów marnych,
Wiedzie do zguby ciurów tych niekarnych.
Napróżno Lara w jakiś ład ich wprzęga,
Grozi niesfornym, daremna mitręga!
Bo najdzielniéjszy nawet mąż nie zdmuchnie
Płomień, gdy nagle pożarem wybuchnie.
Wróg przezorniéjszy, łamiąc ich zapędy,
Jeden im tylko wytknąć może błędy.
Udany odwrót, nieprzyjęte bitwy,
Nocne zasadzki, nużące gonitwy,
Głód, pomoc braci sercem nie ochotném,
Obozowisko pod niebem wilgotném,
Potężne mury twierdz, z oblegających,
I z ich wytężeń, zarazem, szydzących,
Oto jest, czego zgraja ta zuchwała,
Ani przeczuła, ani przewidziała.
Do walki jako wdrożeni szli męże,
Ale woleli dobywszy oręże,
Wściekły bój, choćby nałożyć i głową,
Niż szamotanie się z nędzą codniową.
Wkrótce choroby po tłumie plądrując,

Pozniechęcały wielu, dziesiątkując.
Brżmiący donośnie dotąd hymn bojowy,
Sposępniał nagle na pomruk grobowy.
Jedyny Lara, jak wpiérw, nieugięty.
Lecz z jego tłuszczy ocalałe szczęty,
Nie podtrzymują go jak się należy,
Chociaż to hufiec najtęższych szermierzy,
Którzy nakoniec w karność uwierzywszy,
Dotrwali, w okrąg Larę otoczywszy.
Jedną już tylko nadzieją się cieszą,
Granica blisko; jeśli więc pospieszą,
Mogą, rzucając ojczyste zagony,
Ponieść w kraj obcy żal nieutulony,
Żal. i nienawiść strasznego wygnania.
Okropna chwila to, chwila rozstania!
Aleby smutniéj, smutniéj było jeszcze,
Nagiąć swą szyję w niewolnicze kleszcze.

XII.

Więc uchwalono; ku granicy kroczą.
Wybladły księżyc poświatą uroczą,
Tęskny ich pochód przeprowadza w mroku.
Promień miesiąca usnął na potoku,
Który rozdziela dwa sąsiednie kraje.
Już go dostrzegli... Lecz cóż im się zdaje?

Gdzie zajrzéć, ciche strumienia wybrzeże,
Utajon zastęp nieprzyjaciół strzeże.
Co począć?... pierzchnąć? czy wolnym odwrotem
Cofnąć się?... Coś lśni? tak! tu włócznia grotem,
Tam pyszny sztandar dumnego Ottona.
Jakaż to krwawa łuna rozpalona
Płonie na wzgórzach? może te ogniska
Błędnych noclężan znaczą koczowiska?
Nie!... bo jaskrawie tak ich blask się szerzy,
Wzdłuż krzemienistych potoku wybrzeży,
Że o ucieczce nikt ani zamarzy.
A więc co bądź im wstrętny los nadarzy,
Z rozpaczą w sercu, i ziajani znojem,
Jeszcze się zewrą ostatecznym bojem,
Bo nieraz, nieraz, stokroć mniéj krwi płynie,
Kiedy zwycięża człowiek, niż gdy ginie.

XIII.

Stanęli nieco, aby wytchnąć snadniéj.
Natrzéć? czy czekać aż wróg na nich spadnie?
Jeśli uderzą, to może w szeregu
Rozciągającym się po rzeki brzegu,
Zrobiwszy wyłom, otworem przerzniętym,
Chociażby jak był szereg ów ściśniętym,
Kilku przynajmniéj, w ucieczce bezpiecznéj,

Ujdzie zagłady z rzezi ostatecznéj?
„Naprzód, więc! Nuże!“ każdy z nich wykrzyka.
„Nikczemnik tylko spotkania unika!“
Dobyto miecze, rumaki ściągnięto,
Hasło zagrzmiało, wściekły harc zaczęto.
Iluż tu ludziom Hrabiego to hasło,
Zwiastunnym krzykiem śmierci w uchu wrzasło!

XIV.

Miecz jego błysnął, twarz jego ponura,
I choć czarniéjsza coraz ćmi ją chmura,
Nie jest to jednak wyraz, który znaczy
Oblicze, strasznym stygmatem rozpaczy.
Jest to coś więcéj. więcéj coś, niż owa
Zlodowaciała oziębłość sercowa,
Która, w okropnéj chwili, gdy ulata
Smierć, po nad skronią ginącego brata,
Najtęższym mężom nie do przebaczenia,
Że tak zastygli na innych cierpienia.
Spojrzał na pazia; młodzian tuż, przy boku;
Obawy, gdzie tam! niéma w jego oku!
Zapewne światło to smętne miesiąca,
Ale nie trwoga duszę wstrząsająca,
Taką bladością lice mu zalała,
Świadczącą jawnie co mu w łonie pała.
Lara nań patrzy, za rękę ujmuje;

Ani drgnął, ledwie bicie serca czuje,
Milczy, lecz wzrokiem, chociaż nic nie gada,
„Nie rozłączymy się!“ jasno powiada.
„Niech wszyscy giną, niech każdy uciecze,
Serce się moje ciebie nie wyrzecze.
Mogę dla ciebie paść chętną ofiarą,
Lecz nigdy rozstać się, o! nigdy, z Larą!“

Za danėm hasłem, wnet w czwartym szeregu,
Pomknął ku wrogom Hrabia. i na brzegu
Rzéki, harcując na rumaku dzielnym,
Siekł kogo dopadł zamachem śmiertelnym.
Liczbą przeważa znacznie jedna strona,
Lecz w obu wściekłość jednako szalona.
Rozpacz odwadze stawi dziko czoło,
Walą się w stosy trupy naokoło.
Krew ścieka w strugę, nawet jeszcze z rana
Woda jéj, była krwią pofarbowana.

XV.

Rozdrażnion Hrabia, w rycerskim zapędzie,
Własnym przykładem, miotając się wszędzie,
Gdzie jeno srożéj walka się rozjada,
Mordując, rąbiąc, na oślep przypada,
Pragnąc nadzieją krzepić swych rycerzy,
Chociaż oddawna sam już jéj nie wierzy.

Nikt nie ucieka, wiedząc doskonale
Że się ucieczka nie zda na nic wcale.
Tchórzliwsi nawet, patrząc z uniesieniem,
Jak najdzielniéjsi z wrogów, z przerażeniem
Na sam ich wodza widok się cofają,
Znowu do boju zaciekle wracają.
Czasem okrążon on, czasem samotnie
Wrzyna się, wjada w gęsty tłok ochotnie,
I osłupiały tłum przed sobą pędzi,
Bo życia swego bynajmniéj nie szczędzi.
Nakoniec pierzcha nieprzyjaciel, zda się
Wróżba szczęśliwa: Lara nagina się,
Podniósł miecz... Czemuż pióropusz sokoli,
Nagle mu na bok słania się powoli?
Włócznia przeszyła mu piersi; śmierć łamie
Jednym zamachem potężne to ramię.
Już nie obwieszczą tryumfu te usta;
Jakże ta ręka okropnie się husta!
Nie wypuściła przecież jeszcze broni,
Choć już wyciekły cugle z drugiéj dłoni.
Kaled ją ujął. Boleścią omdlony,
Lara na łęku siodła pochylony,
Nie widział jak paź, co prędzéj, rozpacznie,
Go uprowadzał z bitwy gdzieś nieznacznie,
Która wrząc ciągle, trupami nowémi
Przykrywa trupy leżące na ziemi.

XVI.

Już świta; słońce przemknęło promykiem,
Nad konającym i nad nieboszczykiem.
Nad połamanym mieczem, pancerzami,
I zdruzgotanych hełmów kawałami.
Powalon rumak bez jeźdźca, zdychając
Porwał popręgi, w mękach się tarzając.
Tuż obok niego, ostatkiem żywota,
Dziko, w przedśmiertnych podrygach się miota
Ręka, co cuglem nim powodowała,
I noga, która go ostrogą gnała.
Wielu z nich legło przy samym strumyku,
Który drwiąc niby z jęku ich i krzyku,
Choć im piekielne pragnienie dopiéka,
Najobojętniéj od nich gdzieś ucieka.
Darmo go żebrzą o jedną kropelkę,
Kropelkę jedną, coby bole wszelkie,
Wilżąc im gardła spiekłe zgorzeliną,
Ochłodził nieco tą jedną kropliną.
Ku ruczajowi więc, po sposoczonym
Gruncie pełzają, wysiłkiem szalonym,
Goniąc resztkami życia, z wytężeniem
Chylą się wreszcie nad wartkim strumieniem;
Już zanurzyli osłupiałe oczy,
W orzeźwiających modrych fal przezroczy;

Czemuż wstrzymali się, jak osłupiali?
O! już ich więcéj pragnienie nie pali!
Nie czuję go już... było to konanie...
Z którego żaden, żaden nie powstanie.

XVII.

Pod sporą lipą, nieco oddaloną
Od miejsc, gdzie krwawą tak bitwę zwiedziono,
Leżał wojownik, dogorywający
Z ran odniesionych w potyczce gorącéj,
Któréj z umysłu był sprawcą jedynym.
To Hrabia Lara; smutnie klęcząc przy nim.
Paź jego na krok go nie odstępywał,
Badawczo w łono jego się wpatrywał,
Czém miał, rozpacznie, szarfą i szmatami,
Krew mu tamował płynącą falami,
Która, co chwila ciemniejąc, gęstniała,
A wkrótce-tylko po kropli ściekała.
Larze zabrakło tchu, mówić nie może,
Skinął, że nic mu, nic mu nie pomoże.
A nawet nikłe to jego skinienie,
Zrządziło nowe mu straszne cierpienie.
Ściska rozrzewnion kochaną tę rękę,
Co tak pragnęła złagodzić mu mękę,
I zbolałemu tak temu dziecięciu,

Tuląc dłoń jego w krzepnącém objęciu,
Tęsknym usmiechem serdecznie dziękuje.
A paź, choć w niego ciągle się wpatruje,
Nic się nie boi, nie pragnie, nie bada,
Nie domniewywa, nie czuje, nie gada.
Nie widzi, nic, nic, prócz zwilgoconego,
Czoła o łono jego opartego,
I téj wybladłéj twarzy, w któréj oku,
Lśniło mu niegdyś, jak w słonecznym stoku,
Jedyne światło co promieńmi swémi,
Mu ozłacało cały świat na ziemi.

XVIII.

Zwycięzca przypadł po długiéj gonitwie,
Szukając wszędy Hrabiego po bitwie,
Bo niepowróciłby chętnie do domu,
Jeśli-b on wymknął się z tego pogromu.
Chciał go wziąść żywcem, ale się przekonał
Naocznie, że by tego nie dokonał.
A więc nań patrzy z podełba ukosem,
Zdając się godzić z nieodzownym losem
Który jak na złość, acz wroga powalił,
Jednak od strasznéj zemsty go ocalił.
Przybył i Otton, z konia zeskakuje,
W głęboką ranę Lary się wpatruje,

I nienawistnie rozważa stan męża,
Którego niegdyś poczuł moc oręża.
Hrabia upornie milczy, i nawiasem,
Jakby go nie znał, spojrzawszy nań czasem,
Wlepił wzrok w pazia; gdyby i słyszano
Co rzekł do niego, cóżby zrozumiano?
Nic, ani słówka! bo to znowu owa
Nieodgadnięta, dziwna jakaś mowa,
Którą wysnuwał on dawne wspomnienia,
Wielkiego pewnie dla niego znaczenia;
Wywołujące może przeszłość jego.
Lecz jakaż przeszłość ta? nikt nie wié tego.
Kaled wié tylko, bo mu odpowiada,
Lub słodkim głosem swym sam coś doń gada,
Podczas gdy wróg ich zwyciezki, w zdumieniu
Patrzy na obu, słucha ich w milczeniu.
W ostatnich chwilach ich, z jakąż miłością
Wyrugowali obecność przeszłością,
W któréj kroczyli, zda się, jedną drogą,
Niedocieczoną nigdy przez nikogo.

XIX.

Mówili długo, a raczéj jąkali
Coś niewyraźnie; o czémże gadali?
Mniemałbyś, słysząc te szepty młodziana,

Że stokroć bliższy skonania od pana,
Tak słowa jego boleśnie łkające,
Wypłakiwały, zda się, usta drżące.
Jednak głos Lary, choć nieco stłumiony,
Był jeszcze czysty i nienadwątlony,
Pokąd dławiąca czkawka, przed skonaniem,
Nie ochrypiła mu krtani chrapaniem.
Ale napróżnobyś myślą zuchwałą,
Śledził w obliczu tém, co się w nim działo.
Stygnących rysów jego nie odmienia
Szatańskie piętno wyrzutów sumienia.
Tylko, nim ducha wyzionął na wieki,
Zamykające się rozwarł powieki,
I wzrok, przesiąkły uczuciem głębokiém,
Wlepił w Kaleda, gasnącém już okiem.
A gdy paź umilkł, palcem, wznosząc dłonie,
Wskazał, mruknąwszy coś, ku wschodniéj stronie.
Może to odblask promiennych warkoczy,
Na widnokręgu słońca, błysł mu w oczy,
Które o brzasku wschodząc z nocy mroku,
Na falach złota pławi się w obłoku?
Może traf, może téż jakie wspomnienia,
Nakierowały mu rękę od niechcenia
Ku miéjscom, gdzie się coś, kiedyś, zdarzyło.
Sam paź nie wiedział coby to znaczyło,
Ale odwrócił oczy z przerażeniem;

Klnąc porannemu światłu z oburzeniem,
Które jaśniejsze blaski coraz lało,
Na czoło Lary trupie, twarz zsiniałą.
Chociaż już prawie zmysłami nie władał,
Hrabia ich jeszcze całkiem nie postradał.
Jeden z rycerzy go otaczających,
Dobył z zanadrza krzyż, godło cierpiących,
Chcąc mu go podać u wieczności progu,
Aby duch jego wzlatując ku Bogu,
Wyzwolon wreszcie z cielesnéj obróży,
W téj zamogilnéj, ostatniéj podróży,
Miał na czém spocząć; ale Lara drwiąco
Spójrzawszy na tę świętość wszechmogącą,
Rozśmiał się... Przebacz! o! przebacz-mu panie!
Jeśli ten uśmiéch znaczył urąganie.
A Kaled? Kaled rozpaczne źrenice,
Wlepiwszy niemo w ukochane lice,
Odepchnął rękę, która mu przybliża
Niebo z Chrystusem, za przyczyną krzyża.
Kaled nie wiedział, że życie Hrabiego,
Właśnie, zaczyna się od śmierci jego;
Ta nieśmiertelność, którą Bóg udziela,
Tylko wyznawcom wiernym Zbawiciela.

XX.

Wojownik dostygł; z zakrzepłego ciała,
Z bolesnym jękiem dusza uleciała.

Źrenicę jego unieruchomioną,
Skon przykrył kiru ponurą obsłoną.
Członki wyciągnął, prężąc się i drgając,
Na twardéj ziemi, a głowa spadając
Legła na wątłe, dziecięce kolana,
Nieodstępnego na chwilkę młodziana,
Który obłąkan, jeszcze raz przykleja
Dłoń mu do serca. Daremna nadzieja!
Serce nie bije już; on bada, bada,
Wciąż jego tętna, nie! nie odpowiada
—„Drga jeszcze!“ krzyknął; co ci? marzycielu!
Ty szukasz życia w martwym przyjacielu?
Jego już niema! niema! tylko martwe ciało
Twojego Lary, przy tobie zostało.

XXI.

Kaled, choć serce rwie mu ból głęboki,
Wlepił wzrok zimny w skostniałe już zwłoki,
Jakby duch jeszcze nie rozstał się z gliną,
Któréj był niegdyś życiem i sprężyną.
Wydarty gwałtem z téj strasznéj zadumy,
Nie spojrzał nawet na skupione tłumy.
Gdy oderwano go już od bladego
Trupa, posoką spiekłą ociekłego,
Gdy ujrzał głowę tę, czoło, te oczy,
Które nim zgniją, robactwo roztoczy,

Nie rwał—wijących się mu po nad skronią,
Kruczych pierścieni włosów—wściekłą dłonią.
Ale osłupion naprzód, nagle potem
Runął, jak posąg obalony grzmotem.
Kochał za wiele! O! takiéj miłości.
Nie szukaj próżno w uczuciach ludzkości!
Więc tajemnicę, przeczutą w połowie,
Zbadano wreszcie całkiem, wypadkowie,
Rozdarto szatę mu, zaczęto cucić,
Serce, co więcéj nie będzie się smucić.
Cóż to? kobieta! paź oprzytomniały,
Nie zarumienił się, co mu świat cały?
Co poważanie, albo wstyd niewieści.
Czy uszanuje go kto, czy zbezcześci?

XXII.

Przodków grób, Lary trupa nie pochłonął:
Leży na miejscu gdzie ducha wyzionął.
Sen jego przecież spokojny i cichy,
Jakby się modląc, grzebali go mnichy.
I wzniósł się nad nim pomnik marmurowy.
Śmierć jego, jeden jeno pogrobowy
Żal opłakiwał, ale rozpacz jego,
Silniejszą była niż ludu całego,
Żegnającego Króla nieboszczyka,
Gdy mu mogiłę na wieczność zamyka.

Próżno o przeszłość chciano ją wybadać;
Nie racząc słówka na nic odpowiadać,
Nie rzekła nigdy, dla czego, i czemu,
Tak poświęciła się bezwzględnie, temu
Co zda się, nie miał serca dla nikogo.
Głupia ciekawość! czyliż ludzie mogą
Miłość określić? czyż wola człowiecza,
Kiedy chce stwarza ją, gdy chce zniwecza?
Może ją Lara kochał całą duszą;
Serca kamienne kiedy się raz wzruszą,
To takim wrzątkiem zakipia ich głębia,
Że go nic potem nigdy nie wyziębia;
Więc gdy kochają, możnaż im przyganiać
Że swoją świętość nie lubią wyłaniać?
Coś ją wielkiego przykuło do Lary,
Gdy się dłań wzniosła do takiéj ofiary!
Lecz nie złamało nic wstrętu dziewicy,
Do wyjawienia mglistéj tajemnicy;
Potem śmierć, wszystkie usta oniemiła,
Którym zagadka ta świadomą była.

XXIII.

Hrabiego zwłoki zagrzebano w ziemi.
Pierś jego blizny znaczona mnogiemi,
Otrzymanemi nie w obecnéj wojnie,
Świadczyła jawnie, że mu niespokojnie

Ubiegła młodość śród dalekich krajów,
Ale nikt nie znał jego obyczajów.
Czy on zasłynął w nich rycersko, godnie,
Czy jak nikczemnik puszczał się na zbrodnie.
Rany te tylko wyjawiają teraz,
Że krew obficie płynęła mu nieraz.
Ezzlin, co resztę mógłby dopowiedzieć,
Znikł już oddawna, jak? nikt nie mógł wiedzieć.
Noc, w której wszystko wygadać chciał gniewnie,
Była ostatnią nocą dlań zapewnie.

XXIV. [3])

Mówią że nocy nieszczęsnéj téj, (wnioski
To jeno nader wątpliwéj pogłoski.)
W chwili gdy światło posępne miesiąca,
W brzaskach przedświtu wschodzącego słońca,
Ranną obsnute mgłą, w pomroku zbladło,
Wieśniak przechodził dolinę zapadłą,
Jako drwal, żywiąc rodzinę swą, co dnia
Biegł on do lasu na zarobek do dnia.
Krocząc obecnie nad bystremi cieki
Osamotniałéj, o téj dobie, rzeki,
Dzielącéj Lary spore posiadłości,
Od ziem Ottona w całéj ich długości.
Usłyszał nagle szelest jakiś w krzaku,
I ujrzał jeźdźca na pysznym rumaku;

Na siodle przed nim, niedocieczonego
Coś, kołysało się przysłoniętego.
Jeździec ów zwiesił głowę, zakrył czoło;
Zdumion widziadłem tém, drwal naokoło
Spojrzał badawczo przeczuwając zbrodnię,
I skrył się, jeźdźca szpiegując wygodnie,
Który dopadłszy rzéki, z konia skoczył,
Od siodła szybko owo coś odtroczył,
Wdarł się na strome wybrzeże, i cisnął
Ciężar w nurt wody, aż w krąg się rozprysnął.
On stał, wciąż wodząc niespokojnym wzrokiem,
Który zawieszał często nad potokiem,
Jakby go mógł w czemś niespodzianie zdradzić.
Nagle drgnął; aby więc złemu zaradzić,
Biorąc największy głaz z mnogich kamieni,
Rozsianych zlewą zim, albo jesieni,
Rzucił go w rzekę, ale tak misternie,
Że gdzie wymierzył, ugodził nim wiernie.
Ciekaw drwal w gąszczy przykucnął bezpiecznie,
I niewidzialny, wszystko dostatecznie
Z kryjówki widział sam: więc mu się zdało,
Że ciało ludzkie po rzéce pływało,
A nawet mniemał, że dostrzegł czasami,
Gwiazdę na piersiach sypiącą iskrami.
Lecz nim rozważył tę sprawę szkaradną,
Ogromny kamień pogrążył ją na dno,

Trup raz wypłynął jeszcze, ale oku
Ciężko go było rozeznać w pomroku;
Tylko na falach, kręgi malowane
Krwią, roztoczyły się zafarbowane.
Jeździec wciąż patrzał, czerwone kryształy
Wodnych obręczy wreszcie posiniały;
Wówczas, rwącego się dosiadł bieguna;
Koń wyciągnięty przy ziemi jak struna,
Pędził, lecz jeździec miał maskę; trupowi
Nie udało się przypatrzyć kmiotkowi.
Gwiazda to jednak, świetna gwiazda była,
Co mu na piersiach takim blaskiem lśniła.
Widziano także ją w zamku Ottona,
Promieniejącą u Ezzlina łona.
Jeśli to on tak zginął niespodzianie,
Nad jego duszą ulituj się, Panie!
Trup jego spławion strumienia prądami,
Spoczął w otchłaniach morza pod wałami.
Ale szlachetniéj myśleć, że oszczérstwo
Tylko, przyznało Larze to morderstwo.

XXV.

Ezzelin — Lara — paź — znikli ze świata,
Ale ich mogił kamień nie ugniata.
Próżno Kaleda od miejsc odrywano,
W których Hrabiego zwłoki pogrzebano.

Duszę jéj hardą rozpacz tak złamała,
Że nie płakała już, ani jęczała.
Jeśli ją kiedy nieludzkim sposobem,
Chciano rozłączyć gwałtem z Lary grobem,
Z którego, czasem jéj się wydawało,
Widmo zmarłego do niéj wyglądało,
To zapalała się złość w jéj źrenicy,
Jak u broniącéj tygrysiąt tygrzycy.
Lecz jeśli smutek jéj uszanowano,
Nie raz, litując się nad nią, słyszano
Rozmawiającą ją z duchy smętarza,
Jakie obłąkan jeno umysł stwarza.
Czasem skarżyła się im; lub siadając
Pod starém drzewem, pod którém, konając
Na jéj kolanach Lara złożył głowę,
Uobecniała sobie chwile owe.
Uciąwszy pyszne hebanowe sploty,
Często, w przystępie śmiertelnéj tęsknoty.
Dobywszy krucze ich z zanadrza skręty,
Zrywając pierścień warkocza zwinięty,
Na trawie, lekko go wciskając, słała,
Jakby krew z rany komuś tamowała.
A potem marą tę o cóś pytając,
I sama sobie coś odpowiadając,
Nagle zerwawszy się, drżąca, wybladła,
Wskazując potwór jakiegoś widziadła,

Chciała uciekać z tym kimś pokąd pora,
Od wyobraźni przywidzeń upiora.
Niekiedy znowu, pod lipą, na ziemi
Siedząc, podparta łokciami chudémi.
Twarz kryła w dłonie, lub jakiemiś znaki
Na piasku dziwne kreśliła gzygzaki.
Tak trwać nie mogło; a więc wkrótce potém.
Legła przy Larze na wieczność pokotem,
I tajemnicą przeszłość jej została,
Prócz, że kochała, i kochać umiała.

PRZYPISY.

PRZYPISY.

1) *Lara*, Zaczęty przy końcu Maja, 1814 roku, wyszedł pod anonimą następnego Sierpnia. Poemat ten uważają wszyscy za dalszy ciąg *Korsarza*.

Lord Byron ogłosiwszy Korsarza, w Styczniu, 1814 roku, oznajmił uroczyście, że na pewien czas przynajmniéj, zarzuci zupełnie poezje. Wszystkie jego listy z Lutego i Marca, postanowienie to stwierdzają. Dziewiątego Kwietnia, rankiem, pisał on: „Żegnam was rymy, a raczéj, nie spodziewajcie się ich odemnie. Wieczny rozbrat także ze sceną, nie ujrzą już mnie tam nigdy.“ Dnia tegoż samego, wieczorem, nadzwyczajny dodatek do Gazety doniósł o abdykacyi w Fontainebleau, a nazajutrz rano, poeta złamał swe postanowienie, napisawszy *Odę do Napoleona*, którą w Miscellaneach pomieszczono. Ogłosił on ją

natychmiast pod pseudonimem. Nie zmieniał wszakże poprzedniego swego zamiaru, a nawet, zrażonego potwarzami wrogów, opanowała szczególniejsza chętka, wykupiwszy wszystkie pozostałe swe dzieła w księgarniach, co rychléj je popalić. Ale były to zachcianki czysto poetyczne, i Byron wkrótce się z nich otrząsł.

2) Nie od rzeczy może będzie nadmienić czytelnikowi, że Lara jest imię hiszpańskie. A że poeta nie wskazuje, jaki kraj i epoka były widownią wypadków opowiedzianych w poemacie, ani do jakiéj narodowości bohatér jego należał, nazwa *wazal* nie właściwie określałaby mieszkańców posiadłości Hrabiego, bo w Hiszpanji nie było niewolników przykutych do gleby. Byron też w inném miejscu wzmiankuje, że dzierżawy Lary były w Morei.

3) Przedmiot do 24 ustępu Pieśni II, nastręczyła mu śmierć, a raczéj pogrzeb Xięcia Gandji.

Najciekawiéj, i najszczegółowiéj zarazem, wypadek ten Burchard tak podaje:

„8 Czerwca, Kardynał Valenza i Xiąże Gandja, synowie Papieża, wieczerzali u matki swéj Vanozzy, przy kościele *S. Petro ad Vincula*, dzieląc ucztę z mnogiémi biesiadnikami. Późnym już wieczorem, Kardynał przypomniawszy bratu, że czasby wracać do pałacu apostolskiego, dosiadł z nim konia czy muła, i w poczcie kilku sług, kroczyli społem do pałacu Kardy-

nała *Assanjo Sforza.* Tam Xiążę powiedział Kardynałowi, że jedzie na zalecanki. Odsyłając przeto cały swój orszak, prócz swego *stafiero* (pokojowca), i człowieka zamaskowanego który przybył doń czegoś podczas wieczerzy, a od miesiąca prawie częste z nim miewał schadzki; posadziwszy go na koniu za sobą, zwrócił na ulicę Żydowską, gdzie rozłączając się ze sługą, kazał mu czekać do oznaczonéj godziny, poczém mógł odjechać. Niewiadomo dokąd Xiążę z zamaskowanym człowiekiem udał się tak tajemnie, ale téj saméj nocy, zamordowanego Xięcia wrzucono w rzékę. Pokojowca także raniono ciężko, i mimo najtroskliwszych starań, niepodobna mu było objaśnić co się z panem stało. Gdy rankiem Xiążę nie wrócił, służba jego zatrwożyła się wielce. Jeden z jego dworzan, oznajmił Papieżowi o wycieczce synów jego wczorajszéj, i o nieobecności Xięcia. Papież zatrwożył się bardzo; ale, mniemając że syn jego przepędziwszy noc na umizgach, nie chciał w dzień wychodzić, czekał wieczora. Zawiedzion w nadziei, zasmucony nie żartem, przywoławszy wielu ludzi, wybadywał ich osobiście. Jeden z nich, niejaki *Giorgjo Schiavoni*, mający na rzéce łódź naładowaną budulcowém drzewem, nocował na statku. Człowiek ów, na zapytanie czy nie wrzucono kogo przy nim w wodę, odrzekł, że widział dwóch ludzi pieszych, którzy wychodząc z ulicy, przéjrzeli brzeg bacznie,

przeświadczywszy się że zupełnie pusty, odeszli. Dwóch innych ludzi powtórzyło to samo. Poczém ostatni skinęli na towarzyszy, i wystąpił jeździec na białym koniu, wiozący za sobą trupa przywiązanego poprzecznie, którego nogi wisiały z jednéj strony siodła, a głowa z drugiéj. Dwóch poprzednio dostrzeżonych ludzi, podtrzymywało ciało aby nie upadło. Podeszli oni ku miéjscu gdzie ściągano wszelkie nieczystości miasta, i obracając konia tyłem ku rzéce, ująwszy trupa za ręce i nogi, cisnęli go całą siłą w wodę. Jeździec zagadnął czy już po wszystkiém, odpowiedziano: *Signior, si*, (tak, panie); spójrzał wówczas na wodę, i widząc pływający płaszcz po jéj powierzchni, zapytał co to się czerni. Płaszcz, ktoś mu odrzekł, i potężnym, zręcznie rzuconym kamieniem, pogrążył go na dno. Papież zagadnął czemu Giorgjo nie wyjawił tego Gubernatorowi miasta. On odparł, że widząc w krótkim czasie ze stu podobnych topielców w tém samém miejscu, o których nikt nie pytał, nie troszczył się także o tego. Zwołano łodziarzy i rybaków dla wyprowadzenia śledztwa. Znaleziono trupa Xięcia w całém ubraniu, i trzydziestu dukatami w kieszeni. Okryty był dziewięcią ranami, z których jedną przecięte miał gardło; inne pokaleczyły mu głowę, piersi i resztę członków. Gdy Papież przekonał się o śmierci syna i że wrzucono go tak plugawie w rzekę, zesmutniał bardzo, i zamknąwszy się w swym

pokoju, płakał gorzko. Kardynał Segowji i inni panowie przybyli do pałacu spiesznie. Po mnogich domaganiach się wpuszczono ich do niego. Od Środy wieczora do następnéj Soboty, nic nie jadł i nie spał. Wreszcie, na prośby przyjaciół, uspokoił się powoli, uznając że zbyteczny żal mógłby nadwątlić mu zdrowie.“

Roscoe's Leo Tenth. Vol. 1, page 265.

KAIM.

Misterjum

LORD'A BYRONA,

W TRZECH AKTACH.

BARONETOWI

WALTER-SCOTT.

MISTERJUM TO

Poświęca

SERDECZNY PRZYJACIEL I UNIŻONY SŁUGA,

BYRON

PRZEDMOWA.

Utwór następny przezwałem *Misterjum*, zgodnie z dawniéjszémi miany, nadawanémi dramatom wysnutym z podobnych przedmiotów. Unikałem starannie swawoli nader wybitnéj w analogicznych temu poematach, o czém przeświadczyć się może każdy ciekawy czytelnik, przéjrzawszy bluźniercze te płody, przepełniające literatury: Angielską, Francuską, Włoską i Hiszpańską. Osoby me przemawiają językiem cechującym ich osobistości, a gdy, co rzadko się zdarza, zamieniam go niekiedy frazami Pisma Świętego, to ustępy owe przytaczam prawie dosłownie, ile rytm tekstu dozwala. Czytelnik raczy sobie przypomnieć, iż Geneza nie wspomina wcale, aby djabeł kusił Ewę, lecz po prostu wąż we własnéj postaci, z powodu, *że był najchytrzéjszym ze zwierząt.*

Jakkolwiek wyrażenie to tłómaczą Ojcowie Kościoła i Rabini, ja, w żadne metafory się nie wdając, odpowiem: „*patrzcie w xięgę*“, jak Biskup Watson odrzekł wskazując na Biblię, gdy mu podczas sporów w Cambridge, przytaczano Ojców powagi. Nadmieniam także, że przedmiot mój ani tyka *Nowego Testamentu*, odnosić go doń więc byłoby anachronizmem.

Poemata mające pewien związek z *Kaimem*, niezmiernie dawno czytałem. Od dwudziestu lat nie zaglądałem do Miltona; lecz poprzednio tylekrotnie go wartowałem, że prawie wszystko pamiętam. Czytałem raz tylko w Aberdeen, w ósmym roku życia, *Śmierć Abla*, Gessnera. Xiążka ta wywarła na mnie ogólne miłe wrażenie, ale przypominam sobie tylko, że w poemacie tym, żona Kaima nazywała się *Mehala*, a Abla *Thirza*. W utworze mym mianowałem je imionami żon *Lamecha: Adah* i *Zillah*, pierwsze imiona niewieście spotykane w Genezie, która wreszcie nazw małżonek Kaima i Abla nie przytacza. Czy przeto powinowactwo przedmiotu, nastręcza mi czasem podobieństwo myśli i wyrażeń, nie wiem i nie wiele mię to obchodzi.

Czytelnik przypomni sobie jeszcze, o czém zapewne, zapomniał, że warunków pośmiertnego bytu nieokreślają wcale *Xięgi Mojżesza*, ni *Stary Testament*. *Posłannictwo Boże Mojżesza* Warburtona, tłómaczy jako tako dziwne to przemilczenie, lepszego jednak nie mamy. Obja-

wa go przeto Kaimowi, nie wykrzywia, zda mi się, podań Pisma Świętego.

Co do języka Lucypera, niepodobna mi było nakazać mu prawić kazania, ale powściągałem go całemi siły, aby czasem nie bryknął po za obręby duchowéj przyzwoitości.

Jeśli przeczy on kuszeniu Ewy w postaci węża, to dla tego, że w Genezie najmniéjszego podobieństwa niéma do téj przenośni, która nadmienia tylko o wężu jako o wężu, nic więcéj.

Czytelnik ujrzy że w poemacie tym idę za zdaniem *Cuviera*, twierdząc, że świat przed stworzeniem człowieka, przekształcał się w ciągłych przewrotach. Pojęcie, oparte na rozmaitości pokładów globu, i odgrzebywanych kościach znanych i nieznanych zwiérząt, nie przeciwi się zgoła podaniom Mojżesza, owszem wspiéra je raczéj, gdyż ani jednéj kosteczki ludzkiéj nie znaleziono w tych wykopaliskach, acz kości znanych zwiérząt, leżą stajami na kościach nieznanych, lub téż przy nich. Wywód Lucypera, że świat Przed-Adamowy zaludniały istoty daleko od nas rozumniejsze, i siły dorównywającéj mamutom, jest po prostu wymysłem poetycznym, podtrzymującym podstępne jego wybiegi.

Jeśliby zresztą systemat jaki i udowodnił, że świat starszym jest o wiele tysięcy lat, od epoki objętéj chronologją Mojżesza, gdyby kto i przekonał że Adam i Ewa, wąż i jabłko, są

jeno fikcjami, cóż ztąd? czyż rzecz się przez to wyjaśni? Ponieważ wszystko musiało mieć swój początek, mniejsza gdzie on sięga.

Przypuszczając nawet światy Przed-Adamiczne, zawsze one miały początek swój i stwórcę; bo przecież rozumniej mniemać że ktoś je potworzył, niż że są jeno atomów wypadkowym zlepkiem.

Winienem dodać jeszcze że istnieje *melo-tragedja* Alfierego, pod nazwą *Abel.* Nie czytałem jéj nigdy, jak żadnego z dzieł jego pośmiertnych, prócz jego *Życia.*

LIST

Walter-Scotta do **M. Murraja**, Wydawcy Pism **Lorda Byrona.**

Edymburg, 4 Grudnia, 1821.

Kochany Panie!

Na pochlebną odezwę do mnie Lorda Byrona, aby imię me umieszczono na czele prawdziwie potężnego i strasznego dramatu jego, pod nazwą *Kaim*, przyzwalam serdecznie. Może mam trochę słabostki do tego utworu, lecz przyznasz mi Pan zapewne, słuszność. Z têm wszystkiém jednak, nie wiém doprawdy, czy sprężysty ten umysł, wzbił się kiedy do niedościgłych tak wyżyn. Walczy on tu z Miltonem na jego własnym gruncie. Są wprawdzie ustępy, które, nie harmonizując z pojęciami pe-

wnych czytelników, jaskrawémi barwy mogą ich przerażać; inni znowu, powtórzą je z przesadą, lub zawiści żółcią. Lecz w takim razie, niech ci ostatni potępią i *Raj utracony*, jeśli chcą mieć czyste sumienie. Djabeł, rzeczywiście, po djabelsku rozprawia, lecz zuchwałe jego i jego adepta wybuchy, wiodą niechybnie do nieuniknionéj katastrofy, przewidzianéj z góry, piérwszego mordu i rozpaczy, a następnie kaźni przestępcy.

Nie pojmuję jak można oskarżać autora o dążności *manicheistyczne*. Diabeł wyraża się, zapewne, po swojemu, bo zniewolon do uznania pierwiastku dobra, rozdrażnia się sam zapamiętale, czyli, roznamiętnia pierwiastek zła, aż do pozornego współzawodnictwa z Bogiem? Ale wszystkie te skoki w ustach podobnego panicza, mają tylko na celu matactwo, złość, zdradę, i t. d.

Koniec końców, nieodzownem, widać było, aby potężny duch, jak Byrona, zmącił Panu *wodę*, bo wyłączywszy *John-Bulla* *), zapadliście, czemuś, w Londynie, w dziwny jakiś zastój.

*) Nazwa Tygodnika, wywierającego niezmierny wpływ w owéj epoce.

Kaima zaczętego w Rawennie, 16 Lipca, 1831, a skończonego 9 Września, ogłoszono w jednym tomie z *Sardanapalem* i *Dwoma Foscarami*, w Grudniu tego samego roku.

Żadne dzieło Lorda Byrona nie wywołało może takiego uwielbienia dla jego genjuszu; żadne nie naraziło go na takie napady i potępienia.

Nietylko najsurowsze rozbiory *Kaima* zasypały dzienniki epoki, lecz stworzył on w dodatku wyłączne pismo, pod nazwą: *Nauczka p. Murrayowi za nową publikację*, przez Oxoniena.

Dowiedziawszy się że wydawcy jego grożą nie żartem za ogłoszenie *Misterjum*, Lord Byron posłał p. Murray list następny:

LIST

Lorda Byrona do M. Murraja, ogłoszony we wszystkich pismach Angielskich.

Piza, 8 Lutego, 1822.

Napadają, mój kochany na mnie; nie dziwi mnie to i nikogo wcale. Ale widzę z dzienników, żeś także oberwał; tego, doprawdy nie przeczuwałem zgoła. Jakto! odpowiedzialność na kogóś za me pisma walić! zkąd data? bardzo przepraszam! Jeśli *Kaim* jest dziełem gorszącém, *Raj Utracony* ani troszeczkę nie lepszy; a przyznawany mi przymiot przez jakiegoś gentlemana z Oxfordu, że *zło mém dobrém*, głosił i *Szatan* Miltona. Cóż innego czyni Lucyper w Kaimie? Kaim jest dramatem, nie rozumowaniem. Jeśli Lucyper i Kaim przemawiają, jak winne być odezwy piérwszego buntownika i piérwszego zbójcy, inne osoby mówią

zgodnie z ich usposobieniami, a najburzliwsze namiętności są właśnie podstawą wszelkiego dramatu. Nie wprowadzałem z umysłu Bóstwa, jak Pismo Święte, co pozwala sobie niejednokrotnie i Milton błędnie; podstawiłem zań tylko Anioła, aby mi nie wymiatano, żem nie określił dostatecznie pojęcia najwyższéj idei, czego nie dosięgnie nigdy najtęższy umysł, najsilniéj natchniony. W dawnych misterjach ściągano najswobodniéj Boga na widownią działań; ale ustrzegłem się tego w Kaimie.

Napady na ciebie, bo wiedzą że zemną nie gładko to idzie, nazywam podłością ubliżającą epoce. Jakto! gdy od siedemdziesięciu lat dano pokój wydawcom Gibbona, Huma, Priestleja, Drummonda, ciebie jednego mają tylko szarpać za dzieło cudze, czystéj wyobraźni, nie historyczne bynajmniéj, ani polemiczne? Musi tam coś być u spodu pod tą pokrywą faryzeuszowską; pokątna jakaś złość ku tobie, bo inaczéj sam djabeł nie zgadłby czego chcą, i co to znaczy.

Oznajmiam wszystkim przeto, że proszę cię usilnie, abyś skierował ku mnie, *me, me, ad sum qui feci*, pociski zwrócone na cię; że winienem i pragnę je odbić; że, jeśliś stracił na wydawnictwie Kaima, nakład zwracam; że radbym aby wiedziano, że ty, pp. Gifford i Hobhouse, odwodziliście mnie od téj publikacyi; żem się sam uparł stanowczo, i że, następnie, jam tylko winien odpowiadać za nią

przed trybunałem, lub czembądźkolwiek. Jeśli nie przestaną cię dręczyć, wrócę do Anglji, aby wiedzieli do kogo się udać; donieś mi więc o tém. Nie dozwolę, aby z powodu mego ci ubliżano. Z listem tym zrób co zechcesz.

Twój

BYRON.

P. S. Piszę do ciebie z powodu tego wrzątku złości i niedorzeczeństw, nad brzegami Arno, przy blasku xiężyca letniego (bo nasza tu zima jaśniejsza od waszego lata), lśniącego na falach rzéki i w szybach pałaców. Jak to wszystko spokojne, przejrzyste! Jakiemiż atomami jesteśmy względnie najdrobniéjszéj z tych gwiazdeczek!

KAIM.

(Owóż wąż najchytrzéjszym był ze wszystkich zwierząt stworzonych przez Pana.)

Genesa, R. III, W. I.

OSOBY.

Mężczyźni.

ADAM.

KAIM, albo KAIN.

ABEL.

Duchy.

ANIOŁ.

LUCYPER.

Kobiety.

EWA.

ADAH, albo ADA.

ZILLAH, albo SELLA.

KAIM.

AKT PIERWSZY.

Scena 1.

(Okolica Raju.—Wschód słońca).

Adam, *Ewa*, *Kaim*, *Abel*, *Adah*, *Zillah*,

składają objaty.

ADAM.

Boże przedwieczny! Najwyższa mądrości!
O niezgłębiony! coś z otchłani nocy
Trysnąwszy blaskiem, słowem Twej wszechmocy,
Odbił na falach ten strumień światłości,
Chwała-ć o Panie! chwała! chwała! chwała!

EWA.

Od nocy coś Boże! brzaskiem oddzielił
Dzień, któryś ranku poświatą pobielił;
Coś zlał w kotliny świata wód odmęty,

I pozawieszał nieba firmamenty
Nad dziełem Twojém Jehowo! cześć, chwała-ć!

ABEL.

Boże! coś cudem, z żywiołów warchołu,
Wywiódł powietrze, ogień, wodę, ziemię,
Noc, dzień i światy, które się, koleją,
Czernią ich czernią, lub bielą bieleją;
A z niémi, Panie! stworzyłeś pospołu,
By użytkując z nich, człowiecze plemię
Wielbiło Ciebie! Boże! chwała-ć! chwała!

ADAH.

Boże! Jehowo! Ojcze wszech-przyrody!
Coś stworzył ród ów w tak cudnéj ozdobie,
By go ukochać dla cnót i urody,
Najserdeczniéjszą miłością po Tobie,
Pozwól, niech cząc Cię, gorąco, w pokorze,
Kocham go także; chwała-ć! chwała! Boże!

ZILLAH.

Boże! coś dziełu błogosławiąc swemu,
Pozwolił jednak, Panie! obmierzłemu
Wężowi wpełznąć aż do Raju Twego,
I wygnać ojca zeń sromotnie mego,
Od nieszczęść nadal zachowaj nas! chwała-ć!

ADAM.

Kaimie! synu pierworodny, czemu
Milczysz?

KAIM.

Cóż mówić mam?

ADAM.

Jakto? pacierze.

KAIM.

Wszakżeś się modlił!

ADAM.

Modliłem, i szczérze.

KAIM.

Głośno, słyszałem.

ADAM.

I Bóg słyszał, wierzę.

ABEL.

Amen!

ADAM.

Dla czegoż milczysz tak upornie?

KAIM.

Ha! wolę milczéć!

ADAM.

Czemu?

KAIM.

Niémam o co
Prosić.

ADAM.

Dziękować nie masz za co kornie?

KAIM.

Nie.

ADAM.

Czyż nie żyjesz?

KAIM.

Nie umręż?

EWA.

Ah! po co
Spada już owoc zakazany?

ADAM.

Panie!
A my go zdéjmiem na nasze skaranie.
Na cóżeś drzewo wiedzy tam zasadził?

KAIM.

A któż ci zerwać zeń owoc doradził?
Czemuś nie uszczknął go z drzewa żywota;
Cóżby ci zrobił wówczas twój despota?

ADAM.

Synu mój, nie bluźń! o! węża to mowa!

KAIM.

Nie! prawdę samą rzekły jego słowa!
Tu wiedzy owoc, a tam owoc życia.
Oba jednako dobre do spożycia.
Więc jednoczesne ich czemuż użycie
Ma być zabójczém? Czemu?

EWA.

Moje dziecię!
Bredzisz jak niegdyś jam w grzechu bluźniła,
Przed narodzeniem twém gdym przewiniła,
Oby nieszczęście me nie spadło na cię.
Oby cię, synu, po Raju utracie,
Nie opętały te złowrogie szały,
Które rodziców twoich zeń wygnały.
Gódź się z twym losem, gdybyśmy umieli
Cenić nasz niegdyś, o! i nie pragnęli
Wciąż czegoś więcéj, byłbyś dziś szczęśliwszy.

ADAM.

No! do roboty! pacierze skończywszy,
Nie traćmy czasu. Acz konieczna praca,
Ale nam szczodrze lekki trud opłaca;

Bo młodociana ziemia hojnie raczy,
Bujnémi plony, zabiegi oraczy.

EWA.

Kaimie, synu! patrz na ojca twego,
Rozjaśń oblicze, pójdź za wzorem jego.
(*Adam i Ewa odchodzą*).

Scena II.

Zillah, Abel, Adah, Kaim.

ZILLAH.

Nie uspakajasz się, bracie?

ABEL.

Dla czego
Wyzywasz, marszcząc brwi, gniew Przedwiecznego?

ADAH.

Kaimie! na mnież, miłą ci siostrzycę,
Zawracasz także groźne tak źrenice?

KAIM.

Nie! o! nie! Adah! chciałbym jeno zostać
Sam na chwileczkę, bo nie mogę sprostać
Smutkowi memu, Ablu; lecz to minie.
Idź, bracie! nie chcę-ć w téj czarnéj godzinie;

I wy, me siostry, nie czekajcie na mnie:
O! wasza słodycz wszelką dzikość złamie.
Wkrótce pospieszę do was.

ADAH.

Jeśli bracie
Spóźnisz się, wrócę tu.

ABEL

Kochany bracie,
Niech miłosierdzie Boże spływa na cię.
(*Abel, Zillah i Adah, odchodzą*).

Scena III.

KAIM.

(*Sam*)

Toż to więc życie! znoje, trudy, praca!
Za co? że ojciec mój Eden utraca.
Cóżem uczynił, ja? com jeszcze nie żył,
Com żyć nie pragnął? a gdym się narodził,
I nad niedolą mą żale rozwodził,
Za cóż straszliwy grom we mnie uderzył?
Czemuż on uległ wężowi, kobiécie?
Za cóż, uległszy, zgorzkniało mu życie?
Drzewo wyrosło tuż! a więc dla niego;
Jeśli nie, czemuż? ciekawem, dla czego

Tak wybujało po nad inne cudnie?
Na te pytania mówią mi obłudnie:
„Pan chciał, i taka wola jego święta,
On, sama miłość, dobroć niepojęta!“
Dobryż on?! czyliż że wielki, koniecznie
Ma być miłością samą ostatecznie?
Ja sądzę z czynów, a czyny okrutne;
Me przeznaczenie, fatum moje smutne,
Karmią owocem zgniłym me wnętrzności,
Nie za me winy, nie me nieprawości.
Cóż to tam znowu?!. Duch! postać anioła;
Postać to jednak dziwnie nie wesoła!
Czegóż drżę? czemuż bałbym się go więcéj,
Niż owych duchów niebieskich tysięcy,
Przed których mieczem, o wieczornym mroku,
Co dnia uchodzę, marząc, ze łzą w oku,
Gdy się ukradkiem wpatruję w obrazy
Dziedzictwa mego, w te Raju oazy,
W te nieśmiertelne drzewa, których szczyty
Lecą pod strażą Serafów w błękity.
Gdy na ich mieczów groźne błyskawice,
Nie blednie nigdy przestrachem me lice,
Gdy oni ogniem skruszyć mię nie mogą,
Czemużby duch ten przerażał mię trwogą?
Zda się być od nich stokroć potężniéjszy,
Równie im piękny, a nawet piękniéjszy;

A jednak piękność tę coś omroczyło,
Świadcząc czém była gdy ją nic nie ćmiło.
Ból, zda się, dzieląc jego nieśmiertelność,
Splótł się z nią w straszną jakąś niepodzielność.
A więc przywiléj ciągłego męczeństwa,
Nie jest udziałem jeno człowieczeństwa?
Przybył.

(*Wchodzi Lucyper*).

Scena IV.

Lucyper, *Kaim*.

LUCYPER.

Człowiecze!

KAIM.

Kto jesteś?

LUCYPER.

Król duchów.

KAIM.

Jakto? dla prochu rzuciłbyś twych druhów?

LUCYPER.

Znam myśli prochu pokryte żałobą,
Więc się lituję nad nim i nad tobą.

KAIM.

Zkądże znasz myśli me?

LUCYPER.

Takie pomysły
Wylęga jeno umysł niezawisły.
To nieśmiertelna cząstka twa rwieć lotem.

KAIM.

Co? nieśmiertelna! niesłyszałem o têm!
Szaleństwo ojca mego, czy głupota,
Nie tknęły nawet owocu żywota;
Tymczasem matka ma w zgubnym pośpiechu,
Zerwała owoc wiedzy, śmierci, grzéchu.

LUCYPER.

Zadrwiono z ciebie: żyć będziesz.

KAIM.

Tak, ale
Umrę; a chociaż nie dbam o śmierć wcale,
Z głębi ją serca jednak nienawidzę.
Wstręt to wrodzony, i acz się nim brzydzę
Jak sobą samym, zbyć się téj szkarady
Niéma sposobu. Takie to biesiady
Żywota mego! Pocóżem się rodził?

LUCYPER.

Byś żył, i żyjąc wciąż skargi rozwodził.
Musisz żyć wiecznie. Nie mniemaj atoli
Że ta opona ziemska, coć oplata
Glinianym mułem zewsząd niby szata,
Jest bytem; nie! nie! powoli, powoli,
Robak rozgryzie ci ją, a wszelako,
Jako dziś, zawsze będziesz żyć jednako.

KAIM.

Czemuż nie lepiéj?

LUCYPER.

Może to istnienie,
Podzieli kiedyś nasze przeznaczenie.

KAIM.

Czémżeście?

LUCYPER.

Myśmy, wieczni, nieśmiertelni.

KAIM.

Czyście szczęśliwi?

LUCYPER.

Potężniśmy, dzielni.

KAIM.

Czyście szczęśliwi?

LUCYPER.

Nie. A ty?

KAIM.

Spójrz na mnie!

LUCYPER.

Śmieszże o glino! kląć chłoście coć łamie?

KAIM.

Któżeś ty taki, z całą twą wszechmocą?

LUCYPER.

Jam Duch, z tych Duchów co się wciąż sza-
[mocą
Z Twórcą twym, który byłby tobie przecie,
Znośniejszy żywot zgotował na świecie.

KAIM.

Ah! przypomina mi Boga twa postać.

LUCYPER.

Nie jestem Bogiem; nie mogąc mu sprostać,
Nie źle mi wcale we własnej osobie.
Zwyciężył... Przeto niech panuje sobie!

KAIM.

Kto?

LUCYPER.

Stwórca ojca twego, matki, ziemi.

KAIM.

Nieba, wszystkiego czém się świat ten plemi,
Jak pieśń Serafów codzień to rozgłasza,
A powtarzają ojciec, matka nasza.

LUCYPER.

Tak, powtarzają, bo muszą, pod karą
Być czém ja jestem... lub ty... z twą niewiarą.
Ja — w gronie wyższych Duchów, — ty — w ludz-
[kości.

KAIM.

Czém więc?

LUCYPER.

Istotą co mu prawdę nagą,
Zbrojna puklerzem swéj nieśmiertelności,
Mimo odwiecznéj jego wszechmocności,
Śmie wiecznie w oczy wymiatać z odwagą:
Że zło powszechne które on wciąż szerzy,
Nigdy się nigdzie z dobrém nie sprzymierzy

Jeśli nas stworzył, jak mówi, a czemu
Nie zbyt dowierzam, bo nie wierzę jemu,
To nie zniweczy nas żadną boleścią,
Bo nieśmiertelność i naszą jest treścią!
Co więcéj! w smak mu te nasze natury,
By nas mógł dręczyć wiecznemi tortury.
Niech gniecie! silny!.. a jednak w tym boju,
Jak inny, niezna on nigdy spokoju.
Dobroć nie stwarza ni zła, ni rozpaczy.
A cóż innego państwo jego znaczy?
Lecz niech na tronie swym, wzniesion w etery,
Króluje, tworząc coraz nowe sfery,
Aby zapełnić wieczność, co bezmiarem
Tłocząc go swoim, stała się ciężarem,
Klęską, strasznemu tak temu istnieniu,
Pogrążonemu w swém odosobnieniu.
Niech wali światy na światy, zostanie
Samotny zawsze w swéj nieskończoności,
Ciemiężąc wszystko wciąż, nieubłaganie,
Niedocieczony w okropnéj twórczości.
Gdyby sam siebie mógł zgnieść jakim cudem,
Było-b to jego najstraszliwszém dziwem.
Lecz nie! nie zdoła tego; niech więc z trudem
Panuje, dręczon życiem nieszczęśliwém!
Ducha z człowiekiem życzliwy stosunek,
Jakąś pociechę przecie im udziela,

Bo gdy ich znęka bolesny frasunek,
Jeden drugiego wzajem rozwesela.
Lecz on samotny w pustkach, w swéj wyżynie,
Cierpi, a tworzy i tworzy jedynie.

KAIM.

Mówisz mi rzeczy, które nie od wczora
Trwożą mi myśli, jako nocna zmora.
Nigdy pogodzić tego nie umiałem,
Com widział kiedy, czuł, z tém co słyszałem.
Mój ojciec, matka ma, często mi bają
O jakimś wężu, drzewach, co strzélają
Z owocem w niebo pysznémi wierzchołki;
Widzą Raj jakiś, przy którym wciąż pułki
Aniołów stoją z płomieniem na straży,
Że doń podemknąć się nikt z nas nie waży.
Praca codzienna nużąc mię, mi cięży,
Jakaś tęsknota życie mi ciemięży,
Wodzę mdłym wzrokiem po świecie zwodniczym,
Na którym jestem sam, czém? mniéj niż niczem.
A jednak myśl ma nie przestaje wołać,
Że mógłbym temu wszystkiemu podołać
Ale marzenia te jeno mym działem!..
Mój ojciec runął pod smutku nawałem,
Matka wyrzekła się swéj wiedzy mglistéj,
Smagana trwogą klątwy wiekuistéj.
Brat mój, pastuszek, składa tylko szczérze

Wciąż pierwociny trzód swoich w ofierze,
Temu, co kazał, by nam jeno plony
Dał ugor, potem naszym uznojony.
Siostry méj Zilli pieśni i szczebioty,
Budzą poranne skrzydlatych świegoty.
Lecz i ma Adah droga nie pojmuje,
Co mi po sercu i głowie się snuje.
I dotąd niémam, niémam, nie, nikogo,
Coby rozumiał mnie; gdzietam! o! błogo,
Swobodniéj będzie mi między Duchami.

LUCYPER.

Gdybyś był nie wart przymierzyć się z nami,
Nigdybyś, nigdy, nie ujrzał mnie bracie:
Byłoby dosyć znowu węża na cię.

KAIM.

Tyś to mą matkę wiódł na pokuszenie?

LUCYPER.

O! ja nie kuszę nikogo! O! nie! nie!
Ja żyję prawdą i zawsze i wszędzie,
Prawdą, jedynie prawdą, w każdym względzie.
Czyliż krom drzewa wiedzy i użycia,
Nie rosłoż jeszcze w Raju drzewo życia?
Jamżeto uszczknąć zeń owoc odradził?
Jam drzewo wiedzy, tuż, obok zasadził,
Co niewiniątkom takim, nieodzownie,

Dla ich dziecięcéj prostoty, cudownie
Musiało wydać się? Ja byłbym bogów
Stworzył z was. Ale, ów, co z Raju progów
Wyparł was, bał się, by trafem ochota
Was nie powiodła ku drzewu żywota,
Bo zjadłszy owoc jego, wnet, wy sami,
Jako on, stalibyście się bogami.
Jegoż to słowa są?

KAIM.

Tak mi mówili
Ci, co słyszeli je w straszliwéj chwili,
Oślepiających płomieni błyskawic,
Śród ryku grzmotów, piorunów, trzaskawic.

LUCYPER.

Któż więc Szatanem był? ów, co z miłości
Pragnął, abyście pomarli w nicości,
Czy ten, co darzył was nieśmiertelnością,
Szczęściem, potęgą, rozkoszą, mądrością?

KAIM.

Czemuż owocu z obu drzew nie rwali,
Albo żadnego z nich ani tykali!

LUCYPER.

Jeden spożyty już, a w każdéj dobie,
Drugi przywłaszczyć także możesz sobie.

KAIM.

Jakto?

LUCYPER.

Czém jesteś—pokaż; trwaj w uporze,
Którego żadna siła nie przemoże.
Bo nic nie złamie, wierz mi, nic nie skruszy,
Niczém, hartownéj woli jędrnéj duszy,
Jeśli ta dusza stanowczo przeznacza
By klękło przed nią, co bądź ją otacza.
Takie to wzniosłe jéj, wiedz, przeznaczenie!

KAIM.

Lecz tyś rodziców mych uwiódł w Edenie?

LUCYPER.

Ja? biédny prochu! na cóżby, zkąd data?

KAIM.

Mówią, że Szatan w węża się przetworzył.

LUCYPER.

Kto mówi? któż to taką baśń rozplata?
Duch by się nigdy tak nie upokorzył.
Lecz przerażony człowiek w nędznéj pysze,
Zawsze porażkę swą innym przypisze,
Wini niewinnych w przestrachu dziecinnym.

Wąż jeno wężem był, i niczém innėm.
A jednak w składzie swoim przyrodzonym,
On dorównywał, przez siebie kuszonym,
Ulepion całkiem, jak i oni, z ziemi.
Tylko górował rozumem nad niémi,
Bo zgadł, że owa mądrość niedorzeczy,
Wszelkie pociechy ludziom poniweczy.
Przywdziałbym, mniemasz więc, postać jestestwa
Którego działem, zgnilizna nicestwa?

KAIM.

Ale w tym wężu było coś diablego.

LUCYPER.

Zbudził on tylko diabła uśpionego
W tych, co tak chciwie w szale nieobacznym,
Przysłuchiwali się szeptom dwuznacznym
Gadu. Powtarzam-ć! wąż jeno był wężem;
Spytaj Cherubów, strzegących orężem
Z ognia, dokoła drzewo wiadomości.
Gdy tysiąc plemion przywali twe kości,
I dzieci twoich, owoczesne rody,
Podaniem wieków szczekaném w zawody,
Wysnutém z mrzonek pierwszego bajarza,
Mnie przyobleką w kształt którym się brzydzę,
Który pogardzam wstrętnie, nienawidzę,

Jak wszystko co się przed nim upokarza,
Przed nim, co na to świat stworzył jedynie,
By go czcił tylko w przestworów głębinie.
Lecz my, wyznawcy prawdy majestatu,
Winniśmy jawnie ogłaszać ją światu.
Rodzice twoi węża usłuchali,
A więc dostojność swą sponiewierali,
Czemużby duch się miał nad niémi znęcać?
Cóż tak w tym Raju mogłoby zachęcać,
W téj ciupie świata? by Duch, który sięga
Jednym rozmachem, od sfer widnokręga,
Do widnokręgu wszystkich sfer... lecz tego
Nie pojmiesz, mimo drzewa wiedzy twego.

KAIM.

Jak bądź nauka ta wysoka, mądra,
Pragnę i mogę zbadać ją do jądra.

LUCYPER.

Śmiałżebyś wniknąć w tajnie jéj głęboko?

KAIM.

Sprobój!

LUCYPER.

Zajrzałbyś śmierci oko w oko?

KAIM.

Nigdym nie widział jéj dotąd.

LUCYPER.

A przecie,
Wszyscy, pokotem tu się pokładniecie.

KAIM.

Ojciec mój twierdzi że to rzecz ohydna;
Na wzmiankę o niéj matka zwiesza głowę;
Abel wzrok wznosi w niebo szafirowe;
Zillah, się modląc, patrzy w ziemię biédna,
Adah ma, milcząc, zagląda mi w oczy.

LUCYPER.

A ty?

KAIM.

Ciężkiego coś mi serce tłoczy,
Pali mi łono, w mózgu moim wierci,
Gdy o obrzydłéj téj usłyszę śmierci;
Która koleją, zda się, niecofnioną,
Podusi wszystkich nas obmierzłą szponą.
Mogęż z nią walczyć? Pomnę, raz igrając
Z lwem, gdym dziecięciem był, niespodziewając
Się, takem ścisnął go mémi ramiony,
Że uciekł w bory rycząc, jak szalony.

LUCYPER.

Śmierć bezcielesną jest, ale zabije
Każdego, mówię-ć, co na ziemi żyje.

KAIM.

Jam mniemał że to okropne straszydło.
Któżby mógł zesłać plagę tak obrzydłą?

LUCYPER.

Zapytaj oto Niszczyciela.

KAIM.

Kogo?

LUCYPER.

Twórcę, jeżeli wolisz, bo mu błogo
Dusić co jeno stworzył.

KAIM.

Nie wiedziałem
Zgoła nic o tém; lecz gdy usłyszałem
O strasznéj śmierci, ciekaw jéj istoty,
Co noc szukałem jéj w pustkach ciemnoty.
A gdym olbrzymie cienie widział w gaju,
Błądzące w okrąg pod murami Raju,
Śród których, stróżów niebieskich, iskrzące
Migały mieczów błyski latające,

Drżałem, nuż ujrzę ją niepostrzeżenie.
Bo mojém sercem wstrząsały: pragnienie,
Ciekawość, społem z obawą niemiłą
Poznania czegoś. Nic nie przychodziło.
Wówczas zwracając źrenicę zmęczoną,
Od miéjsc tych, z których nas wydziedziczono,
Wznosiłem smutnie ją ku gwiazdom w górze,
Pozapalanym w obłoków lazurze.
Czy i te ognie z niebios pospadają?

LUCYPER.

Może... lecz one długo was przetrwają.

KAIM.

Dobrze! nie chciałbym patrzéć na konanie
Tak cudnych blasków. Śmierci panowanie
Dzikie, okrutne; boję się ją, trwożę,
Lecz co to? pojąć umysł mój nie może.
Wszystkim jednako grozi w każdéj chwili,
Co przewinili, i nie przewinili.
Cóż więc jéj dziełem jest?

LUCYPER.

W zgniliznę zmienia.

KAIM.

Czy ja czuć będę te przeobrażenia?

LUCYPER.

Ja nie umiéram, a więc to pytanie,
Bez odpowiedzi, bo nie wiém, zostanie.

KAIM.

Jeśli rozsypię się w pył, w szczyptę prochu,
O! to nie smuci mię, nie, ani trochu.
Obym był zawsze jako niegdyś byłem,
Nicestwem, prochem, bryłą gliny, pyłem.

LUCYPER.

Nędzne życzenie! w ojcu twym godności
Więcéj, bo pragnął przecie wiadomości.

KAIM.

Lecz nie żywota. Czemuż nie zerwano
Owocu z drzewa życia!?

LUCYPER.

Bo nie dano.

KAIM.

Biada! że go wpiérw, jak bądź nie wydarto.
Lecz owoc wiedzy nim chciwie pożarto,
Nie znano śmierci, a któréj istnienia,
Ledwie się teraz domyślam znaczenia,
Wszelako lękam się, drżę, nie wiém czego.

LUCYPER.

A ja co wszystko wiém, drwię ze wszystkiego.
To ale wiedza!

KAIM.

Wskaż ją.

LUCYPER.

Pod warunkiem.

KAIM.

Jakim?

LUCYPER.

Że czcząc mię z najgłębszym szacunkiem,
Padniesz przedemną kornie na kolana.

KAIM.

Nie jestżeś panem, którego co rana
Wielbi mój ojciec hymnem i modłami?

LUCYPER.

Nie.

KAIM.

Równy jemu?

LUCYPER.

Nie! nie! między nami
Nie jest, nie będzie nigdy nic wspólnego,
I nie dbam o to. Czym wyższy od niego,
Czy może niższe moje położenie,
Wolę to wszystko, wolę nieskończenie,
Niż jego wszechmoc podzielać z nim społem,
Lub bić pokłony mu, jak nędznik, czołem.
Jam również silny; o! i jam potężny!
Świat mój udzielny; mój świat wielkokrężny,
Ma też wyznawców swoich pełno wszędzie,
A z czasem więcej ich stokroć przybędzie.
Bądź pierwszym.

KAIM.

Nigdym się jeszcze nie korzył
Przed Bogiem ojca mego, co mnie stworzył,
Acz brat mój nie raz błaga mię gorąco,
Abym z nim uczcił istność wszechmogącą.
Czemuż hołdować miałbym ci jednemu?

LUCYPER.

Nie biłżeś kornie czołem nigdy jemu?

KAIM.

Nie rzekłżem ci już? mamżeż się powtarzać?
Głęboka mądrość twa winnać obdarzać
Wszelaką wiedzą.

LUCYPER.

Ten co się nie korzył
Przed nim, mnie uczcił już, już mnie hołd złożył.

KAIM.

Ja się nie kłaniam nikomu.

LUCYPER.

A wszakże
Duszą i ciałem tyś mój już jednakże;
Bo ów co nie jest jego wielbicielem,
Rad nie rad, musi stać się mym czcicielem.

KAIM.

Jakto?

LUCYPER.

Obaczysz, o! nie troszcz się o to.

KAIM.

Powiédz przynajmniéj co jest mą istotą.

LUCYPER.

Chodź za mną.

KAIM.

Czekaj, wpiérw rolę uprawię,
Jakem im przyrzekł; nie długo zabawię.

LUCYPER.

Co!?

KAIM.

Zerwę tylko nieco z wirydarzu
Owoców.

LUCYPER.

Na co?

KAIM.

By je na ołtarzu
Poświęcić z bratem Ablem.

LUCYPER.

Wszak mówiłeś
Że Twórcy nigdy pokłonów nie biłeś.

KAIM.

Tak!... lecz zmiękczyły mię błagania brata.
On to za temi modłami wciąż lata.
O! to nie moja ofiara, nie! jego,
I Adah...

LUCYPER.

Czegóż się wahasz? no! czego?

KAIM.

Ona mą siostrą; z jednegośmy łona
Zrodzeni społem, ja z nią, ze mną ona.

Płacz to jéj wydarł mi tę obietnicę;
Aby osuszyć cudowne to lice,
Czciłbym co zechcesz, zniósł wszelką ohydę.

LUCYPER.

No! chodź natychmiast ze mną; chodź! chodź!

KAIM.

Idę.

(Wchodzi *Adah*).

Scena V.

Adah, *Kaim*, *Lucyper*.

ADAH.

Szukam cię bracie; chwila to wesela,
Spoczynku chwila; lecz gdy nie podziela
Społem ją brat mój, smutno nam bez niego.
Nie pracowałeś z nami ranku tego,
Ale ja wszystko zrobiłam za ciebie;
Owoce błyszczą jak słońce na niebie.
Chodź!

KAIM.

Więc nie widzisz?

ADAH.

Widzę Archanioła;
Nie jednegośmy wszakże już widzieli.
Witam! a może do nas myśl wesoła
Wiedzie go, to się z nami nią podzieli?

KAIM.

Ależ ten anioł wygląda inaczéj.

ADAH.

Sąż więc i inni? cóż ztąd! może raczy,
Jak tamci bracia jego, nieraz, mile,
Przyjąć gościnę naszą choć na chwilę.
Przystająż na to on?

KAIM.

Pójdziesz?

LUCYPER.

Chodź ze mną.

KAIM.

Idę.

ADAH.

Rzucasz nas? cóż to za myśl zdrożna?

KAIM.

Tak!

ADAH.

I mnie także?

KAIM.

Ado ma!

ADAH.

Daremno!
Nie rzucisz, pójdę z tobą wraz.

LUCYPER.

Nie można.

ADAH.

Ktoś ty, co mnie chcesz przewodzić i jemu?

KAIM.

To Bóg.

ADAH.

Jak to Bóg?

KAIM.

Mówi po Bożemu.

ADAH.

Mowa to węża,—a on tak bezczelnie
Kłamał.

LUCYPER.

Mylisz się Adah, wszakże dzielnie
Mianował drzewo drzewem wiadomości,

ADAH.

Na potępienie nas tu, i w wieczności.

LUCYPER.

Cierpienie samo jest już świadomością,
Przeto nie kłamał; a jeżeli złością,
Podstępem, umysł opętał niewieści,
To przecież prawdą, a prawda w swéj treści
Cnotą jest.

ADAH.

Jednak na nas pasmem długiém,
Wali nieszczęścia wciąż jedno po drugiém:
Wygnanie z Raju, trud z pracą nie miłą,
Trwoga, rozpaczny żal za tém co było,
I ta nadzieja, co się w nas obudza,
I słodko łudząc, boleśniéj rozłudza.
O! mój Kaimie! nie wiąż się z tym duchem,
Znoś co znosimy, spleceni łańcuchem

Wspólnego losu, i kochaj mnie wiernie,
Jak ja cię kocham gorąco, niezmiernie!

LUCYPER.

Więcéj niż twoich rodziców?

ADAH.

Tak. Grzeszę
Tém nawet może?

LUCYPER.

Jeszcze nie. Pospieszę
Wszakże-ć oznajmić, że takie kochanie
Dzieci twych, dla nich grzechem się już stanie.

ADAH.

A więc méj córce pokochać Enocha?..

LUCYPER.

Niewolno, jako Ada męża kocha.

ADAH.

Boże! a więc ich wzajemne skłonności,
Nie zrodzą istot, coby się kochały
Jak ich rodzice poczęte w miłości?
Czyliż oboje piersi mych nie ssały?

Nie wylągłże się Kaim z matki łona,
W téj saméj chwili com i ja zrodzona?
Czyż nie kochamy się? i czyż kochając
Się tak namiętnie, drobiazg rozpleniając,
Kochającego się nie mamyż rodu?
Kaimie! Duch ten, wróg nasz, bez zawodu,
Nie patrz nań!

LUCYPER.

Grzéch ów o którym wspomniałem,
Nie jest mém dziełem; nie z mego natchnienia.
Nie będzie jednak nigdy on twym działem,
Jak bądź go pojmą przyszłe pokolenia.

ADAH.

Jakiż grzéch nie jest grzéchem w samym sobie?
Cnota i zbrodnia, w jakimbądź sposobie,
Rządząż się tylko jakiémiś wpływami?
A więc jesteśmy, czém? niewolnikami...

LUCYPER.

Istoty wyższe dzielą ten los z wami,
I jeszcze wyższe byłyby sługami,
Jeśli-b górując potężną naturą,
Mimo męczarni, nad wszelką torturą,
Nie przekładały méj niepodległości
Nad pełzającą pokorę nicości,

Która modłami, hymnem, lutni brzękiem,
Ku wszechmocnému wzlata z płaczem, z jękiem,
Nie dla miłości k'niemu, lecz z obawy
Owéj potęgi groźnéj, owéj sławy.
Samolubnémi żebrząc codzień słowy,
O litość, dla ich nędzoty jałowéj.

ADAH.

Wszechmoc być winna dobrą nieskończenie.

LUCYPER.

Czy była taką i w waszym Edenie?

ADAH.

Szatanie! nie łudź mnie twoją pięknością.
O! tyś piękniéjszy od węża chytrego,
A dorównywasz mu wiedzą i złością.

LUCYPER.

Niewiasto, mylisz się, raczéj szczerością.
Zapytaj Ewy, czyż od dnia owego,
Wnet nie rozróżnia złego od dobrego?

ADAH.

O matko moja! Owoc wiadomości,
Straszniéjszy stokroć dla twéj potomności,

Niż dla cię samej. Młodość twa wesoła,
Ubiegła błogo ci w Raju, dokoła
Wciąż okrążona duchy przeczystémi,
Nieskazitelna pomiędzy świętémi.
Lecz my, twe dzieci, co nie znamy wcale
Cudów Edenu; nas, zapamiętale
Ściga Szatanów ród, co po Bożemu
Niby, w istocie, wiodąc nas ku złemu,
Nie wysłowione dziwa jakieś kreśli,
Kusząc poszeptem własnych naszych myśli,
Jak niegdyś ciebie kusił wąż zdradziecko,
Ciebie niewinną, szczęśliwą jak dziecko.
Nie mogę odrzec myślą ni słowami,
Temu zjawisku co stoi przed nami.
Nie mogę kochać go, ni nienawidziéć,
Ni lgnąć ku niemu, ani się niém brzydzić,
Patrzę z rozkoszą nań, i czuję trwogę,
Nie mogę zostać, i uciec nie mogę.
Okiem mém tonę cała w jego oku,
Porwana rwistym prądem tego wzroku,
Którym, zarazem, przeraża, czaruje,
I coraz bardziéj pociąga ku sobie.
Kaimie! ratuj mnie! ratuj!..

KAIM.

Co tobie?

To nie jest zły duch, nie!

ADAH.

I nie Bóg, ani
Żaden z Aniołów jego, co świetlani
Jako Cheruby i również ozdobni,
Nie są jednakże do niego podobni.

KAIM.

Ale są duchy wyższe... Archanieli.

LUCYPER.

Są jeszcze wyższe, myśmy ich widzieli.

ADAH.

Lecz tych skazano na nieszczęsną dolę.

LUCYPER.

Jeżeli szczęściem nazywasz niewolę.

ADAH.

Mówią że Seraf kocha najgoręcéj,
Że Cherub za to umié stokroć więcéj,
Tego tu, przeto, zesłali Cherubi,
Bo on nikogo nie kocha, nie lubi.

LUCYPER.

O! jeśli wiedza uczucie niweczy,
Cóż będzie z owém? co, w istocie rzeczy

Gdy się mozolnie do dna je zgłębiło,
Nie warte by je czczono jak się czciło?
Jeżeli prawda to, że Cherubini
Nic nie kochają bo wszystko zbadali,
To swoją miłość, biédni Serafini,
Głupotą tylkoby nacechowali.
Miłość i wiedza nigdy w zgodnéj parze,
Tym samym świętym nie stawią ołtarzy.
Dowodem twierdzeń mych twoi rodzice,
Których wyparto za Raju dzielnice;
Wybiéraj między wiedzą i miłością,
Nieubłaganą wybór koniecznością!
Twój ojciec wybrał już, a jego skrucha,
Wynikiem jeno jest przestrachu ducha.

ADAH.

Kaimie! wybierz miłość.

KAIM.

O! aby cię
Kochać, mam wybrać miłość? ależ ona,
Droga ma Ado, wraz ze mną zrodzona,
Wyrosła ze mną, i wsiękła mi w życie,
Ja tylko ciebie kocham, ciebie tylko.

ADAH.

A rodziców?

KAIM.

Co? oniż nas kochali,
Gdy nabroili tyle jedną chwilką.
Że za ich winy nas z Raju wygnali?

ADAH.

Wówczas jeszcześmy się nie porodzili.
Gdybyśmy nawet bracie mój i żyli,
Nie winniżbyśmy kochać ich, bezsprzecznie,
Jak nasze dzieci kochamy serdecznie?

KAIM.

Pisklęta nasze! małego Enocha,
I córkę, co już szczebiocze potrocha.
Gdyby choć oni byli szczęśliwemi!
Ha! zapomniałbym... ale trzy tysiące
Pokoleń, zgnije po otchłaniach ziemi,
A nie zapomną! plemiona ginące,
Nie uczczą nigdy pamięć ojca, który
Rodząc ich, skazał na śmierć i tortury!
Spożyli oni owoc wiedzy, nędzy,
Czemuż spożywszy rozkosznie, co prędzéj
Rzucili na świat mnie, ciebie, i inne
Dzieci swe, jak my, biédne i niewinne?
I te miljardy istot, co falami
Plemiąc się po nas, zwalone wiekami,

Wszystkie nieszczęścia, okropną zdobyczą,
W strasznéj spuściźnie po nich odziedziczą?
A ja mam ojcem być takiego rodu!
Twa piękność, miłość twa, i bez zawodu
Wzajemność moja; dziki zachwyt szału,
Błogość spokoju, co potém, pomału,
Ochładza wrzątek ekstaz tych bez plamy.
Wszystko co w naszym drobiazgu kochamy,
I w sobie samych, wszystko to, jedynie,
Po długim wieku, który nim upłynie,
Wiodąc koleją mglistą, tajemniczą,
Zaprawi żywot nam żółci goryczą;
Lub krótszych chwilach, ciągle łzą skrapianych,
Choć czasem słodszym balsamem podlanych.
Wszystko to, mówię, wszystko, w jednym celu,
Po wielu latach, czy latach nie wielu,
Spiesznie pochodem kroczy miljonowym,
Ku nieznanemu... bo śmierć celem owym.
Zda mi się, jednak, że pień wiadomości,
Nie spełnił całkiem swojéj obietnicy,
Bo mym rodzicom, mimo ich mądrości,
Nie wytłómaczył grobu tajemnicy.
Cóż wiedzą oni, prócz, że nieszczęśliwi?
O! taki rozum nie nader pożywi.
Szkoda owocu i wężowéj sztuki,
Na nauczanie tak głupiéj nauki!

ADAH.

O! mnie tu nie jest źle, Kaimie, wcale.
Gdyby nie klątwy jeszcze twe i żale...

KAIM.

Bądź więc szczęśliwą sama; stokroć wolę,
Nad tak podlące szczęście—mą niedolę!

ADAH.

Sama, nie mogę, nie chcę być szczęśliwą;
Lecz otoczonéj mą rodziną tkliwą,
Na przekor śmierci, dobrzeby mi było,

LUCYPER.

Cóż by cię samą tak bardzo smuciło?

ADAH.

Sama! o Boże! któż kiedy samotny
Dobrym jest, albo umysł ma ochotny?
Samotność moja zdała-b mi się grzéchem,
Gdybym nie czuła, że wkrótce z uśmiéchem,
Powitam mile, Abla, brata mego,
Rodziców, siostrę, Enoszka naszego.

LUCYPER.

Wszelako Bóg twój sam na wysokości.
Szczęśliwyż? dobryż on? w swéj samotności?

ADAH.

Nie sam on; ma on aniołów i ludzi,
Których pociechą, w łasce swéj, się trudzi.
A wciąż rozléwać pomyślność w około,
Czyż to nieszczęście, czyż to nie wesoło?
Bo cóż jest szczęściem? jeżeli nie radość,
Życzeniom wszystkich módz i czynić zadość?

LUCYPER.

Zapytaj oto raczéj ojca twego,
Adama, świéżo z Raju wygnanego.
Spytaj Kaima, matkę, siostrę, brata,
Czy dla nich wszystko w pociechę się splata?
Spytaj własnego serca, czy mu zawsze,
Kłamią przynajmniéj, marzenia łaskawsze.

ADAH.

Nie!... Czyś ty z nieba?

LUCYPER.

Jeżelim nie z nieba,
To oto, Ado, zapytać potrzeba,
Niech ci odpowié, źródło szczęścia owo,
Które z poszaną, gorące twe słowo
Nazywa Twórcą; a więc Twórcy tego,
Tak potężnego i sprawiedliwego.

On to wié jeden. Naszém przeznaczeniem,
Jako i waszém, łamać się z cierpieniem.
Niektórzy walczą z nas, wściekle, ogromnie.
Napróżno! mówią Serafy; co do mnie,
Zda mi się warto, trochę pobojować,
Gdy płacz nie może szczęścia nam zgotować.
Bo jest w rozumie mądrość, co mu radzi
Badać wciąż prawdy, i ku niéj prowadzi,
Jak ku błękitom powietrznym, z rozkoszą,
Młodziutkie oczy twe tkliwie się wznoszą,
Szukając światła porannéj jutrzenki,
Na posiniałém tle nieba sukienki.

ADAH.

Lubią tę gwiazdę, przepych, przepych jéj uroczy,
Oczarowane pociąga me oczy.

LUCYPER.

Lubisz ją, czemuż nie czcisz blasku tego?

ADAH.

Ojciec mój jeno czci Niewidzialnego.

LUCYPER.

Niewidzialnego symbolem istnienia,
Jest arcydzieło widome stworzenia,

A ten prześwietny glob na firmamencie,
To najwspanialsza gwiazda w gwiazd odmęcie.

ADAH.

Ojciec nasz Boga widywał samego,
Stwórcę méj matki, nas wszystkich i swego.

LRCYPER.

A tyś widziała go?

ADAH.

Tak, w dziełach jego.

LUCYPER.

Lecz czyś widziała we własnéj postaci?

ADAH.

Nie!.. jeno w rysach ojca mego, braci,
Które są jego wcielonym obrazem.
Widziałam w licach Aniołów zarazem;
Tych cudnych duchów mieszkających w niebie,
Podobnych do cię, świetniejszych od ciebie,
Chociaż, pozornie, tyś od nich piękniéjszy,
Piękniéjszy stokroć, może potężniéjszy...
Jak dzień gdy brzaskiem z pomroków wystrzela,
Postać ich wszystko rozświetla, rozbiela.
Ty przypominasz mi noc eteryczną,

Ową tajemną noc, noc ową śliczną,
Gdy chmurki lekkie mglistémi kontury,
Bielą gdzieniegdzie podniebne lazury,
I gwiazdki lśniące bez miary i końca,
Błyszczą w błękitach, jak drobniutkie słońca,
Diamentując złotym proszkiem, ową
Kopułą nieba, ciemną, zagadkową.
Taki ich ogrom, a tak niewymownie,
Nie rażąc, nęcą mnie k'sobie czarownie,
Że ledwie spójrzę na nie, moje oczy
Czemuś natychmiast łzawa mgła omroczy.
O! i ty smucisz mnie! i na twém czole,
Wyryte krwawo straszne jakieś bole.
Nie gub nas, nie gub! a i twe rozpacze,
Wdzięczna ci, Duchu, gorzką łzą opłaczę.

LUCYPER.

Gdybyś wiedziała, łzy! łzy! jaką rzeką,
Jaką kaskadą, brrr! łzy te pocieką!

ADAH.

Któż je wyleje? Ja?

LUCYPER.

Wszyscy.

ADAH.

Któż przecie?

LUCYPER.

Miljardy istot żyjących na świecie...
Jak zaludniona, tak i wyludniona
Ziemia twa; piekło przepełnione z łona
Twego niewiasto; wszystko co w powodzi
Straszliwéj, kiedyś się, kiedyś, rozrodzi!

ADAH.

Kaimie! Duch ten klnie nam z urąganiem.

KAIM.

Niechaj urąga, niech klnie, pójdę za nim.

ADAH.

Dokąd?

LUCYPER.

Do miéjsc, zkąd wróci tu nim minie
Drobna godzinka, ale w téj godzinie,
Przéjrzy on dziwa wielu dni, lat wielu.

ADAH.

Jakimże cudem? Wężu kusicielu!

LUCYPER.

Wasz Stwórca, Bóg wasz, w kilku dniach, mó-
[wicie,
Nie zbudowałże świat ten wyśmienicie

Z łomów dawnego? Czemużbym ja, com mu
W zlepieniu tego pomagał ogromu,
Mu nie pokazał w chwilce, co w dniach kilku
Stwarzał on, albo niszczył jedną chwilką?

KAIM.

Prowadź mię: idę.

ADAH.

Wróciż on niebawem?

LUCYPER.

Wróci; nie wiąże nas czas swojém prawem,
My możem wieczność ścisnąć w jedną chwilę,
Lub chwilę jedną rozciągnąć na wieczność.
My się nie troszczym jak śmiertelnik, ile
Dni nam ubiegło, ludzka to konieczność.
Nie pojmiesz tego; chodź więc, duchu bratni.

ADAH.

Wróciż on?

LUCYPER.

Tak! tak! pierwszy i ostatni
To, krom Jednego, co z owéj oddali
Wróci na świat ten, twą miłość rozpali,
By ów odległy świat, jeszcze milczący,

Świat cichy, groźny i wyczekujący,
Tak pozapełniał zwolna, niewidomie,
Jak ten zapełni czas w całym ogromie.

ADAH.

Gdzie mieszkasz?

LUCYPER.

Ja? ja? w bezmiarów przestworze!
A gdzież siedziba ma indziéj być może?
W miéjscach gdzie Bóg twój, lub Bogi mieszkają,
Przebywam także; znają mnie tam! znają!
Z Bogiem twym wszystko dzielę należycie,
Czas, niebo, ziemię, wieczność, śmierć i życie!
I owe światy, co nie są ni ziemią,
Ni niebem, które tłumnie jednak plemią,
Istoty co już tu, czy tam, mieszkały,
Lub będą kiedyś któreś zaludniały.
Oto dzierżawy me! a więc, nawiasem,
Połowa Boga państw moja; tymczasem
Mam jeszcze własne królestwo olbrzymie,
Dokąd nie dojdzie nawet jego imię.
Gdybym tém nie był, com ci rzekł wyraźnie,
Śmiałżebym, w oczy ci, bredzić tak raźnie?
Nie! nie dostałbym tu, kłamiąc tak, kroku,
Wszak Archanieli stoją przy twym boku.

ADAH.

O! Aniołowie byli też obecni,
Gdy bałamucił wąż matkę mą niecnie.

LRCYPER.

Kaimie! jeśli ci wiedzy tak pilno,
Toć wskażę mądrość, mądrość nieomylną,
Nie myśląc żadnym owocem cię dławić,
Coby jednego dobra miał pozbawić,
Którémi zwycięzca obdarzył, zlał na cię.
Chodź!

KAIM.

Rzekłem; idę.

(*Lucyper i Kaim odchodzą.*)

ADAH. (*bieży za niémi wołając:*)
Kaimie! Kaimie!

KAIM.

AKT DRUGI.

Scena I.

Kaim, *Lucyper*. (Bezmiar przestworu.)

KAIM.

Płynę w eterze, nie padam, jednakże
Boję się upaść.

LUCYPER.

Zaufaj mi; wszakże
Jam mocarz jego; więc powietrze owo,
Wszędy na falach swych przeniesieć zdrowo.

KAIM.

Ufać ci? nie! nie! było-b to bezbożnie.

LUCYPER.

Wierz... a nie spadniesz; wątp... i giń pobożnie!
Takiby wyrok napisał Bóg inny,
Który mię djabłem chrzci przed Aniołami,
Jak ci przed ludźmi; a ów ród dziecinny,
Nie pojmujący nic mdłemi zmysłami,
Wierząc na oślep wszelakiemu słowu
Co ich pochwyci słuch, radzi z obłowu,
Pojmą rzecz każdą, w jakiem bądź znaczeniu,
Im wytłómaczą w takiém ich spodleniu.
Ja nie nauczam nic, biédna istoto.
Wierz, albo nie wierz, jak chcesz, mniejsza oto!
Obaczysz zawsze, na przekor wszystkiego,
Światy istnące po za pyłkiem twego.
Nie ja, po chwilce twojego istnienia,
Za niedowiarstwo, skażę-ć na cierpienia.
Przyjdzie czas, przyjdzie, gdy człowiek idący
Po wzdętych falach, rzeknie do drugiego:
„Wierz mi! i na ten żywioł szalejący
Wstąp śmiało; nic ci nie stanie się złego.“
I człowiek pójdzie po głębiach topieli,
I toń bezdenną przekroczy bezpiecznié.
Ja ci nie powiém, wierz mi! a jeżeli
Mi nie uwierzysz bezwzględnie, giń wiecznie!
Lecz chodź, przerzynaj lotem równym memu,
Otchłań przestworu; a ja oku twemu,

Światów minionych, obecnych, koleje,
Wskażę wyraźnie, jak i przyszłych dzieje.

KAIM.

Bogiem, czy Diabłem, kimbądź jesteś, Duchu,
Czy to ma ziemia w tym światów łańcuchu?

LUCYPER.

Czyż nie poznajesz źrenicą omgloną,
Proszku, z którego ci ojca zlepiono?

KAIM.

Jakto? ten drobny atom modro lśniący,
Z drobniéjszym jeszcze, w eterze krążący,
Co nakształt globu srebrnego w pomroku,
Śród nocy ziemskich błyszczy na obłoku,
Tamże to Raj nasz? a gdzież mury jego,
Gdzie Aniołowie co go w okrąg strzegą?

LUCYPER.

Wskaż mi dokładnie Raju położenie.

KAIM.

Czyż mogę? gdy tak mkniemy jak promienie
Słońca, glob ziemski nasz coraz maleje.
I patrz! im bardziéj pyłek ten drobnieje,
Rozświta w okrąg niego aureola,

Która go niby obrączka okola,
Nakształt jasnego nocami pierścienia,
Co jako nimba księżyc opromienia.
Ale im wyżéj wzlatujem w etery,
Zda mi się, obie kółeczek tych sfery,
Toną w miljardach gwiazd gdzieś, za gwiazdami,
Wytryskujących wszędy po nad nami.

LUCYPER.

A jeśli niegdyś, śród gwiazd tłumu tego,
Istniały światy większe od twojego?
Jeżeli na nich mieszkające rody,
O! potężniejszéj od twojéj urody,
Liczniéjsze, niźli ziarna piasku ziemi,
Skazano dziko, by męki ciągłémi
Krwawiąc swój żywot, w końcu go do trumny
Zawlekły; cóż ty na to?

KAIM.

Byłbym dumny,
Gdybym mą myślą wkraczając w dzielnice
Tajemnic, zbadał taką tajemnicę.

LUCYPER.

Lecz gdyby myśl twą niewolnicze ciało
Wiekuistemi więzy krępowało.
Gdybyś, zgłębiwszy tę logogryfową

Zagadkę wieków, wiedzą coraz nową
Bogacił umysł twój, a twego ducha,
Rwącego gwałtem ogniwa łańcucha
Codziennych kolców, plugawe ich roje
Dręcząc, mierziły ci jestestwo twoje.
Gdyby najsłodsze twe nawet rozkosze,
Były upadkiem jeno, co potrosze,
Niewieszcząc ciebie drażniącém użyciem,
Wciągnęłyć w matnię sprośną, abyś życiem
Darząc wciąż nowe istoty, pomnażał
Tłumy ciał, tłumy dusz, i ponarażał
Wszystko to, wszystko, na nieszczęsną dolę,
Bo przeznaczeniem ich wieczyste bole.

KAIM.

Duchu! wiém tylko że śmierci spuściznę,
Z łona méj matki wraz z życiem wyssałem.
Smutne dziedzictwo! taką ojcowiznę,
Zda mi się, słusznie, niedolą nazwałem.
Lecz jeśli słowa twoje niewątpliwe,
A co przeczuwam boleścią proroczą,
Pozwól mi umrzéć, a umrę ochoczo.
Bo rodzić jeno plemie nieszczęśliwe,
Aby doczesną wędrówkę niemiłą,
Zamknęło w końcu trumną i mogiłą,
Jestto rozsiewać śmierć, która szyderczo
Zębem swym ludzkość wygryzie morderczo.

LUCYPER.

Nie umrzesz całkiem... jedną twą połową,
Żyć będziesz wieczność, erą zagrobową.

KAIM.

Tamten nie mówił ojcu memu o tém,
Gdy go z Edenu wyrzucał pomiotem,
Z występlowanym na obliczu jego
Stygmatem śmierci; lecz co śmiertelnego
Jest we mnie, może wnet śmiercią jałową
Zginąć, bylebym drugą mą połową
Odżył Aniołem.

LUCYPER.

Jam Anioł; chcesz zatém,
Zostać czém jestém, Aniołem, mym bratem?

KAIM.

Nie wiém czém jesteś; widzę że potęga
Twa, mi wskazuje niepojęte dziwa,
Których mój umysł nędzny nie dosięga.
A jednak żądzę co mą pierś rozrywa,
Nie zadowolą i te cuda wcale.

LUCYPER.

Jakaż to żądza tak zapamiętale,
Jakież to harde mrzonki i zachcianki,

Raczą, z robactwy najohydniéjszémi,
Podląc się, dzielić mieszkanie lepianki,
Skleconéj z mułu lichego i ziemi?

KAIM.

Ktoś ty, co pysząc się duchową treścią,
Ogarniasz społem, bezmiar, nieśmiertelność,
A przecie, mimo wszechmoc twą i dzielność,
Oko twe błyszczy rozpaczną boleścią?

LUCYPER.

Ktom ja? ja jestem czém się być wydaję;
Dla tego pytam; chcesz? bo się nie taję,
Nieśmiertelności?..

KAIM.

Już mi rzekłeś, wszakże,
O czém dotychczas zgoła nie wiedziałem,
Że chcę, czy nie chcę, tak, owak, jednakże,
Mym nieśmiertelność musi być udziałem.
A więc że tak się stanie nieodbicie,
Radbym, w pomyślnéj, czy nieszczęsnéj doli,
Naprzód ją poznać, zbadać należycie.

LUCYPER.

Nimem tu przybył, jużeś ją dowoli
Poznał.

KAIM.

Co? jakto?..

LUCYPER.

Cierpiąc.

KAIM.

Czyż cierpienie,
Jak wieczność, ma się ciągnąć nieskończenie?

LUCYPER.

Kiedyś to z twémi syny obaczemy.
Ale wpiérw, zanim o tém się dowiémy,
Patrz! jaki widok!

KAIM.

O cudny przestworze,
Któż wyobraźnią swą przeczuć cię może!
A wyż światełka w otchłaniach drgające,
Bimiljonami, tu, to tam, wschodzące,
Kto wy? jakież to pustkowie błękitne.
W którém pływacie u dołu, u szczytu,
Jak ślizgające się listki po fali
Czystych strumieni, ginących w oddali?
Czy wam wytknięto tor wasz, czy dowolnie
Tak rozpuszczacie gonitwy swawolnie,
Po tym powietrznym, bezbrzeżnym obszarze,

O którym ledwie pomyślę, pomarzę,
Obałamucon już duch mój wiecznością,
Durzy się bardziéj jeszcze tą wielkością.
Boże! lub kimeś bądź jest, jakież dziwa
Ponatwarzałeś? jak się to nazywa?
Pozwól mi zginąć, jak giną atomy,
Jeżeli giną tłumów ich ogromy,
Lub daj się poznać mi w swéj wszechmocności,
Jako w potędze twéj, tak i w mądrości!
Myśl ma obecna, chociaż jestem z ziemi,
Godna przedmiotów takich, jak przed mémi
Zmysły, rozwijasz w tym strasznym łańcuchu...
Przybliż mnie do nich, lub zabij mię, Duchu!

LUCYPER.

Zbliżyć się bardziéj, cóż ci go zaciemia?
Obéjrz się raczéj, i spójrz gdzie twa ziemia.

KAIM.

Ziemia! gdzie ona? pokaż! śród miljona
Świateł płonących wszędy. O! gdzie ona?

LUCYPER.

Patrz!

KAIM.

Nic nie widzę.

LUCYPER.

Jednak błyszczy jeszcze.

KAIM.

Tam?

LUCYPER.

Tak.

KAIM.

Prawdaż to? niech się nią napieszczę,
Widziałem nieraz nocą między krzaczki,
Połyskujące na trawkach robaczki;
Te fosforyczne kagańce błyszczały
Jaśniéj, niż globik mój skarłowaciały
Co je wylęga.

LUCYPER.

Widziałeś poświatą
Lśniące owady i świat; cóż ty na to?

KAIM.

Że każde cudne z nich we własnéj sferze,
I że nocami, jak świetlikiem ślicznym,
Promieniejącym blaskiem fosforycznym,
Tak i pławiącym się globem w eterze,
Jednako, światem, jak i fantastycznym
Lotem owadu, kieruje coś, wierzę.

LUCYPER.

Ale co niémi rozrządza tak mądrze?

KAIM.

Naucz mię; wskaż mi prawdę w samém jądrze.

LUCYPER.

Śmiałżebyś spojrzeć?

KAIM.

Czy ja wiém? wszak przecie,
Coś bądź mi dotąd pokazał w wszechświecie,
Na wszystkom patrzał niestrwożoném okiem.

LUCYPER.

Spiesz więc! jakimż cię obdarzyć widokiem?
Czy nieśmiertelne chcesz ujrzeć istoty,
Czy śmiertelnémi nękane żywoty?
Co cię zajmuje najwięcéj?

KAIM.

Co widzę.

LUCYPER.

A co cię jeszcze zajmywało silniéj?

KAIM.

Rzecz któréj nie znam, jednak nienawidzę,
Któréj nie poznam nigdy nieomylnie.
Zagadka śmierci.

LUCYPER.

A jeśli ci wskażę,
Zaludniające już rody smętarze,
Jak i te których nie tknie grób obrzydły?

KAIM.

Pokaż!

LUCYPER.

Daléj więc, potężnemi skrzydły!

KAIM.

Ach! jakże mkniemy błękitem! gwiazdeczki
Gasną w przepaściach, niby mdłe cęteczki!
Ziemio! gdzież ziemia? wskaż mi jéj kontury,
Wszakże to macierz méj ziemskiéj natury.

LUCYPER.

Darmo! nie ujrzysz już ją, z tak wysoka;
Atom ten, pyłek, nie dla twego oka.
Ona dla ciebie w takiém oddaleniu,
Nikléjsza, niż ty na niéj, w wszechstworzeniu,

Lecz nie myśl że się wymkniesz z jéj padołu.
Wrócisz niebawem do tego popiołu;
Jest to warunkiem twéj nieśmiertelności,
Nieśmiertelności twéj, i méj wieczności!

KAIM.

Dokądże wiedziesz mnie?

LUCYPER.

Wiodęć do tego,
Co już przed tobą wiekami istniało.
Ku widmu świata niegdyś strzaskanego,
Z którego gruzów, okruchą zmarniałą,
Odbudowano twój świat, ziemię całą.

KAIM.

Więc on nie nowy już?

LUCYPER.

Nie, jak i życie;
Które istniało dawno, należycie,
Przed tobą, jako przedemną, i owém,
Nieodgadnioném jestestwem sfinxowém,
Wyższém, jak wnosim, od obu nas. Wiele
Wieczystych istot jest; inne, co śmiele
Twierdzą, że nigdy początku nie miały,

Jak ty się nędznie także wylęgały.
Twory dzielniéjsze niknąc, ustąpiły
Miéjsca podléjszym, co się rozrodziły.
Bo jeno przestwór i czas, nieskalanie,
Nieprzeobrażą się w powszechnéj zmianie.
Ale ta zmiana, to śmierć, co zabija
Proch jeno, któryć cielskiem swém obwija.
Ażeś jest z gliny, więc pojmiesz jedynie,
To tylko, co, jak ty, poczęte w glinie.
To ci téż jeno wskażę.

KAIM.

Duchu! mogę
Ujrzéć co zechcesz.

LUCYPER.

Daléjże więc, w drogę!

KAIM.

Tam gwiazdy toną w przepaściach za nami,
Tu znowu nagle przed nami wzrastają,
Zdając się także jakiémiś światami.

LUCYPER.

I rzeczywiście są czém się wydają.

KAIM.

Mająż i one Raj?

LUCYPER.

Kto wié.

KAIM.

I ludzi?

LUCYPER.

Pewnie, a może cóś szlachetniéjszego.

KAIM.

A węże?

LUCYPER.

O! nie znajdziesz, nie! ludzkiego
Rodu bez węża. Chcesz-że, dziwnym ładem,
Zaludnić tylko świat dwunożnym gadem?

KAIM.

Jak gwiazdy gasną w strasznéj téj przestrzeni!
Dokądże pędzim tak?

LUCYPER.

Do państw widm, i cieni
Tych co pomarli, lub ze świata schodzą,
I tych co kiedyś na świat się narodzą.

KAIM.

Pomrok się wzmaga, gwiazdy już ponikły.

LUCYPER.

A jednak widzisz.

KAIM.

Widzę blask niezwykły,
Jakieś złowrogie światło: nigdzie słońca,
Nigdzie gwiazd, ani bladego miesiąca,
Nigdzie błyskawic lśniących meteoru.
Zarumienione błękity wieczoru
Zmieniły szkarłat zachodniéj purpury,
W przerażający jakiś zmierzch ponury.
A jednak, jednak, w świetle tym, czy mroku,
Jakieś się kształty jawią memu oku.
Nie są wszelako to światy widziane;
Które powodzią jasności oblane,
Wówczas burzliwém nawet życiem drgały,
Gdy ich połyski blednąc, odsłaniały
Powycinane boków ich kontury,
W głębokie doły, i wyniosłe góry.
Góry te, snopy ogni wyrzucały,
W padołach, wody w morza się rozlały.
W około innych znowu sfer, błyszczące
Krążyły jakieś globy latające,
Przypominając widok wdzięczny ziemi...
Ale tu szara barwa wszystko ciemi.

LUCYPER.

Jednakże widzisz. Chcesz ujrzéć maszkarę?
Wstrętną śmierć, i jéj niejedną ofiarę?

KAIM.

Nie szukam wcale jéj, lecz że istnieje,
Że winą ojca mego ród mój zginie,
Wolę samochcąc obaczyć ją nynie,
Nim poniewolnie tu kiedyś pospieję.

LUCYPER.

Patrz.

KAIM.

Widzę ciemność jeno.

LUCYPER.

Tak tu wiecznie.
Ale otworzę podwoje.

KAIM.

Dym bucha;
Co to jest?

LUCYPER.

Nic, nic. Chodź!

KAIM.

Wrócęż bezpiecznie?

LUCYPER.

O! oczywiście! Nie bój się, krzep ducha.
Któżby obsadził puste te obszary,
Które twym rodem natłoczysz bez miary?

KAIM.

Chmury się suną zkądeś pasmem całém,
Czarnym nas zewsząd okalając wałem.

LUCYPER.

Chodź!

KAIM.

A ty?

LUCYPER.

Nie trwóż się człeku bez wiary.
Któż cię unosił na powietrznéj fali,
Gdyś odlatywał z ziemi? Daléj! daléj!

(*Nikną w chmurach*).

Scena II.

(Hades.) (*)

Lucyper, Kaim.

KAIM.

Jakże milczące te światy pomroku!
Jaka ich ciżba! a jednak w tym tłoku,
Więcéj mieszkańców niźli w lśniących sferach,
Porozsiewanych po górnych eterach.
Tłumy ich były tak nieobliczone,
Iż mógłbym mniemać, że opromienione
Kręgi te, raczéj same istotami
Jakiegoś nieba, niżeli globami,
Przeznaczonémi na ich zaludniénie;
Gdybym, zmierzywszy straszne ich przestrzenie,
Nie poznał jeno że to martwe bryły,
Na których jakieś dziwne twory żyły.
Lecz tu w około zmrok taki, tak ciemno,
Wszystko przeraża przeszłością tajemną.

LUCYPER.

Państwo to śmierci; chcesz ją widzieć zblizka?

---

*) Z greckiego „Piekło".

KAIM.

Pokąd ją tylko z samego nazwiska
Znam niedokładnie, cóż powiedzieć mogę?
Lecz jeśli ona taka, jak złowrogie
Skargi mojego ojca wciąż nas trwożą...
Ratuj nas Panie! wszechmocą twą Bożą!
Przeklęty stokroć! kto wynalazł życie,
Które do grobu wlecze nieodbicie,
Na pastwę śmierci; przeklęta istota,
Bo zmarnowała tak skarby żywota
Dla niewiniątek nawet!

LUCYPER.

Klniesz więc twego
Ojca?

KAIM.

Nie przeklął-że on syna swego
Darząc go życiem? nie przeklął że jeszcze,
Zanim go zrodził rwąc jabłko złowieszcze?

LUCYPER.

Prawda: pomiędzy ojcem twym i tobą,
Wzajemna klątwa, wzajemna żałoba
Oblekła obu was; lecz twe rodzeństwo?

KAIM.

Serdecznie ze mną podzieli ją społem.
Zostawię w spadku mu moje przekleństwo,
Jak sam po ojcu w spuściźnie je wziąłem...
O wy! straszliwe, bezbrzeżne obszary!
Wy! chwiejne cienie zmor przerażających;
Widma widzialne jawnie! i wy mary,
Zarysowane ledwie w mgłach mroczących!
Coście mnie wstrętem i zgrozą zmroziły,
Kto wy? żyjecie wy? czyście już żyły?

LUCYPER.

Z obu tych bytów coś w nich pozostało.

KAIM.

Cóż więc jest śmiercią?

LUCYPER.

Jakto! czyż rzecz całą,
Nie wyjaśnił ci Stwórca należycie?
Wszak śmierć, to przecież inne tylko życie.

KAIM.

Dotąd on jeno rzekł, że bez różnicy
Pomrzemy wszyscy.

LUCYPER.

O téj tajemnicy
Nadmieni kiedyś.

KAIM.

Szczęsnyż to dzień będzie.

LUCYPER.

Szczęsny! Na objaw jego się zdobędzie,
Śród mąk okrutnych, a cierpień wieczystych,
Nieprzeliczonych atomów przeczystych,
Najniewinniéjszych, co jeno w tym celu,
Rodzić się będą w ciągu wieków wielu.

KAIM.

Cóż to za groźne widma mnogą zgrają,
Lekko w około mnie się przesuwają?
Postać odróżnia się ich nieskończenie,
Od czuwających istot przy Edenie.
Ani podobne też w składzie swym całym
Do ludzi, których na ziemi widziałem.
Ani do Abla, ni do ojca mego,
Ni do mych dzieci, ni do mnie samego,
Ani do Ady, siostry méj promiennéj!
A jednak widok ich, acz tak odmienny,
Nie przypomina mi, nic! w niczém zgoła,
Ani człowieka, ani Archanioła,

Zdradzając, że to istoty natury,
Wyższéj niż piérwszy, choć niższéj niż wtóry.
Pyszne! wszelako pozorów nieznanych.
Nie mają skrzydeł Serafów świetlanych,
Ni rysów ludzkich, ni kształtów straszących,
Olbrzymich zwierząt obecnie żyjących.
Dorównywają siłą i pięknością,
I najpiękniéjszym, form doskonałością,
I najsilniéjszym w całém przyrodzeniu.
Jednak zaledwie wierzę ich istnieniu.

LUCYPER.

Istniały wszakże.

KAIM.

Gdzie?

LUCYPER.

Tam gdzie twe plemie.

KAIM.

Co?

LUCYPER.

Zaludniały, twoją, jak zwiesz, ziemię.

KAIM.

Adam tam piérwszym jest.

LUCYPER.

Tak, z rodu twego.
Zbyt on nikczemny, by był cząstką tego.

KAIM.

Cóż ich spotkało?

LUCYPER.

To co z tobą będzie.

KAIM.

Lecz czémże były?

LUCYPER.

Niegdyś te utwory,
Były to piękne i potężne twory,
Wyższe o tyle od was w każdym względzie,
Jeśliby mogliście zostać w Edenie,
Ile znikczemnion, proszku, nieskończenie,
W sześciu-dziesięcio-tysiącznêm plemieniu,
Względnie was będzie wasz ród w upodleniu.
O ich niemocy sądź teraz po sobie.

KAIM.

Biada mi! wszystkoż to poległo w grobie?

LUCYPER.

Na ziemi swojéj, jak ty znikniesz z własnéj.

KAIM.

Świat że mój był ich światem?

LUCYPER.

Tak.

KAIM.

Za ciasny,
W obrębach swoich zbyt lichy, zdrobniały,
By na nim takie jestestwa mieszkały.

LUCYPER.

W istocie, był on wspanialszym.

KAIM.

Dla czego?
Cóż go przywiodło do upadku tego?

LUCYPER.

Spytaj psotnika.

KAIM.

Co mówisz?

LUCYPER.

Zniszczenie,
Straszne żywiołów harce, spustoszenie,

Wepchnęły znów świat w chaosu odmęty,
Z którego wiru niegdyś był wypchnięty.
Taki kataklizm rzadki w danym czasie,
Często jednakże w wieczności zdarza się...
Spójrz teraz w przeszłość.

KAIM.

O! widok mrożący!

LUCYPER.

Tak! patrz na zmarłych tłum przerażający;
A przecież groźne widziadła te, ciało,
Jak ciebie twoje, niegdyś pokrywało.

KAIM.

Czyż się i ze mną ohyda ta stanie?

LUCYPER.

Niech ci rozwiąże twój Bóg to pytanie.
Wskazuję jeno w tych mroków ciemnicy,
Czém są obecnie twoi poprzednicy;
Czém byli, widzisz, o ile twe siły
Mogą rozdzierżgnąć węzeł ten zawiły.
To co masz z niemi wspólnego, jest życie;
To co mieć będziesz jest śmierć; a twe inne
Przymioty wszelkie, marne i dziecinne,
Przystają raczéj gadom wyśmienicie,

Wylęgłym w bagnie świata olbrzymiego,
W twoją planetę przeistoczonego,
Któréj mieszkańców wielkie rojowisko,
Winno się cieszyć, jak na pośmiewisko,
Głupotą, cnotą tą Raju sławioną,
Zkąd, jak truciznę, wiedzę wyrzucono.
Ale się przypatrz przyrodzie tych tworów;
A jeślić znużył już widok upiorów,
Wróć, i kraj pługiem zagon twój na nowo.
Nie bój się! rychło tam przeniosęć zdrowo.

KAIM.

Wolę tu zostać.

LUCYPER.

Jak długo?

KAIM.

Na zawsze!
Ponieważ losy moje najłaskawsze,
Każą mi gwałtem kiedyś tu powracać,
Ani się ruszę! Nie chcę się obłacać
Ziemskiémi muły, dosyć téj szkarady!
Wolę żyć pośród cieni tych gromady.

LUCYPER.

Nie można: co ci zdaje się złudzeniem,
Rzeczywistością jest, nie przywidzeniem.

Abyś tu osiadł wieczystą załogą,
Musisz jak oni przejść tą samą drogą,
Przez bramę śmierci!

KAIM.

Jakiémiż więc drzwiami,
Wkroczyliśmy tu najswobodniéj sami?

LUCYPER.

Mojemi! ale, żeś winien porzucić
Państwo to śmierci, i na ziemię wrócić,
Ja cię w przepaści téj, gdzie okrom ciebie,
Wszystko wymarło po światów pogrzebie,
Krzepię mém tchnieniem; tylko nie myśl sobie,
Że się tu wśliźniesz, zanim legniesz w grobie.

KAIM.

A oniż nigdy nie wrócą na ziemię?

LUCYPER.

Ziemia ich znikła już, jak i ich plemię.
Straszne przewroty jéj tak ją poryły,
I całą postać tak przeistoczyły,
Że nie pozostał ani zakąt mały,
Z dawnéj powierzchni jéj, świeżo stężałéj.
O! byłto cudny świat! pyszny! wspaniały!..

KAIM.

Śliczny i dziś on! Nie mam ja do ziemi,
Acz się w niéj ryję rękami własnémi,
Żadnéj urazy: jedynie mnie złości,
Że dzień w dzień, każdą, z mnogich jéj piękności,
Zwilgocon potem, opruszon kurzawą,
Zdobywać muszę trudem, pracą krwawą,
I że nie mogę ukoić myśl wrzącą,
Wiecznie za wiedzą się wyrywającą,
Ani utulić w tym ciągłym réjwachu,
Strachu o życie, i śmierci przestrachu.

LUCYPER.

Bo twój świat widzisz, ale ani cienia,
Nie możesz nawet mieć wyobrażenia,
Czém on był.

KAIM.

Jakież to znowu szkarady,
Niższéj natury, zda się, od gromady
Widm tych, niknących w zmierzchu gdzieś bez [śladu?
Przypominają mi wielce ze składu,
Dzikich mocarzy pustyń, co nocami
Rycząc w swych głębiach, wstrząsają borami.
Ale dziesięćkroć od tamtych groźniejsze.

Ogromem, Raju mur, najpośledniéjsze
Poprzerastały. Patrz! a ich źrenice
Lśnią, jak ognistych mieczów błyskawice.
Kły ich bieleją, jak odarte z kory
Stuletnie dęby; co to za potwory?

LUCYPER.

Są to mamuty twojego planety;
W nim miljonami leżą ich szkielety.

KAIM.

Ród ten zaginął?

LUCYPER.

Tak; gdyby żył teraz,
Taką-b wam wojnę wypowiedział nieraz,
Że udaremniłby straszne przekleństwo,
Obéjmujące całe człowieczeństwo,
Pożarłszy rychło ze szczętem, dostojne
Plemię to ludzkie.

KAIM.

Ale czemuż wojnę?

LUCYPER.

Nie pomnisz, widzę, wyroku strasznego,
Ród twój z Edenu wyganiającego:

Bój ze wszystkiémi, wszystkim śmierć, słabości,
Taki to owoc drzewa wiadomości.

KAIM.

Przecież zwierzęta go nie kosztowały,
By co do nogi także wyzdychały.

LUCYPER.

Wasz Stwórca rzekł wam, że jak je rozmnożył
Dla was, tak znowu was dla siebie stworzył.
Chceszże by losy ich szczęśliwsze były?
Gdyby nie upadł Adam, one-b żyły.

KAIM.

Biada im! a więc podzielą i one,
Losy, mojemu ojcu przeznaczone,
Jak syny jego; i jak jego syny,
Nie poczuwając się nawet do winy,
I nie zdobywszy, owéj, wysławionéj,
Wiedzy, niedolą taką okupionéj!
Drzewo kłamało, bo my nic nie wiémy.
Przyrzekło ono wprawdzie, gdy pomrzemy,
W grobie dopiero świadomość wszechrzeczy.
Lecz dziś! cóż pojmie ten umysł człowieczy?

LUCYPER.

Może i wiedzie śmierć do świadomości:
Aże najmniéjszéj niéma wątpliwości,

Że ona jeno, acz wyrzec to smutno,
Była, jest, będzie, prawdą absolutną,
Przeto najpewniéj wiedzie do mądrości.
Drzewo więc Raju, wcale nie kłamało,
Że darzy wiedzą, chociaż zabijało.

KAIM.

W mroczne te państwa bacznie się wpatruję,
Lecz nic ich nie znam, nic ich nie pojmuję.

LUCYPER.

Bo nie czas jeszcze; a nie tak to snadnie,
Ciału, zrozumieć treść ducha dokładnie.
Lecz i to dosyć dla twego nicestwa,
Obéjrzyć tajnie takiego królestwa.

KAIM.

Wiedziałem dawno już że śmierć istnieje.

LUCYPER.

Lecz nie wiedziałeś co się po niéj dzieje.

KAIM.

Nie wiém i teraz.

LUCYPER.

Wiész że są krom twego,
I inne mnogie byty; przecie tego
Dziś nie wiedziałeś z rana jeszcze zgoła.

KAIM.

Jakaż ciemnota tu smutna dokoła!

LUCYPER.

Twa nieśmiertelność, ciesz się! w tym pomroku,
Rozwidni wszystko jasno twemu oku!

KAIM.

Cóż to za ogrom płynny, modro lśniący,
Gdzieś w nieskończoność się rozciągający,
Rozfalowany nakształt toni wody,
Okalającéj Edenu ogrody.
Niby rozlana, jak wzrok sięga, rzéka.
Co z Raju nurty bystrémi wycieka.
Tylko że barwy jakiéjś eterycznéj...
Co to?

LUCYPER.

Są i na twojéj ziemi śliczne
Takie zwierciadła, acz mniéjsze; ich brzegi,
Obsiądą kiedyś plemion twych szeregi.
Cień oceanu to.

KAIM.

Co? rzekłbyś słońce
Jakiegoś świata, błękitem płynące.
A też potwory co jak w swéj ojczyźnie,
Pławią się, skaczą po jego płaszczyźnie?

LUCYPER.

To Króle jego, dawne Lewjatany.

KAIM.

Cóż to za wąż ten, straszny, niesłychany,
Który z topieli téj, grzywiastą głowę,
Wzniósł po nad cedry, i gmachy dębowe;
Zda się, okręciłby swémi przeguby,
Glob cały, taki długi, taki gruby.
Nie jest-że potwór ten z tego rodzaju,
Co się obwinął koło drzewa w Raju?

LUCYPER.

Niech ci odpowié na to matka Ewa,
Jaki ją rodzaj węża łudził z drzewa.

KAIM.

Ten straszny, tamten, acz zapewne mniéjszy,
Najniewątpliwiéj stokroć był piękniéjszy.

LUCYPER.

Nie widziałeś go?

KAIM.

Było ich nie mało
Jemu podobnych, jak mi się zdawało.
Lecz rzeczywiście nigdy nie widziałem

Tego, co matce méj, z takim zakałem,
Podał ów owoc, ni nawet takiego,
Co przypominałby choć trochę jego.

LUCYPER.

A ojciec że twój widział tego węża?

KAIM.

Nie; matka moja zwiodła swego męża,
Namową gadu sama uwiedziona.

LUCYPER.

Biédny człowieku! Ilekroć twa żona,
Lub żony synów twych, słówkiem, pieszczotą,
Was zaprowadzą, omamiając, w błoto,
Ten sam wąż, wierz mi, wpiérw się w nich ocuci,
Zanim pokusą was obałamuci.

KAIM.

Morał niewczesny: niech się co chce święci,
Niczém kobiétę wąż już nie przynęci.

LUCYPER.

Znajdą się jeszcze innych pokus krocie.
Mają kobiéty dla mężczyzn łakocie
Takie, że się ich cały ród zniewieści.
Mężczyzna wzajem kobiétę rozpieści.

Niech się twe syny strzegą! radzę szczérze,
Acz się tą radą sobie przeniewierzę.
Lecz że ją wszyscy puszczą mimo ucha,
Nie wiele stracę, bo nikt nie usłucha.

KAIM.

Nie rozumiém cię wcale.

LUCYPER.

Nic nie szkodzi!..
Świat i ty jeszcze jesteście zbyt młodzi.
Mniemasz żeś zbrodniarz, i żeś nieszczęśliwy.

KAIM.

Nie wiém czym zbrodzień, lecz smutek dotkliwy,
Nieraz okrutną boleścią mnie nęka,
Szarpie mi serce, w myśli moje wsięka,

LUCYPER.

O pierworodny piérwszego człowieka!
Zbrodnia twa, boć już występek urzeka,
Ból twój, bo cierpisz, to Raj, w każdym względzie,
Porównywając z tém co z tobą będzie,
Jak ów stan znowu niedoli i zbrodni,
Rajem dla synów twych, co nieodrodni,
Liczni, jak ziarna piasku, plemionami
Krwawić się będą kiedyś wciąż mękami.
Ale wracajmy już.

KAIM.

Dla tegoż tylko,
Mię wprowadziłeś w tę otchłań piekielną?

LUCYPER.

Czyliż nie wiedzy szukałeś przed chwilką?

KAIM.

Tak, bo roskoszą darzy nieśmiertelną.

LUCYPER.

Jeżeli prawda szczęściem, jéj poznanie
Zdobyło ci je w pełni niespodzianie.

KAIM.

A więc Bóg słusznie mijać drzewo radził.

LUCYPER.

Lepiéjby zrobił żeby je nie sadził.
Lecz nieświadomość zła cię nie uchroni,
Od wiekuistéj za tobą pogoni
Jego, niechaj się jak chce zbieg wykręca,
Plaga ta zawsze i wszędzie się wnęca.

KAIM.

Zawsze i wszędzie? Nie, nie wierzę temu,
Bo mam popędy przecież ku dobremu.

LUCYPER.

A któż ich niéma? kto sobie zła życzy?
Kto pragnie nieszczęść, i własnéj goryczy?...
Nikt!.. nikt!.. Jedyną, tak! rozczyną życia,
Zawsze i wszędzie jest zło, od powicia.

KAIM.

Żadne z tych pysznych globów, co widziałem,
Zanim ten duchów świat przewędrowałem,
Nigdy zapewne złe nie oszpeciło,
Bo nadto lśniące, by je co mroczyło.

LUCYPER.

Widziałeś zdala je.

KAIM.

Cóż ztąd? przestrzenie
Ćmiły-by raczéj świateł ich promienie.
Z blizka winne być jeszcze piękniéjszémi.

LUCYPER.

Przypatrz się cackom najcudniéjszym ziemi,
I osądź wówczas je gdy ujmiesz dłonią.

KAIM.

Czynię to nieraz; lecz miłe przedmioty,
Z blizka, nie tylko wdzięków swych nie ronią,
Ale podnoszą wartość ich istoty.

LUCYPER.

Złuda to jeno. Cóż cię więc urzeka
Tak bardzo, silniéj, z blizka niż z daleka?

KAIM.

Siostra ma Adah... Wszystkie gwiazdy lśniące,
Niebo błękitem ciemnym siniejące,
Noce w poświacie miesięcznéj księżyca,
Bladego, niby duch smętnego lica.
Pomrok wieczoru, słońca wschód świetlany,
Pryzmat tęczowych barw nieopisany,
Który łzą rzewną zawsze mi omroczy
Tęskniące, w zachód wypatrzone oczy,
Gdy moje serce ze słońcem pospołu,
W szkarłaty nieba zapada u dołu.
Bory zielone, szmaragdy gaików,
Świegoty ptasząt, koncerty słowików.
Wtórzących w Raju pieśniom Seraficznym,
Gdy u zachodu zmierzch po dniu prześlicznym,
Z cieni, i z resztek światła, co ucieka,
Przéjrzystą krepą senny świat powleka.
Wszystkie te razem cuda tajemnicze,
Stokroć mniéj piękne niż Ady oblicze,
W które wlepiając wzrok smutny namiętnie,
Od nieba, ziemi, odwracam go chętnie.

LUCYPER.

Piękna jest, ile pięknością być może,
Latorośl gliny w pierwszym pierwowzorze,
W pierwszym swym kwiatku, w owocu miłości,
Pierwszych umizgów rodziców ludzkości.
Zawsze to jednak pozór; złuda zatém!

KAIM.

Tak myślisz? widać nie jesteś jéj bratem.

LUCYPER.

Bratam się jeno, śmiertelniku, z témi,
Których się plemie nigdy nie rozplemi.

KAIM.

A więc ty niémasz z nami nic wspólnego.

LUCYPER.

Rody twe z czasem przylgną do mojego.
Lecz jeśli masz coś, co tak wielce cenisz,
Czemuż się takim nieszczęśliwym mienisz?
Czemuż ów przedmiot drogi, w cierpkiéj chwili,
Gorycz rozpaczy twojéj nie umili?

KAIM.

Powiedz mi na co istnieję? Dla czego
Rozpacz ogarnia i ciebie samego?

Czemu nam wszystkim gorżko tak na świecie?
Ten co nas stworzył, winien także przecie,
Jako stworzyciel nieszczęścia, zniszczenia,
Podzielać z nami i nasze cierpienia!
Szerzyć niedolę, zabijać uśmiéchy,
Nie jest, nie może być dziełem pociechy.
A jednak ojciec mój zwie go wszechmocą.
Jeżeli dobry on, na cóż, i po co,
Sroży się wszędy złość z taką sromotą?
Nie raz pytałem ojca mego o to,
A jego zwykłe były odpowiedzie,
Że jeno boleść ku dobru nas wiedzie.
Szczególne dobro, co swe państwo znaczy,
Na podścielisku nieszczęść i rozpaczy!
Widziałem niegdyś jak złośliwa żmija
Ugryzła jagnię; biédactwo się zwija,
Pieni z boleści, obok matki pada,
Która mu płaczem, becząc odpowiada.
Mój ojciec uszczknął wnet ziółko leczące,
Potarł niém ranki posoką broczące,
I wkrótce jagnię koło swéj matuli,
Nuż pląsać, brykać, ku piersi się tuli,
Ssie jéj wymionka, a macierz wesoło,
Węsząc je, liże mu szyjkę i czoło.
„Patrz synu!—rzekł mi ludzi protoplasta,—
Jak ze zła dobro cudownie wyrasta!“

LUCYPER.

Jakżeś mu odrzekł?

KAIM.

Nic, ani słóweczka;
Lecz pomyślałem, że biedna owieczka,
Wolała-b pewnie nie znać zęba gadu,
Niż się pozbywać gryzącego jadu,
Zbawczą go jakąś niwecząc rośliną,
Aby jéj ciałka nie spalił gangréną.

LUCYPER.

Rzekłeś, że zawsze ci najwięcéj miła
Siostra, co z tobą pospołu dzieliła
Mléko twéj matki, któréj obyczajem,
Swém mlekiem, dzieci twe wykarmia wzajem.

KAIM.

Tak! tak! cóż bez niéj robiłbym na świecie?

LUCYPER.

A co ja robię?

KAIM.

Nie kochasz nic zgoła?

LUCYPER.

Cóż Bóg twój kocha?

KAIM.

Jakto! wszystko przecie.
Bóg, to wszechmiłość! co dzień ojciec woła.
Lecz ta wszystkiego dola nieszczęśliwa,
O téj miłości coś nie przekonywa.

LUCYPER.

A przeto, nader trudno ci, jak widzę,
Zbadać, czy kocham co, czy nienawidzę.
Nie znasz zamiaru mego, który sięga
Tak dalekiego krańców, widnokręga,
Że pojedyńczy przedmiot, niewidomie,
Zaginie jak śnieg w morzu, w tym ogromie.

KAIM.

Co to śnieg?

LUCYPER.

Ciesz się, że wyobrażenia
Nawet nie możesz mieć, co pokolenia
Twe przyszłe, kiedyś, z biedą swą poznają.
W strefach tych zimy nigdy nie bywają.

KAIM.

Kochasz przynajmniéj jaką bądź istotę,
Podobniuteńką do cię jota w jotę?

LUCYPER.

Ty kochasz siebie?

KAIM.

Kocham, ale wolę
Adę, bo ona słodząc mą niedolę,
Milsza odemnie dla mnie nieskonczenie.
O! to też kocham ją, kocham szalenie!

LUCYPER.

Kochasz bo piękna, jak było w Edenie
Jabłko, co matkę twą na pokuszenie
Wiodło sromotnie, lecz gdy wiek oszpeci
Wdzięk jéj, gorąca twa miłość uleci.

KAIM.

Co! wiek oszpeci?

LUCYPER.

Czas.

KAIM.

Wszak czas upływa,
A dotąd jednak matka nieszczęśliwa,
Ani mój ojciec, mimo ułomności,
Nie postradali i trochę piękności.
Mniéj piękni wprawdzie niż Zilla, lub Ada,

Lecz przecie zawsze piękność ich nie lada.

LUCYPER.

Wszystko to czas ów, roztrwoni, zmarnuje.

KAIM.

Szkoda! jednakże tego nie pojmuję,
Co mi zmroziło-b miłość dla niéj w duszy.
A choć czas cacko to cudne pokruszy,
Zda mi się, Sztukmistrz ów, co tak niezmiernie,
Wszystko i wszędzie ozdobił misternie,
Samby zabolał, serce by w nim drgnęło,
Widząc rozbite takie arcydzieło.

LUCYPER.

Żal mi cię wielce, żeś przylgnął do rzeczy
Która niebawem sama się zniweczy.

KAIM.

A ja cię wzajem żałuję, i szczérze,
Że nic nie kochasz, aniś kochał.

LUCYPER.

Wierzę.
A brat twój.... bliski także sercu twemu?

KAIM.

Czemuż nie?

LUCYPER.

Ojciec twój sprzyja też jemu?
Bóg również?

KAIM.

Jak i ja.

LUCYPER.

Jakże to ładnie,
Kochać tak brata kornie i przykładnie!

KAIM.

Dla czegóż kornie?

LUCYPER.

Młodszy syn, młodzieniec
Pełen nadziei, matki ulubieniec.

KAIM.

Co mi tam! dawniéj jeszcze wąż w Edenie,
Wśliznął się w serce jéj niepostrzeżenie.

LUCYPER.

Bożyszcze ojca.

KAIM.

Cóż ztąd? nic dziwnego.
Lubię go, wszyscy także lubią jego.

LUCYPER.

Nawet Jehowa, ów Pan miłościwy,
Stwórca ów Raju, z którego zasieków,
Mówiąc nawiasem, wyrok litościwy,
Wyrzucił wszystkich was na wieki wieków,
On nawet, jak wiesz, w każdéj Abla sprawie
Lubiąc, spoziera nań często łaskawie.

KAIM.

Jam go nie widział nigdy, nie wiem zatem
Czy nań spoziera.

LUCYPER.

Wszelako z twym bratem
Widujesz często aniołów.

KAIM.

Nie.

LUCYPER.

Przecie,
Już się i z tego przekonać możecie,
O ich miłości dla twojego brata:
Ofiara jego wprost ku niebu wzlata.

KAIM.

Niechaj tam wzlata sobie, co mi potem!

Na cóż mi prawisz to?

LUCYPER.

Bo myślisz o tem.

KAIM.

A choćbyś i zgadł, po co mi nastręczasz
Myśl, którą?...

(*Umilkł rozdrażnion wielce.*)

Duchu! próżno mię udręczasz,
Milcz przeto! Jestem tu, tu, w świecie twoim,
Więc nie wspominaj nic a nic o moim!
Odsłaniasz oczom moim dziwów dziwy!
Już pokazałeś mi ród nieszczęśliwy,
Pre-Adamitów ród, pyszny, potężny,
Zaludniający niegdyś wielkokrężny
Glob jakiś, odłam którego, niestety!
Zwinął się w kłębek naszego Planety.
Potem-eś wskazał tłumy światów lśniących,
W nieskończoności kręgiem wirujących,
W których orszaku, światek nasz skarłały,
Wlecze się zdala, drobny, pociemniały.
Jeszcześ pokazał mi i cień potworu,
Śmiercią zwanego, którą dla pomoru
Świata, sprowadził ojciec nań, wskazałeś
Mnogie już cuda, lecz nie pokazałeś
Przecie wszystkiego, acz taki ich zbytek.

Pokaż mi jeszcze Jehowy przybytek,
Jego Raj, Eden, cudów tych koronę;
I twą zarazem siedzibę... Gdzie one?

LUCYPER.

Ja mieszkam jak tu, tak w całym przestworze.

KAIM.

Lecz jako wszyscy, ty także masz, może,
Wyznaczonego coś ci na mieszkanie?
My mamy ziemię; innych panowanie
Na innych światach; wszak każda istota
Właściwy, zda mi się, do jéj żywota,
Ma żywioł własny, a nawet, podobno,
I zmarłe dawniéj mieszkają osobno.
A więc Jehowa, i ty także, macie
Przybytki jakieś, i w nich przebywacie.
Może mieszkacie razem?

LUCYPER.

Nie: władamy
Społem; jednakże odrębnie mieszkamy.

KAIM.

Oby z was jeden istniał jeno! Kto wie,
Możeby jedność celu, choć w połowie
Straszliwą burzę serc ukołysała,

Co się tak wściekle na świat rozpętała.
Duchy potężne! wielkie! jakaż władza
Tak nienawistnie wzajem was rozgradza?
Czyż nie jesteście bracią, jak przymioty,
Tak waszą chwałą, i treścią istoty?

LUCYPER.

Nie jestżeś bratem Abla?

KAIM.

Cóż więc z tego?
A gdybym nie był nawet bratem jego,
Duchże tak rdzennie podobny do ciała?
Czyż i nań zawiść nie przeparcie działa?
Czyż kiedy walka sroży się i złości,
W łonach wieczności i nieskończoności?
Mogąż się one tak bardzo rozbryznąć,
By aż nieszczęściem wzajem na się bryznąć?
I na co?

LUCYPER.

Aby panować bezpiecznie.

KAIM.

Wszakżeś mi mówił że żyjecie wiecznie!

LUCYPER.

Tak!

KAIM.

Że niezmierne lazurów obszary,
Nie mają także granic ani miary?

LUCYPER.

Tak!

KAIM.

Nie możecież więc, gdy tak pragniecie,
Panować społem w tym strasznym wszechświecie?

LUCYPER.

Panujem oba.

KAIM.

Lecz jeden z was stwarza
Samo zło.

LUCYPER.

Który?

KAIM.

Ty!... bo nie obdarza
Człowieka szczęściem, jakby mógł, a przecie,
Tyle nieszczęścia, rozpaczy na świecie!

LUCYPER.

A czemuż stwórca wasz, stworzeniu swemu,

Nie błogosławi miłosierdziem? czemu?
Wszakże nieszczęścia te za jego wolą,
Tak, twory jego, ciemiężą niedolą!

KAIM.

Zostaw te jego twory, jak nas zowiesz,
A lepiéj zrobisz, jeżeli mi powiész,
A raczéj jeśli zechcesz mi pokazać,
Gdzie wy mieszkacie.

LUCYPER.

O! mógłbym ci wskazać
Oba przybytki; lecz czas niedaleki,
W którym osiądziesz w jednym z nich na wieki,
Wówczas je poznasz.

KAIM.

Pragnąłbym w téj chwili.

LUCYPER.

Umysł twój ludzki i tak się wysili,
Znuży się, zanim i z téj odrobiny
Com mu już wskazał, skutki i przyczyny
Ich, wprzęże w jakiś ład, a ty, zaciekle,
Biédnym rozumkiem człowieczym, tak wściekle,
Sięgasz w podwójną wieków tajemnicę,
Badając zasad dwoistych różnicę.

Śmiałżebyś, prochu, wzniesion tak wysoko,
Zajrzéć na tronach ich, im, oko w oko!
O! opamiętaj się! jeno odsłania,
Śmierć je z daleka, w podrzutach konania.

KAIM.

Niech skonam, byle poznać je co prędzéj!

LUCYPER.

Rodzonyś synek téj, co jabłko nędzy
Zgryzła ukradkiem; lecz ginąc ofiarnie,
Tylko byś zginął samochętnie, marnie.
Tak! ostateczne tajni tych wykrycia,
Są dziełem jeno pośmiertnego życia.

KAIM.

A śmierć-że?

LUCYPER.

Co? co? o! to wstęp do niego.

KAIM.

Gdym się dowiedział że śmierć mnie, me plemie,
Wiedzie przynajmniéj do czegoś pewnego,
Nie dbam już o nią.

LUCYPER.

Wracajmy na ziemię,

Gdzie masz pracować, ród twój rozpościérac,
Spać, śmiać się, płakać, jeść, pić i umierać.

KAIM.

I na cóż-eś mi wszystko to pokazał?

LUCYPER.

Wszak chciałeś wiedzy; to więc com ci wskazał,
Będzie dla ciebie nauczką nie małą.

KAIM.

Bo ślicznie, dzięki ci, mnie przekonało,
Że jestem niczém.

LUCYPER.

Do téj to mądrości,
Winnaby wznieść się świadomość ludzkości.
Tak! poznać nicość śmiertelnéj przyrody.
Naucz jéj dzieci twe, a przyszłe rody,
Oszczędzą sobie wiele trosk rozumnie.

KAIM.

Wyniosły Duchu! acz przemawiasz dumnie,
Wszelako, mimo pychy twego ducha,
Masz pana, co cię przykuł do łańcucha.

LUCYPER.

Nie! nie!! na niebo w którém on króluje,

Na światy, w których z nim społem panuję,
Na wieczność, którą on ze mną podziela,
Nie!!! Mam zwycięzcę i nieprzyjaciela,
Ale nie pana. Każdy hołd mu składa,
Ja nigdy; ale, za to się rozjada,
Coraz namiętniéj walka między nami,
Którąśmy w niebie zwodzili wiekami.
W niezmierzonego przestworu obszarze,
W przepaściach śmierci, w żywota bezmiarze,
W nieskończoności wieków, wszędzie, wszędzie,
Będę go ścigać, gdzie jeno on będzie,
I zatruwając mu chwile spokojne,
Na całą wieczność poniosę mu wojnę.
Na boju tego śmiertelnego szali,
Zanim na czyjąś stronę się przewali,
Światy po światach, drgając, się pokruszą,
Poprzerażane walki téj katuszą.
Bo ten bój dziki, dopiéro ustanie
Wówczas, gdy jeden z nas tylko zostanie.
Lecz cóż zabije naszą nieśmiertelność?
Tworzącą z nami taką niepodzielność?
Kto nienawiści naszéj kres położy,
Rozwścieklającéj się w nas coraz srożéj?...
Jako pogromca, mnie, powalonego,
Nazwie *złośnikiem*, albo Duchem *złego*,
Lecz cóż *dobrego* on tak bardzo stworzył?

Gdybym pokonał go i upokorzył,
Tobym, w odwecie, wszystkie jego sprawy,
Popieczętował stęplami niesławy.
A wyż biedacy śmiertelni, tak młodzi,
Czémże obdarzył was ten wszech dobrodziéj?

KAIM.

Dary to niezbyt hojne i wspaniałe,
A z nich niektóre i nader zgorzkniałe.

LUCYPER.

Wróćmy na ziemię; czas abyś skosztował
Tego przysmaku który wam zgotował.
Dobrego i zła właściwe przymioty,
Lęgną się w treści własnéj ich istoty;
Nie są odblaskiem one ich szafarza.
Jeśli on jednak dobrem was obdarza,
Zwijcie go dobrym, lecz skoro zeń płynie
Falami na was zło, w każdéj godzinie,
Nie przypisujcie mi je, pokąd przecie,
Rzeczywistego źródła nie dójdziecie.
Nie wierzcie słowu choćby nawet Ducha;
Niech raczéj każdy z was siebie podsłucha,
I skutki sądzi; jedno co niezłego,
Wam pozostało z jabłka Edeńskiego,
To szczypta wiedzy; niechże ją nie trwożą
Pogróżki, chociaż karą jéj zagrożą,

I niech nie wierzy, na przekor wszystkiemu,
Jak sumieniowi, tak przeczuciu swemu,
Jakiéjś tam prawdzie gwałtem narzuconéj,
Najabsolutnéj w duszy potępionéj.
Myśl, cierp, i buduj sobie świat wewnętrzny,
Własny świat, jeślić znękał świat zewnętrzny;
Tą jeno drogą, z duchem twoim społem,
Zapanujecie nad ziemskim padołem.

(Znikają.)

KAIM.

AKT TRZECI.

Scena I.

(Ziemia, okolice Raju, jak w pierwszym akcie.)

Kaim, *Adah*.

ADAH.

Cst, nie stukaj się, idź cicho, Kaimie.

KAIM.

Czemu?

ADAH.

Bo synek nasz maleńki drzymie,
Pod tym cyprysem na miękko usłaném,
Z przeróżnych kwiatów, łóżeczku liściiané.

KAIM.

Cyprys!... smutne to drzewo. O! w tém drzewie,
W postawie nawet jego, i w powiewie,
Jest coś, że zda się, sam, płacząc, rozpacza,
Nad kim posępne cienie swe roztacza.
Na cóż więc, na co, dziecinę uśpioną,
Przykryłaś takiéj żałoby obsłoną?

ADAH.

Bo jego liście, i te rozłożyste
Konary, mrocząc słońce promieniste,
Najlepiéj, zda się, sen zabezpieczają
Nad którym z taką powagą czuwają.

KAIM.

Tak! sen ostatni.... długi..., co tam o tém!...
Chodźmy do synka.

(*Podchodzą ku niemowlęciu.*)

Niby pod namiotem
Śpi sobie. Śliczny! prześliczny! rumieńce
Twarzyczki jego, ćmią szkarłatne wieńce
Róż najpiękniéjszych, którémiś wesoło,
Pościołkę jego obsiała w około.

ADAH.

A też, tak cudnie rozwarte usteczka!...

Nie całuj jeszcze, poczekaj troszeczka,
Niebawem ocknie się; sen południowy
Najkrócéj zwykle trwa, a tyś gotowy
Zbudzić go z tego słodkiego uśpienia.

KAIM.

Prawda, masz słuszność, do jego ocknienia
Stłumię rwącego się serca wybuchy.
Niech śpi otulon w różane pieluchy.
Śmieje się, drzémie; śpij, śmiéj się me dziécię,
Młody dziedzicu świata, co w rozkwicie
Jak ty młodziutki, sam z wieków powicia
Ledwie się teraz wyłania do życia.
Szczęsne pachole! któremu, co chwila,
Jakąś pociechą wszystko się przymila,
Nie znasz owocu Edeńskiego drzewa.
Czysty aniołek! ani się spodziéwa,
Jakie czekają go kiedyś mozoły.
Biedactwo! ani mu w głowie że goły,
Że i nań zwalą się czarne godziny,
A nie za jego, ani za me winy.
Śpi jakby dumał; rumieniec wesela,
Na śliczne liczko purpurą wystrzéla,
A pod powieką jego rzęsy lśniące,
Ciemne jak listki cyprysu wiszące,
Drżą jak liść, którym i na taką ciszę,

Czasem wietrzyku tchnienie pokołysze.
Z pod tych firanek ócz jego przezroczy,
Śmieją się senne, szafirowe oczy.
On marzy sobie coś.... o Raju może!...
Wydziedziczony marz! o! marz, nieboże!...
Marz o nim! jeno zostało marzenie,
O tych ustroniach cudów, o Edenie,
W którego nigdy rozkoszne ogrody,
Nie wnidziesz synu, ani twoje rody.

ADAH.

Drogi Kaimie! nie wyrzekaj, proszę,
W obec pisklęcia tego; czyż rozkosze
Niepowrotnego Raju ostatecznie,
Mają cię gnębić wspomnieniami wiecznie?
Możemy wolą i odwagą przecie,
Stworzyć Raj drugi, gdy zechcesz na świecie!

KAIM.

Gdzie?

ADAH.

Tu, gdziekolwiek; o! byleby z tobą,
Nie będę tęsknić za Rajem straconym.
Po cóż mam czoło zasępiać żałobą,
Czyż nie żyjemy w kółku ulubioném?
Ty, ojciec, Abel, Zillach, nasze dziatki,

Mama; nie kochasz więc téj drogiéj matki,
Któréj, winniśmy oprócz życia tyle?

KAIM.

Nawet i śliczną podróż ku mogile.

ADAH.

Owego Ducha to słowa złowieszcze,
Tak rozjątrzyły cię, czémś więcéj jeszcze.
Mniemałam, że te cuda przyrzeczone,
Które pokazać miał, że niezliczone
Jakieś tam światy obecne i znikłe,
Unosząc ciebie, gdzieś w sfery niezwykłe,
Dadzą przynajmniéj, duszy twéj zgryzionéj,
Spokój, zdobyciem wiedzy upragnionéj.
Lecz widzę że ten przewodnik szkaradny,
Wywarł na ciebie tylko wpływ wszechwładny.
Ale przebaczam chętnie téj godzinie,
Bo cię niebawem powrócił rodzinie.

KAIM.

Niebawem?

ADAH.

Godzin dwie ubiegło może.
Jak cię wyciągnął na jakieś bezdroże,

Dla mnie dwie godzin tych były bez końca;
Ale dwie godzin tylko wedle słońca.

KAIM.

A jednak słońce to widziałem z blizka,
Widziałem światy co jego ogniska
Nie znały nawet, jak takie widziałem,
Którym świeciło niegdyś blaskiem całym,
I takie, którym nigdy nie zapała,
Ma nieobecność myślałem że trwała
Lata, com obiegł, licząc po naszemu.

ADAH.

Dwie godzin tylko.

KAIM.

Duch więc po swojemu,
Mierzy przestrzenie i czas, wedle tego,
Czy w nich upatrzy coś nader wzniosłego,
Co go zniewala, czy też poziomego,
Co go osmuca. Widziałem utwory,
Mamidła jakieś, mające pozory
Nieokreślonych istot. Obleciałem
Zgliszcza sfer różnych, leżących nawałem,
Zajrzałem w wieczność, i mnie się zdawało,
Że coś z niej zdala wprost na mnie spływało,

Lecz się nie łudzę tém kłamstwém zwodniczém,
Jam nicość! Duch więc rzekł prawdę żem niczém.

ADAH.

Nie wierz mu, nie wierz; przewrotna to głowa!
Czemuż nie mówił nam tego Jehowa?

KAIM.

Nie, on nas na to potworzył jedynie,
Abyśmy byli zawzze tém czém nynie.
Więc pokazawszy nam Raju piękności,
Nam, prochom! starł znów nas na proch nicości.
Dla czego? za co?

ADAH.

Za rodziców winy.

KAIM.

Winy rodziców!.... nie widzę przyczyny.
Oni broili, to niech i mrą sobie!

ADAH.

Bluźnić okropnie tak, przystoi-ż tobie?
Myśli te straszne nie płyną ci z serca.
Tchnął ci je Duch ów, ów Duch przeniewierca.
Obym ja, zlituj się, Panie! ich dziecię,
Na wykup życia ich, dała me życie!

KAIM.

Jam i me gotów..... byleby istota
Owa, łaknąca tak innych żywota,
Zadowoliła się jedną ofiarą.
Byleb ten śpioszek pod liści kotarą,
Anielskie piskle to nie znało śmierci,
Ni bólu, który na wylot przewierci
Najtwardsze serce, ani też spuścizną,
Raczył swe dzieci taką ojcowizną.

ADAH.

Kto wie!... Pokutnik może kiedyś Wielki,
Stanie się zbawcą plemienia naszego.

KAIM.

Czyliż pokuta zmywając grzech wszelki,
Ma niewinnego karać za winnego?
Myśmy niewinni; cóżeśmy zrobili,
Że nas skazano na ofiarę smutną,
Za czyn, co zanim-eśmy się porodzili,
Miał już umęczyć nas plagą okrutną?
I jakaż wreszcie ofiara przebłaga,
Ten bezimienny grzech, co nas tak smaga?
Jeżeli jeszcze jest grzechem śmiertelnym
Gonić za wiedzą duchem samodzielnym!

ADAH.

Grzeszysz i teraz mój ty hardy duchu;
Bezbożnie słowa twe brzmią memu uchu.

KAIM.

A więc mnie porzuć.

ADAH.

Nie! nie rzucę ciebie,
Choćby cię nawet opuścił Bóg w niebie.

KAIM.

Co to?

ADAH.

Ołtarze dwa drogi Kaimie,
Wzniósł je dziś rano Abel w czoła pocie,
Abyście społem, wielbiąc Boże imię,
Czcili ofiarą go po twym powrocie.

KAIM.

A zkądże wiedział że przystanę chętnie,
Na te ofiary, które z trudem, skrzętnie
Ściąga tak zewsząd, i wnet składa kornie,
Z gorącą skruchą i wiarą, pozornie,
A w rzeczy, z trwogi więcéj niż z kochania,
Żebrząc Bożego dla się zmiłowania?

ADAH.

Daj pokój!

KAIM.

Dosyć ołtarza jednego.
Ja nie mam dani, więc nie trza drugiego.

ADAH.

Owoce, kwiaty wszelkie płony ziemi,
Naszemu Panu są nader miłémi,
Jeśli składamy je sercem gorącém.

KAIM.

Nie pracował-żem już pod skwarném słońcem,
Potępion strasznym wyrokiem przekleństwa,
Aż mi zalewał oczy pot męczeństwa?
Nie dość-że tego? czegoż mam się łasić?
Że wszystko sprzęga się by mnie rozkwasić?
Że i żywioły nawet niespokojne,
Wypowiedziały mi na zabój wojnę,
Rwąc mi już z zębów, gdy darzy mię gleba,
Gradem, pożarem, ostatni kęs chleba?
Za cóż dziękować mam? za co? żem prochem
Że w prochu pełzam? i z całym motłochem
Ludzkością zwanym,—ohydne stworzenie!
Rychléj, czy później, znów się w proch zamienię?

A jeślim niczem? nędzne me jestestwo,
Maż błogosławić i za swe nicestwo,
Klepiąc pacierze usty kłamliwémi,
Jakbym się cieszył boleściami mémi?
Cóż ma mnie smucić? Ojca mego winy,
Pokwitowane dawno nieszczęściami,
Które się waląc wciąż na jego syny,
Chłostać ich będą latami, wiekami.
Biédny ty malcze! Spokojnie uśpiony,
Ani się troszczysz, że kiedyś miljony
Plemion rozrzucisz, i jakie to ciosy
W praprapraszczurów twoich grzmotną losy!
Mądrzéj, rozumniéj by, zanim co będzie,
Roztrzaskać główkę mu o skał krawędzie,
Niż pielęgnować okropne to życie,
Aby!...

ADAH.

O! Boże! Kaimie! me dziécię!...
Dziécię twe!...

KAIM.

Nie bój się! nie!!! za gwiazd krocie,
Promieniejących cudnie tak w ciemnocie,
Za całą wszechmoc co wytyka szlaki,
Po których krążą lśniące ich orszaki,

Ani tknę nigdy pacholęcia tego,
Krom pocałunkiem serca ojcowskiego!

ADAH.

Na cóż więc grozisz?

KAIM.

Nie! mówiłem tylko,
Żeby dlań znośniéj było, ginąc, chwilką
Zakończyć wszystko, niż w strasznéj przyszłości,
Tyle niédoli zgotować ludzkości,
A sobie cierpień! ale że ta mowa
Osmuca cię tak, więc jeno dwa słowa
Jeszcze: oby się był nigdy nie rodził!

ADAH.

Ach! nie mów tego! nie!... Któżby mi słodził
Każdą mą troskę? gdzieżby się podziały
Owe rozkosze me, gdy dzionek cały
Czuwając nad nim; karmię go po troszku?...
Cicho! budzi się! Drogi mój Enoszku!

(*Podchodzi ku dziecięciu*).

Patrz! patrz! Kaimie! patrz! jakie tu życie!
Siła! swoboda! piękność! i w rozkwicie
Bujnym tak zdrowie! Patrz! patrz! jak podobny,
Aniołek, Seraf, Cherub ten mój drobny,
Do mnie, i, także, gdyś wesół, do ciebie,

O! bośmy wszyscy podobni do siebie!
Nie prawdaż mężu? Ojciec, matka, dziatwa,
Gdy się to wszystko posplata, pogmatwa,
To odzwierciadla się tak w sobie wzajem,
Jak w wodzie kwiatek, zwieszon nad ruczajem.
Kaimie! kochaj więc nas, kochaj siebie,
Przez miłość dla nas, bo kochamy ciebie!
Patrz! jak się śmieje, wyciąga rączęta,
Roztwiéra wznosi niebieskie oczęta,
Wlepia je w ciebie, niby wita tata,
A całém ciałkiem, zrywa się, podlata,
Jakby ptaszkowie Boży, lub Anieli,
Skrzydełka mu swe anielskie przypięli.
Nie martw się! nie martw! Serafy, Cherubi,
Z których się żaden synkiem nie pochlubi,
Szczęsnego ojca zazdroszczą losowi.
A więc błogosław, Kaimie, synkowi!
On jeszcze niemy, kwilić tylko umié,
Ale cię sercem pojmuje, rozumié,
I podziękuje, a twe serce, czuje,
Wzajem ci za to, piérwéj, podziękuje.

KAIM.

Więc błogosławię ci synu, jeżeli,
Nędzne, ojcowskie me błogosławieństwo,
Przyszłe nieszczęścia od ciebie odstrzeli,
Na które-ć węża skazało przekleństwo.

ADAH.

Gad nie przemoże, ja się tém nie trwożę,
Błogosławieństwa ojca.

KAIM.

O przemoże!
Lecz błogosławię go w najdalsze lata.

ADAH.

Brat Abel idzie tu.

KAIM.

Masz więc i brata.

Scena II.

Abel, *Kaim*, *Adah*.

ABEL.

Witam cię bracie, pokój z tobą Pana!
Witam Kaimie!

KAIM.

Witam cię wzajemnie.

ABEL.

Siostra mówiła mi że dzisia z rana

Szepcąc coś z jakimś tam Duchem tajemnie,
Wyszliście wkrótce, dla większéj swobody,
Po za obręby gdzieś naszéj zagrody.
Czy on z tych Duchów, co nieraz ku ziemi,
Spływając z niebios skrzydłami białémi,
Łaskawie często rozmawiają z nami,
Jak rozmawiamy sobie z rodzicami?

KAIM.

Nie! nie!

ABEL.

Więc czemuś nie stronił od niego?
Może, Kaimie, wróg to Najwyższego.

KAIM.

A nasz przyjaciel? Może jeszcze powiesz,
Że i Najwyższy ów, jak go tam zowiesz,
Sprzyja nam także.

ABEL.

Jak Go zowię!... jakże
Dziwnie wyrażasz się dziś! Ado droga,
Zostaw na chwilkę nas, proszę cię, wszakże
Czasby pomodlić się już nam do Boga.

ADAH.

Bądź zdrów Kaimie, ale wpiérw wesoło,

Uściśnij synka, ucałuj mu czoło;
Łagodność jego, Abla bogobojność,
Może ci wrócą i twoją spokojność.
(*Adah wychodzi z dzieckiem.*)

Scena III.

Abel, Kaim.

ABEL.

Gdzieżeś był?

KAIM.

Nie wiém.

ABEL.

Cóżeś widział bracie?

KAIM.

Śmierć i pomarłych w groźnym majestacie!
Tworzydła wieków dziwnego utworu,
Nieogarnione jak bezmiar przestworu.
Zagasłe światy niegdyś istniejące,
I światy całym blaskiem dziś płonące.
Tłumy ogromów: księżyce, planety,
Słońca, miljardy gwiazd. globy, komety;
Wszystko to w ładzie harmonijnym, społem,

Krążyło w okół mnie światlaném kołem.
Więc daj mi pokój, i nie susz mi głowy,
Nie zdolnym teraz do ziemskiéj rozmowy.

ABEL.

Jakiemi iskry oko twoje sypie,
Jak ci twarz płonie, w głosie twoim chrypie.
Co to?

KAIM.

Co!.... proszę zostaw mnie samego.

ABEL.

O! nie! nie pójdę bracie, pokąd razem
Nie pomodlimy się do Najwyższego.

KAIM.

Proszę cię jeszcze, módl się sam tym razem.
Bóg kocha-ć.

ABEL.

Obu kocha, mam nadzieję.

KAIM.

O! ciebie lepiéj! lecz się z tego śmieję!
Tobie właściwiéj mormotać pacierze;
Klep je więc sobie gorąco i szczérze,
Lecz sam, przynajmniéj bezemnie.

ABEL.

Kaimie,
Czyż zasłużyłbym kiedy bądź na imię
Adamowego syna, gdybym ciebie,
Pierworodnego brata nie uprosił,
Abyś, namaszczon kapłańsko, w potrzebie
Świętéj tak, hymny twe przedemną wznosił?
Twoje to prawo.

KAIM.

Kwituję zeń.

ABEL.

Toż mię
Drogi Kaimie, najwięcéj zasmuca.
Duszę twą, jakiś wpływ nader widomie,
Opętał szałem i obałamuca.
Módl się, módl, to cię ukoi.

KAIM.

Co tobie?
Widziałem spokój żywiołów, lecz w sobie
Nigdym go nie czuł. Zostaw mię, lub ja cię
Zostawię z twémi pacierzami, bracie.

ABEL.

Nie! tak nie będzie! należy nam społem,

Uderzyć Panu Najwyższemu czołem,
Radośném sercem przed nim się ukorzyć.

KAIM.

Chcesz? zgoda! cóż mam czynić?

ABEL.

Dań mu złożyć,
Masz dwa ołtarze.

KAIM.

Tak; lecz dla mnie one,
Są to kamienie tylko w stos złożone.
Wybierz na którym więc.

ABEL.

Sam wybierz.

KAIM.

Na tym.

ABEL.

Na wyższym? starszyś, słusznieś wybrał zatém.
Gdzież twe ofiary?

KAIM.

A twoje?

ABEL.

Me? oto!
Trzód mych pierwiastki! pastuszek pokorny,
Składam je Bogu serdeczną ochotą!

KAIM.

U mnie trzód niéma; lecz za to wytworny
Płód ziemi, którą w pocie czoła orzę,
Jakiś tam owoc uszczknięty mu złożę.
(*Zrywa owoc*)
Masz. Patrz! dojrzały, i jaki dorodny.
(*Składają dary na ołtarzach, i zapalają je.*)

ABEL.

Teraz, Kaimie, jako pierworodny,
Pomódl się piérwszy, bo modlitwa w parze,
Idzie z daniną święconą w ofiarze.

KAIM.

Nie! jam nowicjusz, zaczynaj więc sobie,
Ja się pomodlę, jak umiém, po tobie.

ABEL. (*Klękając*).

Boże! coś stworzył nas, i w nasze łono,
Tchnął życie, łaską Twą błogosławioną.
Coś po upadku naszego rodzica,

Nie odwracając słusznie od nas lica,
Miasto, jak mogłeś, w Twéj sprawiedliwości,
Zniweczyć jego ród za tyle złości,
Raczył przebaczyć nam, i tak obficie
Obdarzasz wszystkiém nas, że nasze życie,
Jest rzeczywistym Rajem, w miarę zbrodni,
Jakiémi drażnim Cię w złości, niegodni.

Jedyny Królu światła, wiecznéj sławy,
Wszelkiego dobra rozdawco łaskawy.
Ty! bez którego, wnet, coby nie było,
W potworne by się zło przeistoczyło,
A za którego sprawą litościwą,
Wszystko przetwarza się w błogość prawdziwą,
Wiodąc manowcem tajnym, niedojrzanym,
Ku świętym celom Twoim niezbadanym.

Duchu potężny! przyjm chętnie w ofierze,
Dań Ci złożoną ubogą, lecz szczérze.
Przyjm! przyjm! ubłagan modłami pacierza,
Dar piérwszéj trzódy; piérwszego pasterza.

Dar ten jest niczém; bo gdzież godny Ciebie?!
Przyjm go jednakże, przyjm go, Ojcze w niebie,
W hołdzie od tego, co ulepion z ziemi,
W pył zanurzony, usty drgającémi,
Z prochu, w który go pokora wdeptała,
Woła, chwała ci Panie, wieczna chwała!

KAIM. (*Stojąc*).

Duchu! ktoś bądź jest; wielki?... Może! ale
Czy dobry; nie wiém, i nie widzę wcale
Skutków dobroci téj. Mianują Ciebie
U nas Jehową, a Bogiem na niebie;
Lecz może jeszcze masz jakie imiona,
Bo twych przymiotów mnogość niezliczona,
Jako i dzieł twych; jeśli łaskę Twoją,
Wyżebrać zdoła modlitwa, przyjm moją!
Jeśli stawione Ci w hołdzie ołtarze,
I rozłożony na nich dar w ofiarze,
Mogą cię zmiękczyć, dwie istoty nynie,
Wzniosło-ć ołtarze dwa, jak dwie świątynie.
Lubisz krew? to się nią, patrz! śród płomieni.
Ociekły ołtarz pastucha czerwieni!
Który składając ci cześci dowody,
Dziś pomordował pierwociny trzody.
Zwęglone mięso ich, dymiąc jak sadza,
Kadzidłem mordu obłoki okadza.
Lecz jeśli owoc ten, słodki, soczysty,
Plon różnorodnych pór roku barwisty,
Rozsypan w słońca obliczu, którego
Ciepło dojrzałość przyspieszyło jego.
Leżąc na darni nie zlanéj posoką,
Twe zadowoli, zwrócone nań, oko.
Owoc w pierwotnym kształcie, w pełni życia,
Jak wyszedł z matki przyrody powicia.

Jeżeli ołtarz krwią nieobryzgany,
Podoba Ci się, patrz! mój nieskalany!
Co do człowieka co na nim dań złożył,
Był, jest, i będzie, jakimeś go stworzył.
Bo mu jest wstrętną łaska szczodrobliwa,
Którą się jeno na klęczkach zdobywa.
Jeśli on złośnik, zgnieć go! tyś potężny!
Nie oprze ci się proch tak niedołężny.
Jeżeli dobry, oszczędź! wszakże w tobie,
Krystalizując się w groźnym sposobie,
I zło i dobro, wszystko, tobie gwoli,
Zawisło tylko od twej samowoli.
Zła ona; dobra? a któż to oznaczy?
Nikt! wszechmoc jeno wszechmoc wytłómaczy!
Jam nie wszechmocny, jam tylko skazany,
Wychylać kielich z góry mi podany.

(Ogień rozłożony na ołtarzu *Abla*, świetną kolumną wytryska ku niebu, burza tymczasem obaliwszy ołtarz *Kaima*, rozrzuciła owoce po ziemi).

ABEL. (*Klękając.*)

Kaimie! módl się! bracie! na kolana!
Widzisz! obrażasz Najwyższego Pana.

KAIM.

Dla czego? cóż to!

ABEL.

Patrz jak twe owoce,
Burza rozmiata, a ołtarz druzgoce.

KAIM.

Owoc płód ziemi; jeśli w ziemię wstrzęgnie,
Nasionko jego znów owoc wylęgnie.
Ofiara twoja, spalone bydlęta,
Jakoś od mojéj serdeczniéj przyjęta.
Przypatrz się jeno, jak niebo widomie
Wciąga, posoką cuchnące to płomie.

ABEL.

Nie myśl o mojéj ofiarze, złóż, zda się,
Wnet inną, zanim będzie poniewczasie.

KAIM.

Nie wzniosę więcéj, nie! ołtarza marnie,
I nikt go, pewnie, nie dźwignie bezkarnie.

ABEL. (*Powstając*).

Cóż myślisz?

KAIM.

Zwalić ten przyrząd ponury,
Z którego wznoszą się, gdzieś tam, pod chmury,
Śród kłębów dymu, ckliwe twe pacierze,

Którym nic a nic, i koniec! nie wierzę.
Zwalić ten ołtarz, krwią oposoczony,
Porżniętych zwierząt, na dar tak szalony!

ABEL. (*Stawając przed nim*).

Nie zrobisz tego! bluźniercze te słowa,
Nie poprzesz, bracie, bluźnierczémi czyny.
To moja świętość! odkąd zeń Jehowa,
Przyjął łaskawie trzód mych pierwociny.

KAIM.

Łaskawie!... Jak to wzniośle! wietrzyć wonie
Mięs zakrwawionych koźląt, po ich skonie!
Co tam! ich matek macierzyńskie męki,
Opłakujących wrzaskliwémi jęki,
Śmierć tak okrutną! Jak to równoważy
Ból ofiar, którym ani się zamarzy,
Że wkrótce, na coś, gdzieś, jakieś z nich, zdradnie,
Becząc, pod nożem pobożnym, upadnie.
Precz!.... Nie zostanie tu ani kamienia,
Z pomnika tego, co na srom stworzenia,
Wystrzelił w obec słońca....

ABEL.

Co ci! bracie!
Jakiż szatański duch tak powiał na cię?

Nie tkniesz ołtarza mego, chyba szczérze,
Chcesz na nim złożyć inny dar w ofierze!

KAIM.

Inny dar? precz mi! precz! lub tą ofiarą....

ABEL.

Co to jest?

KAIM.

Precz mi! precz! nieszczęsna maro.
Bóg twój krew lubi, precz! bo niezadługo,
Pociecze znowu mu szeroką strugą!

ABEL.

W imię więc Boga, zasłaniam przed złością
Ołtarz, co uczcił on swą łaskawością.

KAIM.

Jeśli ci miłe życie, ruszaj sobie,
Pokąd z ołtarzem tym ładu nie zrobię,
Bo!....

ABEL. (*Przeciwiając się*).

Kocham Boga nad życie!

KAIM.

(Uderzając go w skroń głownią wziętą z ołtarza).

Giń przeto!
Rozgorączkowan tak szczytną podnietą.
Zanieś twój żywot Bogu twemu w darze,
Krwią obryzgane lubi on ołtarze!

ABEL. (*Padając*).

Coś zrobił bracie?

KAIM.

Bracie!!!

ABEL.

Boże !Boże!...
Przyjm mego ducha, gdy się w grób położę,
I niech Twa dobroć mordercę nie wini,
Bo on nieszczęsny, sam nie wié co czyni....
Kaimie!.... dłoń mi podaj w skonu chwili!...
Rękę daj!.. rękę!... i powiédz méj Zilli...

KAIM. (*Po chwili osłupienia*).

Ma dłoń!... skrwawiona!... i czém?... mordu chrze-
(stem!...

(Długie milczenie. Wodzi w okół obłąkanym wzrokiem.)

Mordu!.. Gdzież Abel!.. Gdzie Kaim!.. Gdzież jestem!..
Ocknij się, bracie!... Czemuż na murawie,
W przerażającéj tak leżysz postawie?...
Czemuś tak blady?... nie pora to spania!...
Co ci?... tak silny byłeś dzisia z rania.
Ablu mój! błagam cię! nie żartuj ze mną!...
Jam cię uderzył, opętan nikczemną,
Szkaradną złością, lecz to nic nie znaczy.
Na coś mię, sporem, przywiódł do rozpaczy?...
To żart!... jak drewno leżysz; jakbyś nie żył.
Jam cię raz tylko! tylko raz uderzył!...
Porusz się!... porusz!... przez litość!... na Boga!...
Na Boga! porusz się!... dręczy mię trwoga.
Tak! tak!... oddycha!... czuję tchnienie.—Boże!!!

ABEL. (*Gasnącym głosem*).

Kto wzywa Boga?

KAIM.

Rozbójnik!

ABEL.

Więc Panie,
Przebacz mu; niech go Twa łaska wspomoże.
Ty powiedz Zilli méj, gdy mnie nie stanie,
Że oddziś brata ma tylko jednego...

(*Abel skonał.*)

KAIM.

A ja żadnego już!... a ja żadnego!...
Gdzie mój brat?... Żyje?!.. Tak! oczy rozwarte!...
Niby śpi;—lecz sen, sen powieki klei.
I usta jego na poły otwarte.

Dysze!... Nie!... Gdzie tam!... nie!... nie ma nadziei!!!..
A serce?... serce!... ah! serce!... zda mi się,
Bije; nie!... o! nie!... nie drgnie!... Niby śni się
Mi okropnego coś!... Strach mną kołata,
Jakbym się nagle zapadł gdzieś do świata
Gorszego jeszcze niż ten!... Co to?... co to?...

(Pociąga dłonią po czole, i wpatrując się w nią:)

Kropla!... a przecie nie ma rosy. O! to
Krew!... krew!... krew brata!... moja krew!.. czerwona!...
Krew, mordem brata, bratu wytoczona.
Na cóż mi życie, gdym życia pochodnię
Własnego ciała, zdmuchnął tak niegodnie?

Lecz on nie umarł!... Śmierć że jest milczeniem?...
Nie!... ty się ockniesz; błagam-ć z udręczeniem.
Czuwajmy!... Życie nie jest rzecz tak krucha,
By je gruchotał jeden cios obucha!..

Mruknął coś, szepnął... Cóż powiem?... krew cieknie...
Bracie!!!. Nie!... na to miano nie odrzeknie.
Nie! nie odrzeknie! nie odpowié!... czuję!...
Brat nie zabija brata! nie morduje!...

Przemów twym głosem!... o! długoż mam prosić?..
Abym mógł snadniéj dźwięki mego znosić.

(*Wbiega Zillah*).

Scena IV.

Kaim, *Zillah*.

ZILLAH.

Słyszałam szmer tu; jakto? Abel drzymie,
A ty, przy mężu mym, czuwasz, Kaimie?
Co to jest! bracie! śpi on, może marzy?
Boże! zkąd bladość ta i krew na twarzy?
Nie!... nie!... nie krew to! któżby ją wytoczył?
Ablu! mój Ablu! któż to cię tak zbroczył?
Nie dysze; nie drgnie! ach! a ręka jego,
Gdy ją podnoszę, nakształt bezwładnego
Kloca opada. Bracie niegodziwy!
Czemuś nie odbił cios ten tak straszliwy?!..
Kto bądź uderzył w cnotliwe to serce,
Silniéjszyś! mogłeś odeprzéć mordercę!
Ojcze mój!... Ewo!... Ado!... spieszcie!... spieszcie!...
Śmierć na świat wkradła się!...

(*Zillah wypada wołając*).

Scena V.

KAIM. (*Sam*).

Wkradła się wreszcie!...
Któż ją sprowadził?... ja!... com nienawidził
Ją wstrętnie tak! Ja!... com się tak nią brzydził,
Że samą wzmianką o niéj, zatruwałem
Żywot mój gorzko, zanim ją poznałem.
Jam ją sprowadził tu! i nieszczęsnego,
Pchnął jéj na pastwę w paszczę, brata mego,
Jakby czekała aż mego poparcia,
Kogo jéj w zęby cisnę do pożarcia.
Wreszciem się ocknął. Jakieś widma! mary!
Oszołomiły mię jak snu maszkary.
Lecz on nie ocknie się już, nie! nie!..
(*Adam*, *Ewa*, *Adah i Zillah*, *co tchu wpadają*)

Scena VI.

(*Adam*, *Ewa*, *Adah*, *Zillah*, *Kaim*).

ADAM.

Wrzaski
Zilli ściągnęły tu nas! Cóż to?... Łaski!...
O! Panie! łaski!... Prawda!... Synu!... synu!...
(*do Ewy*.)
Niewiasto! patrz na owoc twego czynu!

EWA.

O! nie wspominaj o tém!... Węża zdrada,
W serce mi wgryza się, w mózg mi się wjada!...
Zamordowany Abel mój, wyrodnie!...
Chłosta tak dzika, przeważa mą zbrodnię!...

ADAM.

Kto zamordował? kto? kto?... mów Kaimie!...
Czy Duch, wróg Boży, co na samo imie
Jehowy, pierzcha przerażon? czy może
Potwór czworonóg, lęgnący się w borze?

EWA.

Przerażający błysk, jak mig piorunu,
Rozjaśnił pomrok myśli mych całunu!
Głownia ta czarna, okopcona w dymie,
Zaczerwieniona....

ADAM.

Synu mój! Kaimie!
Mówże, nieszczęście to tak już złowieszcze,
Nie podliż inne, ohydniéjsze jeszcze?

ADAH.

Powiedz, Kaimie, powiedz, że to nie ty!

EWA.

To on! on! widzę! czuję to! niestety!...
Odwraca głowę, i ręką drgającą,
Zakrywa swoją twarz przerażającą.

ADAH.

Matko! o matko! Powiedz! powiedz, bracie!
Że tak obmierzły zarzut zwalon na cię,
Rozpacz matczyna, boleść niezmierzona,
Wyrwały jeno biédnéj matce z łona.

EWA.

Błagam-ć, o Boże! o wielki Jehowa!
Niech nad nim cięży klątwa ma wiekowa!...
Niech wąż, boś, jak wąż, jadowitym gadem,
Zatruje życie ci wężowym jadem!
Niech szalejąca rozpacz, do ostatka
Zgnę...

ADAH.

Czekaj! czekaj! nie klnij! wszakżeś matka.
To syn twój! mój brat! mąż! on mi umila
Życie.

EWA.

Nie masz już brata!... męża Zilla!..
Ja nie mam syna!.. a więc go wyklinam,

I precz napędzam, precz, precz! w świat daleki!...
Wiążące węzły nas, zrywam, rościnam,
Jak on potargał natury na wieki!..
O! śmierci! śmierci! czemuś nie zabiła
Mnie naprzód, com ci się tak zasłużyła?
Czemuż oszczędzasz teraz?...

ADAM.

Ewo biédna,
Wiész na jak straszną skazano nas dolę.
Wyroku tego nic już nie przejedna,
Nie bluźń, uszanuj świętą Bożą wolę.

EWA.

(*Wskazując Kaima*).
O! Wolę Bożą!... powiedz! powiedz raczéj!
Téj rozpasanéj złości i rozpaczy,
Którą zrodziłam z takiémi bólami,
By zasiewała świat mordu trupami!...
Niech wszystkie klątwy spadną mu na głowę!
Niech rozpacz wyprze go w puszcze jałowe,
Jako nas kiedyś z Edenu wyparto,
I niech go dzieci własne, z tak zażartą
Dręczą męczarnią, jak on dręczył brata!..
Niech miecz Cheruba wciąż nad nim ulata,
Dzień i noc pędząc go jak świat szeroki!...
Niech się wylęga gad pod jego kroki,

Owoc popieli się w ustach zgłodniałych!...
A po dniach całych, i po nocach całych,
Gdy na mchy padnie wytchnąć uznojony,
Niech mu się roją pod głową skorpjony!
Niech o ofiarze swéj w snach śni wieczyście,
Jak i na jawie widzi wiekuiście!...
Woda niech zmienia w krew płynne kryształy,
Coby mu wargi krwawo farbowały!...
Niech wszelki żywioł dziko rozdąsany,
Smaga go wszelką chłostą naprzemiany!...
Niech żyje w mękach, którychby cierpienia,
Wymordowały całe pokolenia!...
A śmierć! niechaj się przetworzy w straszydło,
Stokroć wstrętniéjsze mu nad śmierć obrzydłą,
Bo on ją piérwszy świetnym uczcił łupem,
Częstując brata rodzonego trupem!...
Precz! bratobójco!... Plemiona potomne,
Mord bratni—dzieło twoje wiekopomne,
Odcisną stemplem twojego imienia,
Którego chwała, godnegoć znaczenia,
Wszędzie i zawsze, i zawsze i wszędzie,
Stygmatyzować bratobójcę będzie.
I cała ludzkość, zgrozą przerażona,
Wyklnieć morderco, acz z ciebie zrodzona!...
Oby ci trawnik pod stopą żółkł! głowie,
Obyś w skwar cienia nie znalazł w dąbrowie,

Oby ci grobu odmówiła gleba,
Słońce jasności, świat kąta, Bóg nieba!...
(*Ewa wychodzi*).

Scena VII.

(*Ci sami prócz* Ewy).

ADAM.

Uchodź Kaimie! Odtąd między nami,
Nie będzie nigdy, nigdy nic wspólnego.
Uchodź!... nam zostaw trupa, my go sami
Pogrzebiem; nie mam już syna żadnego!

ADAH.

O! Nie opuszczaj go, nie! i, jak matka,
Klątwą ojcowską nie gnęb do ostatka!

ADAM.

Nie klnę: niech własne go serce, co chwila,
Najstraszliwszémi klątwy klnie! Chodź! Zilla!

ZILLAH.

Ja winnam czuwać przy zwłokach; on bratem
Dla mnie był, mężem, szczęściem, całym światem

ADAM.

Wrócim tu, skoro odéjdzie morderca,
Chodź, Zillo!

ZILLAH.

Niech go przytulę do serca,
I pocałunkiem pośmiertnym, na wieki,
Pożegnam czoło to, usta, powieki.
(*Adam i Zillah wychodzą płacząc*).

Scena VIII.

Adah, Kaim, Głos.

ADAH.

Bracie! słyszałeś: no! czas i nam w drogę!
Ja ci natychmiąst towarzyszyć mogę.
Ty weźmiesz córkę, ja wezmę Enocha.
Chodźmy! Patrz! słońce zniża się już trocha.
Strasznoby było w spóźnionéj godzinie,
Przebywać z dziećmi po nocy pustynię...
Przemówże do mnie, przemów do twéj żony.

KAIM.

Idź sobie! ruszaj!

ADAH.

Iść! dokąd? szalony! (*)
Opuścili cię wszyscy.

KAIM.

Czegóż stoisz?
Czyż rozbójnika, jak ja, się nie boisz?

ADAH.

Boję się tylko rzucić się niegodnie,
Chociaż ze wstrętem odpycham czyn, zbrodnię,
Co ci zabiła brata tak wyrodnie.
Nie mówmy o tém nieszczęściu złowrogiém;
Niech między tobą przepada a Bogiem!

GŁOS.

Kaimie! Kaimie!

ADAH.

Słyszysz, słyszysz, bracie?

GŁOS.

Kaimie! Kaimie!

ADAH.

To Anioł woła cię.
(*Anioł zlatuje*).

Scena IX.

Adah, *Kaim*, *Anioł.*

ANIOŁ.

Gdzie brat twój?

KAIM.

Cóż to? jestem stróżem brata?

ANIOŁ.

Coś zrobił? Abla krew ku niebu wzlata
Skargą na brata! Teraz cię wyklęto
Na ziemi, którąś morderczém ramieniem,
Wściekłością, w nędznéj zazdrości poczętą,
Oblał niewinnym bratniéj krwi strumieniem.
Odtąd twa skiba zasiana w jesieni,
Nigdy ci runem się nie zazieleni,
A ty pędzony klątwy twéj rozpaczą,
Deptać świat będziesz pielgrzymką tułaczą!

ADAH.

Straszna to chłosta! wyganiasz go z ziemi,
A obrażony Bóg się przed nim kryje,
Tułającego się kroki błędnémi,
Kto bądź gdzie spotka, zelży i zabije.

KAIM.

Dałby Bóg! lecz gdzież mordercy na świecie?
Wszakto pustynia! pustkowie to przecie!

ANIOŁ.

Zabiłeś brata; a któż cię zaręczy,
Że cię syn własny kiedyś nie umęczy?

ADAH.

Aniele światła! litości! litości!
Nie mów by łono moje, me wnętrzności,
Wylęgły taki potwór.—Ojcobójca!...

ANIOŁ.

Kroczyłby tylko torem swego ojca.
Czyliż twéj matki wnętrzności i mléko
Nie wykarmiły Abla, co z powieką
Zwartą, któréj już nigdy nie rozmruży,
Pławi się, w oczach twych, w krwi swéj kałuży
O!!! ojcobójcę zrodzi bratobójca!...
Ale nie stanie się tak!... Aby zbójca
Wszelki go poznał, za Boga rozkazem,
Który i twoim Bogiem jest zarazem,
Wypalę czoło mu z Bożéj wyroczni,
Pieczęcią, co go wszystkim uwidoczni.
Ktoby więc z piętném tém go zamordował,
Siedmkroć straszniejszy-b los sobie zgotował.
Chodź tu!

KAIM.

Czego chcesz?

ANIOŁ.

Skroń ci ostemplować,
By cię bezpieczniéj od mordu zachować.

KAIM.

Nie! wolę zginąć!

ANIOŁ.

Ani myśl o skonie.
(*Anioł piętnuje mu czoło*).

KAIM.

Czoło me gore, głowa moja płonie,
Ale zjadliwiej sam sobie dopiekam.
Wszystkoż już?... może co jeszcze?... no!... czekam!...

ANIOŁ.

Od urodzenia byłeś zawsze twardy,
Jak grunt, który ciąć musisz w bruzd krajanki.
Lecz ten coś zabił go, złośniku hardy,
Łagodnym, dobrym był, jak trzód baranki.

KAIM.

Jam się urodził zawcześnie! zawcześnie!
Po mych rodziców okropnem rozbiciu.
Matka o wężu wciąż śniła boleśnie,
Ojciec po Raju płakał wciąż w ukryciu.
Jestem czém jestem: nie prosiłem pewnie
O śliczne życie! samem się nie stworzył.
Lecz gdybym śmiercią mą, święconą rzewnie,
Wskrzesić mógł Abla, i nieboszczyk ożył!...

Stokroć umarłbym za niego w ofierze!
Niech jeno wskrześnie! zastąpię go szczérze,
A ulubieńca Bóg wróci do życia,
Nienawistnego mi tak od powicia.

ANIOŁ.

Kto mord zagładzi? zatrze co się stało?
Idź, i spełń wszystko co ci pozostało,
Tylko pamiętaj! późniejsze twe czyny,
Niech będą wolne od wszelkiéj przewiny.
(*Anioł znika*).

Scena X.

Adah, *Kaim*.

ADAH.

Uleciał; chodźmy: Enoszek nasz płacze.

KAIM.

Bogdaj to! bogdaj! pacholąt rozpacze!...
A ja com umiał cudzą krew roztrwonić,
Nie mogę kropli własnéj łzy uronić!
Lecz wszystkich czterech rzék Edenu prądy,
Nie wypłukały-b serca mego trądy.
Myślisz że Enoch spójrzy na mnie jeszcze?

ADAH.

Jeśli nie zechce, to go nie popieszczę...

KAIM.

(przerywając).

Daj pokój! nie groź, na co to się zdało?
Dosyć i tego już z nas co się stało.
Idź, idź, po dzieci; całe szczęście moje.

ADAH.

Chcesz zostać trupem? nie! chodźmy oboje.

KAIM.

O świadku martwy, wieczysty, niezbyty,
Którego czerep maczugą rozbity,
Popękanémi ranami, dziurami,
Broczy krwią ziemię, i niebiosa plami.
Czémeś obecnie? nie wiém! nie pojmuję!
Lecz jeśli widzisz czém ja jestem, czuję!
O! czuję! że twa bratnia litość raczy,
Przebaczyć temu, komu nieprzebaczy,
Ani Bóg nigdy, ani własna dusza!...
Żegnam-ć!... Niech trupa morderca nie rusza!...
Ja, com się z tobą wylągł w jednem łonie,
Com jedno mléko ssał u jednéj piersi,
Cośmy się nieraz, po rączym przegonie,
Dziećmi, jak bracia ściskali najszczérsi,
Ja nie obaczę cię już, ani dla cię
Zrobię, co tybyś dla mnie zrobił, bracie,

Bo cię nie złożę w mogiłę, coć czeka,
Piérwszą mogiłę, piérwszego człowieka.
Lecz kto wykopał ją!... Oto zapłata,
Ziemio, za dary twe!... trup mego brata!
A teraz w puszczę!

ADAH.

(Ukląkłszy całuje w czoło Abla).

Los nieubłagany,
Był twym udziałem bracie mój kochany.
Ze wszystkich, których pokryłeś żałobą,
Mnie jednéj płakać nie wolno za tobą.
Nie! nie! ocierać łzy winnam, nie szlochać!
Chociaż ze wszystkich co nad tobą płaczą,
Nikt cię nademnie silniéj nie mógł kochać,
Ani się krwawi straszniéjszą rozpaczą,
Bo jednym jękiem płaczę nad mym bratem,
A drugim jękiem, ach! nad brata katem!...
Teraz, twój ciężar, mężu, miłość żony,
Dźwignie w połowie własnémi ramiony!

KAIM.

Pójdziemy na wschód Edenu daleko,
Lubię się błąkać po pustkowiu dzikiém.

ADAH.

Prowadź gdzie chcesz mię, pod twoją opieką
Wszędzie mi dobrze; tyś mi przewodnikiem.

I oby Bóg nasz stał się twoim Bogiem!
Chodźmy do dzieci.

KAIM.

Abel był bezdzietny!
W zapamiętaniu szaleństwa złowrogiém,
Zgniotłem w zawięzi ród jego szlachetny,
Którymby z Zillą, spokojne małżeństwo,
Uszczęśliwiło go i człowieczeństwo;
A związki plemion naszych z wszelkich względów,
Złość łagodziły-b krwi mojéj popędów.
O! Ablu! Ablu!

ADAH.

Pokój mu na wieki!...

KAIM.

A *mnie?!...*

(*) Cztery rzeki Raju nazywały się: *Phison*, *Gehon*, *Tygrys*, *Eufrat*.

POEZJE ULOTNE

z

LORDA BYRONA

KALMAR I ORLA.

KALMAR I ORLA.

Z (HOURS OF INDLENSES).

O! jak nam miłe dni naszej młodości!
Starzec odżywa wspomnieniem przeszłości.
Lubi on marzyć u życia zachodu,
O czarujących złudach jego wschodu.
Omdlałą dłonią ima on miecz nieraz,
Lecz go nie dźwignie wątłą ręką teraz,
„O! nie tak,“ woła duszą obolałą,
„Niegdyś orężem ojców się wstrząsało!“

Ród bohaterów dawno nie istnieje;
Ale pieśń lutni uwiecznia ich dzieje.
Duchy ich z wichrem w błękitach krążące,
Słysząc rapsody na chwałę ich brzmiące,
W chmurnych pałacach swych pociechą drgają.
Pod tym kamieniem szarym spoczywają
Zwłoki Kalmara; lecz rycerz po skonie,

Na grzbiecie burzy w ustawnym przegonie,
W powietrzokrężne porywany sfery,
Skrzydłem podmuchów gór wzlata w etery.

Dziecię Morwenu, był on śród gonitew,
Śród walk, piorunem Fingalowych bitew.
Gdzie bądź się jeno pomiótł, jego kroki,
Opływał strumień rozlanéj posoki.
Synów Lochlinu trwoga przed nim gnała,
Acz z ócz mu słodycz niewieścia patrzała.
Włos jego zwieszon złotémi kędziory,
Błyszczał jak świetne nocy meteory.
Nigdy nie kochał on dziewicy żadnéj;
Lecz ulegając przyjaźni wszechwładnéj,
Wylał się całkiem dla kruczowłosego,
Orlę, w zatargach, jako lwa, groźnego.
Miecze ich w bitwach jednako rąbały,
Wszystko pomiotem słał Orla zuchwały;
On téż świat cały ukochał w Kalmarze.
Oba mieszkali w Ojtona pieczarze.

Swaran pożegnał Lochlin, wód głębiny,
Przeniosły łodzie jego na równiny.
Groźny miecz jego straszliwą rzeź szerzy.
Erin drży, Fingal wzywa swych rycerzy.
Nawy ich siny ocean pokryły,

Zielone wzgórza flagi ich odbiły;
Spieszą z odsieczą.

Po dniu noc nastała;
Czoło księżyca gruba mgła owiała.
Wojska przykryły mroku gęste kłęby,
W dolinie świécą się płonące dęby.
Lochlińcom twardy sen powieki klei,
Śpią, marząc mordy, słodkim snem nadziei,
Że skoro błysną potężne ich miecze,
Hufiec Fingala sromotnie uciecze.
Obóz Morwenu kipi jeszcze gwarem,
Czuwają nad nim wraz Orla z Kalmarem,
Obadwa zbrojni zabójczém żelazem.
Fingal powołał wszystkich wodzów razem.
Na czoło mądre srébrny włos mu spada,
Lecz on ramieniem dzielnie jeszcze włada.
Wiek uszanował mocarza rycerzy.
„Jutro, rzekł, Morwen na wroga uderzy,
Lecz gdzież straszliwa synów mych pawęża?
Erin mściwego wydobył oręża,
Ale niedoszła wieść ta Kutulina;
On w zamku Tura. Któż mojego syna,
Przerznąwszy śmiało wzdłuż obóz Lochlinu,
Uprzedzi, że go wzywamy do czynu?
Potrzeba kroczyć pośród wrogich szyków,
Lecz w około mnie tysiąc wojowników,

Pioruny bitew, mówcie, kto sprowadzi,
Zbrojnego męża do bratniéj czeladzi?“

„Synu Trenmora, odparł czarnowłosy
Orla z poszaną, mniéjsza o me losy!
Błagam-ć, nie odmów mi tego zaszczytu.
Czémże śmierć dla mnie u chwały zenitu,
Gdy bohatérski sen oko me zmrozi?
A zresztą, nic mi strasznego nie grozi.
Lochlin zadrzémał; wezwę Kutulina!
A jeśli padnę, niech bardów drużyna,
Żegnając trupa pieśnią bohatérską,
Tuż przy Lubarze złoży mię rycersko.“
—„O! sam nie zginiesz! nakształt błyskawicy,
Krzyknął namiętnie Kalmar pięknolicy.
Chceszże porzucić mię wodzu Ojtony?
Ramie me silne, gdy wre bój szalony.
Mógłżebym patrzéć sercem obolałem,
Jak cię opasze wróg oręży wałem?
Nie! o, nie, Orlo! nieraz nasze stopy,
Ścigały społem w górach antylopy.
Wspólne biesiady dzieliliśmy nieraz,
Niebezpieczeństwo, przeto, dzielmy teraz!
W Ojtona grocie mieszkaliśmy razem,
Niechże i grób nasz zamkną jednym głazem!“
—„Kalmarze, odparł wódz Ojtony, czemu
Nie chcesz pozwolić mi poledz samemu?

Poco narażać się na śmierć, lub blizny?
Ojciec mój patrząc z powietrznéj ojczyzny,
Na zbroczonego syna wrogów juchą,
Skroń swą posępną rozjaśni otuchą.
Lecz, przyjacielu, matka twa w Morwenie,
Sposobi ucztę na syna uczczenie,
I chciwém uchem łowi śród manowca,
Tętniące kroki wędrownego łowca,
Mniemając że wnet Kalmara popieści.
Niech nie wyrzeka w przystępie boleści,
Że Kalmar poległ obok ponurego
Orli, Ojtony mieszkańca dzikiego,
Zabity groźnych Lochlińców dzidami.
Po cóż jéj oczy mają ćmić się łzami?
Płacz jéj wyklinać Orlę, sprawcę śmierci,
Porąbanego Kalmara na ćwierci?
Żyj! żyj! Kalmarze, a w ciężkiéj żałobie,
Omszony kamień połóż na mym grobie,
Który, rozwścieczon pomstą twą głęboką,
Podlawszy wstrętną Lochlińców posoką,
Usiądziesz z bardem na mojéj mogile,
I z nim zawiedziesz hymny, co brzmiąc mile,
Ucho me, bracie, w grobu nawet cieśni,
Połechcą słodko echem takich pieśni.“
—„Mógłżebym Orlo na twoim pogrzebie,
Płacząc za tobą, godnie sławić ciebie?

Nie! nie! bo jeno przytłumionym dźwiękiem,
Łkałbym kryjomo wciąż rozpacznym jękiem,
O! dusze nasze jednémi chorały,
Uczczą minstrele, sławiąc na świat cały.
Jeden obłoczek będzie nam mieszkaniem,
W jednych rapsodach bardów zmartwychwstaniem!"

I pożegnawszy rycerzy Erinu,
Ku obozowi pomknęli Lochlinu.
Spalonych dębów gasnące płomienie,
Mdło rozjaśniły grube mroku cienie.
Północna gwiazda wyzierając z chmury,
Wiodła przyjaciół ku zamkowi Tury.
Król Swaran zasnął na wzgórzu głęboko.
Szeregi jego, wkrąg jak sięgnie oko,
Leżąc bezładnie, na tarczach znużone,
Złożyły głowy twardym snem uśpione.
Dzidy ich błyszczą w pęki powiązane;
Tleją ogniska niepodopalane,
Snując w obłoki dymu wstęgi bure.
W około cisza, milczenie ponure.
Czasami jeno skały zachichoczą,
Wichrami co się w czeluścia ich tłoczą.
Dwóch bohatérów chyłkiem się przeciska,
Przez nieprzyjaciół sennych koczowiska.
Cudem przebyli już połowę drogi;
Gdy nagle Orli wzrok, Mathon złowrogi

Na puklerz zwieszon, zapalił wściekłością.
Młodzian opętan demoniczną złością,
Podniósł maczugę. Kalmar zatrwożony,
—„Czemu brew marszczysz rycerzu z Ojtony?“
Zapytał słodko; „w okół wrogów tłumy,
Nie jest to chwila wczasu, lub zadumy.“
—„To zemsty chwila!“ wrzasnął wódz szyderczy?
‚Mathon śpi; widzisz ten topór morderczy?
Krew mego ojca ostrze mu rumieni;
Wkrótce Mathona krew mój zaczerwieni!
Ale ugodzićże mam w drzemiącego?
Nie! niech cios ujrzy, co go do zimnego
Zepchnie grobowca, niech obaczy ramie,
Co mu kosteczki na wióry połamie!
Cześć ma śpiącego zabić nie pozwala.
Powstań! Mathonie! powstań! syn Konnala,
Orla, wyzywa cię na bój straszliwy.
Powstań! niech w tobie utopię miecz mściwy!“
Zerwał się Mathon, i wielu zerwało,
Tysiące mężów głos Orli słyszało.
„Uchodź, Kalmarze! krzyknął wódz z Ojtony,
Ja sam z Mathonem zwiodę tan szalony,
Zginę rozkosznie; lecz Lochlin nas zdławi.
Uciekaj! pomrok nocy cię wybawi!“

Grzmotnął. Pękł szyszak Mathona do skroni.
Tarcza wyciekła mu z bezwładnéj dłoni..

Konając runął łbem na pień dębowy,
Gdzie go krwi zalał strumień rubinowy.
Mszcząc go, na Orlę wpadł Strumon jak szatan.
Ale orężem Kalmara rozpłatan,
Który zarazem rozkroił mu oko,
Obok Mathona legł, chlupiąc posoką.
Jak wzdęte burzą oceanu fale,
Tłuką dwie nawy płynące zuchwale,
Starą wścieklizną Lochlińcy zajadli,
Na bohatérskich dwóch młodzieńców wpadli.
Lecz jak korabie śród bałwanów piany,
Prują biodrami żywioł rozhukany,
Tak i młodzianie okrążeni zgrają,
Tłuszczę, wyniosłą piersią roztrącają.
Echami opok odbity szczęk broni,
Usłyszał Fingal, w przyłbicę zadzwoni,
I wnet, ściągnięte wojowników roty,
Wkrąg rozpływają się pośród ciemnoty.
Ryno drży skacząc radością szalony,
Od stóp do głowy Assjan uzbrojony,
Oskar wstrząsając włócznią, budzi dreszcze,
Sztandar Fillana w powietrzu szeleszcze.
Pobojowisko krwawo śmierć przemyka,
Zwycięzki Morwen zdusił napastnika.

Ranny świt lekko kurhany pobiela;
Jednak żywego tam nieprzyjaciela,

Nikt nie dopatrzy; lecz dolina cała,
Stosami trupów, gdzie zajrzéć, czerniała.
Podmuchy morza włosy im kołyszą,
Lecz jego szumów oni już nie słyszą.
Stada krążących sępów nad zdobyczą,
Wietrząc biesiadę, przeraźliwie krzyczą.

Cóż to za młodzian, którego włos lniany,
Zwisa na kadłub krwią zafarbowany?
Lśniący jak bursztyn, warkocz jego złoty,
Spływa na druha hebanowe sploty.
Włosów tych czarne i płowe pierścienie,
Na czoło martwe już, rzucają cienie.
Pochylon Kalmar to nad Orli głową.
Krew z ich szerokich ran, wstęgą ponsową,
Bucha falami purpurowéj rzéki.
Legł dziki Orla, ale z pod powieki
Błyszczą mu oczy okropnym wyrazem.
Dłonie przyjaciół zaplotły się razem.
Ale w Kalmarze pełga jeszcze życie.
—„Powstań o synu Mory, wstań me dziécię!"
Zawołał Fingal, „do mnie to należy,
Wygajać rany Morwenu rycerzy.
Powstań! Kalmara stopa jeszcze z nami
Nieraz, uganiać będzie za sarnami!"

—„Nie! odparł Mory syn." Nie! on nie wstanie
Z czarnéj mogiły na twe polowanie.

Cóż mi bez Orli po kurhanach łowy?
Z kimże podzielę krwawy łup bojowy?
Orla nie żyje. Dusza niegdyś dzika,
O! najdroższego mi, wiesz! nieboszczyka,
Rzeźwiła moją gdym był zasmucony,
Jak rosa kwiatów powiędłe korony.
Dla innych lśniąc jak grzmotu groźne błyski,
Gdy z chmur wyrzuca płomienne pociski,
Świeciła ona dla Kalmara, brata,
Niby łagodna księżyca poświata.
Broń moją, Morze, matce méj oddacie,
Niech ją zawiesi w samotnéj komnacie.
Wiele krwi ona Lochlinu wypiła,
Lecz mego Orlę, mi nie ocaliła.
Wrzućcie nas bracia do jednego grobu,
I jedną pieśnią pożegnajcie obu."

Wspólnéj mogile ich, Luboru szumy,
Pluskiem fal, szemrzą wciąż samotne dumy.
A nad nią piętrząc się kolumna szara,
Strzeże zwłok w pustkach Orli i Kalmara.

Swaran pobity; po lazurze wody,
Nawy Morwenu mężów mkną w zawody.
Wichry na falach rączo je unoszą,
A bard i dzieje czyny nam ich głoszą.

Cóż to za widmo, krążąc po nad chmury,

Z obłoków rzuca jakiś cień ponury?
Jakież widziadło to tak się czerwieni,
Śród gzygzakowych błyskawic płomieni?
Straszny głos jego, grżmiąc w górze, śród burzy,
Rykom piorunu, mrukom gromu, wtórzy.
To Orla! Orla! groźny wódz z Ojtony!
Orla! w szermierce mąż niedościgniony!
Pokój twej dzielnéj duszy, chwałać wieczna!
Lecz i Kalmara dusza tak serdeczna,
Zdobyła sobie równą twojéj sławę.
Oko twe, synu Mory, było łzawe,
Lecz miecz straszliwy. Teraz on, dostojnie
Uświęcon w zamku twym, wisi spokojnie.
Duchy poległych tylko, za swe męki,
Go oskarżają płaczliwémi jęki.
Kalmarze! słuchaj hymnów, które tobie,
Bohaterowie po tobie w żałobie,
Żałośnie w hołdzie raz po raz składają,
Aż je Morwenu echa odtętniają.
Rozwiń twych włosów złociste promienie,
Na łuku tęczy zawieś ich pierścienie,
A gdy nad nami niebo się zachmurzy,
O! to uśmiéchnij się do nas śród burzy. (*)

(*) Nie ulega już wątpliwości, że *Mac-Pherson* nie przekładał, ale sam stworzył swego *Assjana*. Kto bądź zresztą jest autorem, dzieło nie traci swych zalet, a to mdłe naśladownictwo podoba się może wielbicielom mniemanego barda Szkockiego.

(**Lord Byron**).

DO

THYRZY.

(Wolny przekład).

I.

O! czemuż ciebie wrzucono do dołu,
A głaz nie przykrył kości twych popiołu,
Coby rzekł światu bez zarumienienia,
Żeś godną była większego uczczenia?
Acz rozgrodzeni lądem i morzami,
Kochałem ciebie próżno wspomnieniami,
Lecz moje żale wszystkie, i nadzieje,
Wprzęgły się w życia twojego koleje.
Nie obaczymy się już! gdybym jeszcze
Służąc ci, kiedy ci śmiertelne dreszcze
Usta zmrażały, usłyszał lękliwie,
Imię me, z cicha wyszeptane tkliwie.
Gdybyś, przynajmniéj, w rozstroju konania,

Spojrzała na mnie, wzrokiem pożegnania.
Możeby dusza ma nie tak szalała,
Widząc, jak twoja do nieba leciała,
Śmierć cię piorunem, bez bólu sprzątnęła.
Nigdyżeś, nigdy, niegdyś nie pragnęła,
Tego, co go już nie ujrzy twe oko,
Co się zagrzebał w sercu tak głęboko?
Któżby, z rozpaczą, jak on, niemą, czuwał,
Nad wątkiem dni twych, gdy się już dosnuwał?
Któżby wpatrywał się, jak on, w twe oczy,
W téj strasznéj chwili, gdy je śmierć już mroczy?
W któréj milczący ból, łzy nie wysączy
Z wyschłego oka, aż wszystko się skończy?
Lecz gdyś rzuciła ten padół niedoli,
Płacz mój krępowań łańcuchami woli.
Byłby trysł, niby z wezbranéj łzawnicy,
Z téj posągowéj ócz moich martwicy.
Jakżeż nie płakać! gdy nam przeszłość cała,
Takim uroczym uśmiéchem się śmiała?
Nigdy nam czoła nie sępiły smutki,
Nim pożegnałem ciebie na czas krótki.
O! nie zapomnę spójrzeń tych, ukradkiem
Słanych mi, których szczęsnym byłem świadkiem.
Ani uśmiéchów ustek twych wrażenia,
Których nie pojął nikt nigdy znaczenia.
Tych myśli sobie powierzanych skrycie,

Rąk twych drgających w uścisków zachwycie,
I pocałunków tych, tak czystéj bieli,
Że i anieli marszczyć się nie śmieli.
Wzrok twój świętością taką się płomienił,
Że nawet cześć mą dla ciebie czerwienił.
Zda mi się, dzwonią mi jeszcze te pieśnie,
Co mię trzeźwiły gdym marzył boleśnie.
Bo seraficzne te, z nieba piosenki,
W twych ustach jeno dla mnie miały wdzięki.
Ja mam pamiątkę po tobie, gdzież twoja?
Gdzieżeś ty sama? gdzie? kochanko moja!
Nieraz dni moje sępił mrok ponury,
Lecz teraz ćmią je najczarniéjsze chmury.
Wionęłaś do twéj niebieskiéj ojczyzny,
Abym wychylał sam puhar trucizny.
Jeśli spokojem tylko grób nas darzy,
Więcéj natręctwo me go nie znieważy.
Lecz jeśli skronie twe opromieniono
W niebie, błyszczącą cnót twoich koroną,
Zeszlij mi pociech twoich odrobinę,
Coby zabiwszy cierpień mych przyczynę,
Nauczyły mię, jak przenieść twą stratę,
I z tobą szczęścia całego utratę,
Którém darzyłaś mię tak, dając siebie,
Że nie pragnąłbym innego i w niebie.

11 października, 1811.

II.

Już mię nie smucą dziś dźwięki smucące,
Ani weselą niegdyś weselące,
Albo sam od nich uciekam gdzieś zdala,
Nie śmiąc wsłuchiwać się w pieśń co rozżala,
Lub wywołuje szczęśliwsze wspomnienia.
Milcz lutnio moja! nie przerwę-ć milczenia!
Napróżno gorzko śnię, jak nieraz śniłem,
O tém czém jestem, lub czém niegdyś byłem.

Głos który dla mnie śpiéwał piosnki mile
Umilkł, i wszystko legło z nim w mogile.
\ najpiękniéjszych dzisia głosów chóry
'nią mię, jak hymn smętarzy ponury,
..eszając postać mi twą, święty prochu!
Boś rozsypała się już w proch w twym lochu.
Srébrne ich dźwięki srożéj rwą mi serce,
Niż dyssonanse w akordów rozterce.

Głęboka cisza roztacza się głucho,
Lecz jakieś echo muska o me ucho,
I głos co winien dawno się uciszyć,
Którego muszę mimochętnie słyszéć.
Często on trzęsie duszą mą zwątloną,
Budzi z drzémiączki głowę rozmarzoną,

Zrywam się! senne przytulić widziadło,
Znikło!... lecz echo w głąb duszy zapadło.

Kochanko moja! czuwam, czym uśpiony,
Jesteś już dla mnie jak sen uwielbiony,
Gwiazdką, co chwilkę nad falami lśniła,
I wnet na zawsze blaski swe zgasiła.
Lecz człowiek mierząc życia ścieże kręte,
Gdy nad nim niebo chmurą obciągnięte,
Żałuje wiecznie gwiazdy ukochanéj,
Téj przewodnicy, śród pustki nieznanéj.

6 Grudnia, 1811.

III.

Jeszcze chwileczka! i już się wyzwolę
Z bolów, a były nie małe to bole!
Jeszcze ostatnie za kochanką żale,
I wracam na świat krążyć w jego szale.
Bo już się wcielić zdołam w ludzi grono,
Do których nigdy nie lgnęło me łono.
Jeśli świat szczęścia dać mi już nie może,
To się i gromów jego nie zatrwożę.

Dzwońcie więc czary na ucztach ochotnie,
Człowiek nie zrodzon by ziéwał samotnie,
Ze śmiészkiem i ja zimno śmiać się raczę,
Lecz z płaczącémi pewno nie zapłaczę.

Nie tak w szczęśliwszych dniach moich bywało;
Któżby rzekł wówczas?... ale już się stało!
Znikłaś, a więc sam kroczę błędną drogą,
Bo niémam nigdzie nic, nic, i nikogo.

Darmo mój bardon brząknąć chce radośnie.
Udany uśmiéch co z bólu wyrośnie,
Wygląda, z troski serca drwiąc nie mile,
Jak wieniec kwiatów rzucon na mogile.
Napróżno grono gwarnych towarzyszy,
Na chwilę burzę uczuć ukołysze,
Szał roznamiętnia nam wybryki ducha,
Lecz serce!... w sercu próżnia, ciemna, głucha.

Lubiłem nocą, w mém osamotnieniu,
Wodzić oczyma po nieba sklepieniu,
Mniemając że ty, zadumaném okiem,
W błękitach jego toniesz także wzrokiem.
Nieraz na głębiach morza, śród fal piany,
Patrząc na tarczę srébrzystą Diany,
I ona widzi ją, mówiłem sobie,
Cyntja świeciła tylko na jéj grobie.

Umiérający, gorączką spalony,
Czując w mych żyłach ołów roztopiony,
Rzekłem gasnącym głosem: Bogu dzięki!
Ona nie widzi przedśmiertnéj méj męki!
Nakształt wolności danéj nieszczęsnemu

Niewolnikowi, z nędz konającemu,
Silna przyroda ma mię uzdrowiła,
W sam czas, gdy ona dawno już nie żyła.

Droga pamiątko jéj, wzięta przed laty,
Gdy życie pachło mi jak wonne kwiaty,
Jakżeś pobladła! jakże smutki moje,
Poodmieniały wszystkie barwy twoje!
Serce co mi się dało, już nie bije,
Czemuż więc moje serce jeszcze żyje?
Zakrzepłe, jako serce nieboszczyka,
Dla czegóż jeszcze boleść je przenika?

Gorzka pamiątko! choć nie raz łzy ronię,
Lubię cię ze czcią pieścić na mém łonie.
Pielęgnuj miłość mą, jak matka, czule,
Lub zdruzgocz serce do któregoć tulę.
Czas zbudzi miłość, ale nie wyziębi,
A nieszczęśliwa, tonie w duszy głębiéj.
Czémże więc miłość dla żywéj piękności,
Przy wulkanicznéj dla zmarłéj, miłości!?

Po Marji (*)
TUŁACTWO.

Stało się! okręt pruje wody słone,
Maszt, jak wachlarzem, białym żaglem błysnął;
Wiatr, przelatując liny wyprężone,
Niby po strunach, tęsknym jękiem świsnął.
Jadę, uciekam gdzieś w daleką drogę,
Bo ciebie jedną tylko kochać mogę.

O! gdybym jeszcze był, czém niegdyś byłem!
Gdybym mógł ujrzéć znów co widywałem,
I o to łono, co tak uwielbiłem,
Oprzéć mą głowę z sercem obolałém,
O! nie rwałbym się tak w nieznaną drogę,
Bo ciebie jednę tylko kochać mogę.

Dawnom już widział te oczy, które mnie
Koleją, szczęściem, lub smutkiem, darzyły.

Chciałem zapomnieć je, ale daremnie,
Nazbyt głęboko w méj duszy utkwiły.
Napróżno rzucam kraj, i daléj w drogę,
Bo ciebie jedną tylko kochać mogę.

Nakształt w pustyni samotnego ptaka,
Wędruję tęskny po świata obszarze.
Obu nas dola, gdzie zajdę, jednaka,
Spotykam wszędy same obce twarze.
A nawet w tłumach czuję większą trwogę,
Bo ciebie jedną tylko kochać mogę.

I pójdę szukać w obczyźnie, ojczyzny,
Przebywszy morza rozhukane tonie;
Bo nie wygoję serca mego blizny,
Aż zeń twój obraz wyrzucę, wygonię.
Wówczas, dopiéro, mary moje zmogę,
Bo ciebie jedną tylko kochać mogę.

Najnieszczęśliwsza istota na świecie,
Znajdzie przyjaciół, jakieś przytulisko,
I miłość, droższą nad przyjaźń, co przecie,
Jéj rozweseli domowe ognisko.
Dla mnie wspomnienia miłości złowrogie,
Bo ciebie jedną tylko kochać mogę.

Jadę, gdziekolwiek poniosą mnie oczy,
Nikt łzy nademną jednéj nie wyleje.

Ty sama nawet, choć trąd co mię toczy,
Ty zaszczepiłaś, rwąc wszystkie nadzieje,
O! ani wspomnisz na me rany mnogie,
Acz ciebie jedną tylko kochać mogę.

Myśléć o chwilach pociechą promiennych,
Czémeśmy byli, a co nas spotkało,
Byłoby mordem i dla serc kamiennych,
Ale me serce i ten cios przetrwało.
I czuję z zgrozą, jedyną tę trwogę,
Że ciebie jedną tylko kochać mogę.

Gdzież ten ideał, gdzie, tak ubóstwiony?
O! nikt go z gminu nigdy nie odgadnie.
Lecz ty wiész dobrze, dla czegom strącony
Z mojego nieba, przez ciebie, tak zdradnie.
A jednak, jednak, siebie nie przemogę,
I ciebie jedną tylko kochać mogę.

Pragnąłem innym święcić me płomienie;
Ich wdzięk twojemu może dorównywał.
Lecz coś mroziło to duszy pragnienie,
Bo ją twój obraz kirem swym przykrywał.
Więc oczarowan gorzko, czułem trwogę,
Że ciebie jedną tylko kochać mogę.

Radbym gdzieś jeszcze kiedyś spotkać ciebie,
Pobłogosławić cię na Przyszłość całą;

Lecz nie chcę—na tym serc naszych pogrzebie
By oko twoje nademną płakało.
Wszystko straciłem; dalejże więc w drogę,
Bo ciebie jedną tylko kochać mogę!

(*) *Mary Chaworth*, później *Mistriss Musters*. Przytaczam wyciąg z niewydanego listu Lorda Byrona, napisanego na trzy dni przed wyjazdem jego z Włoch do Grecji.

„Miss Chaworth o dwa lata była starszą odemnie. Wyszła za mąż za człowieka starożytnego rodu, ale małżeństwo jéj nie było szczęśliwsze od mego. Po kilkoletniéj rozłące, pewnego razu, spotkaliśmy się wypadkiem. Chciałem już, upoważniony przez nią, odwiédzić ją u niéj, ale ma siostra, która zawsze miała więcéj wpływu nademną od wszystkich, odradziła mi to stanowczo:

„Bo, jeśli pójdziesz do niéj, rzekła, znowu się w niéj zakochasz; coś między wami zajdzie, jakaś niespodzianka wywoła drugą, i nie potrzebnie to się rozgłosi.“

Usłuchałem ją, i wkrótce potém ożeniłem się; a jak szczęśliwie? niéma co o tém wspominać.“

Do Mary. (*)

Gdyby twe losy z mojémi związano.
Jak mi się czasem w snach moich roiło,
Żadnych by szaleństw mi nie wymiatano,
Bo nicby szczęścia mojego nie ćmiło.

Tobiem to winien wszystkie me dziwactwa,
Pioruny mędrków co na mnie spadają.
Znają me błędy, lecz że twe matactwa
Tak przetworzyły mnie, tego nie znają.

Niegdyś ma dusza jak twoja niewinna,
Mogła powściągać wybryków popędy.
Lecz dziś jam inny, o! i ty dziś inna;
A więc, na oślep, targam wszelkie względy.

Mamże kląć mienie twego oblubieńca?...
Niech go Bóg darzy pociechy ciągłémi.

Ja mu nie zerwę weselnego wieńca,
Bo miłość dla cię ma nie była z ziemi.

Odkąd na zawsze ciebie postradałem,
Serce me wdowie błąka się bez celu.
Więc, czego próżno u jednéj szukałem,
A nuż! sprobuję, poszukam u wielu.

Żegnam cię! żegnam! i po cóż te żale?
Co tu kłamliwa nadzieja pomoże,
Lub niedołężne wspomnienia? tak! ale,
Duma zapomniéć cię, nauczyć może.

A jednak, lata me tak marniejące,
Te me miłostki, pozornie płomienne,
Te niespodzianki, matki tak trwożące,
Te dla piękności wiérszydła codzienne.

Nie było-b tego, gdybyś była moją!
A twarz skrajaną bruzdami swawoli,
Opromieniło-b pod opiéką twoją,
Wdzięczne ci serce nimbą aureoli.

Niegdyś pól widok oczy me pociągał,
Bo do cię, zda się, Natura się śmiała.
A z zalecanek innych, jam urągał,
Tak w tobie dusza ma tonęła cała.

Lecz dziś by wybrnąć z myśli mych odmętu,
W którymby można oszaléć z boleści,

Szukam roztargnień, w ucztach, mimo wstrętu,
Lub w saturnaljach, acz to mię bezcześci.

I tam a jednak, tęsknotą tajemną,
Nie raz żal tak mi gorzko wsiąka w duszę,
Żeby się szatan zlitował nademną,
Gdyby z swych piekieł dostrzegł me katusze.

(*) *Mary Chaworth*, wówczas pani *Musters*! Wolny przekład.

Do Przyjaciółki. (*)

Co! ty masz płakać na moim pogrzebie!
O! powtórz jeszcze słowa te życzliwe.
Lub nie mów, jeśli one smucą ciebie,
Bo nie chcę, nie chcę, drażnić serce tkliwe.

Me serce zwiędło, złudy me rozwiane.
Krew, krzepnąc, zimno płynie w mojém łonie.
A gdy zastygnie już, i żyć przestanę,
To wiém, że wspomnisz o mnie, po mym skonie.

A nawet, nawet, jak śród chmur pomroku,
Czasem lśni miło promyczek słoneczny,
Tak i mnie miła, w goryczy natłoku,
Myśl, że opłacze mnie twój żal serdeczny.

O! błogosławię was! łzy, wyciśnięte.
Przeczutą, niemą przyjaciół rozpaczą.

Bo to perełki święte, dwakroć święte,
Dla tych co nigdy nad sobą nie płacz.

O! Błogosławię was! Niegdyś ma dusza,
Jak twoja, obcych dzieliła cierpienia;
Lecz tamtéj pamięć dziś już mnie nie wzrusza,
Może z boleści, może z oburzenia.

A więc zapłaczesz na moim pogrzebie!
O! powtórz jeszcze słowa te życzliwe.
Lub niemów, jeśli one smucą ciebie,
Bo nie chcę, nie chcę, drażnić serce tkliwe.

(*) Wolny przekład z *Byrona*.

Do
LADY BLESSINGTON.

Chcesz mego rymu: byłoby szaleństwem,
Aby poeta nie spełnił twéj woli.
Lecz Hipokrena ma ducha męczeństwem
Palona, w sercu mém wyschła powoli.

O! gdybym jeszcze był czém niegdyś byłem!
Śpiewałbym chętnie co Lawrence malował; (*)
Lecz mój ochrypły głos, dźwiękiem nie miłym,
Taki cudowny temat by zmarnował!

Żar mego ducha dawno już spopielał,
Poeta skonał w sercu mém nie żywém.
Młodość minęła, czarny włos pobielał,
Com niegdyś kochał, czczę tylko z podziwem.

(*) Alluzja do pysznego portretu *Lady Blessington*, odmalowanego przez *Sir Tomasza Lawrence*.

Życia mojego nie mierzyć latami,
Nieraz zatrute kolce je krwawiły,
Które zorawszy czoło me zmarszczkami,
Głębszémi bruzdy duszę mą pokryły.

Niech jędrna młodość nastroiwszy lutnię,
Sławi, w co jeno mogę się wpatrywać;
Bo struny mojéj, porwane okrutnie,
Nie zdołałyby godnie cię wyśpiéwać.

ODPOWIEDŹ
LARY BLESSINGTON.

Gdym cię o kilka wierszyków błagała,
Nie pycha, wierz mi, mną powodowała,
Bo mię zwierciadło nie oszuka przecie,
O! nie rozgrzeję już serca poecie!

Czas twardą dłonią starł mi już z oblicza
Kwiat, co mu wdzięku całego użycza.
Byłoby czynem więc, niecnym, próżności,
Żebrać o hołdy należne piękności.

Lecz jako pątnik, co mu z relikwjarza,
Unieść świętego relikwję się zdarza,
Pragnę pamiątki twojéj która wszędzie,
Mi towarzyszyć jak relikwja będzie.

O! nie mów żeś już zarzucił twą lutnię,
Co nam jęczała słodko tak i smutnie,

Nie mów, że usta te już oniemiały,
Co nam takiemi skarbami sypały.

A jeśli troski gryzły-ć tak boleśnie,
Że aż włos kruczy ośnieżał przedwcześnie,
To liść wawrzynu co twą skroń oplata,
Upiększa klęski ci ich w oczach świata.

SPIS.

OMYŁKI DRUKU
dojrzane w pobieżnym przeglądzie.

Strona	*Wier.*	*Druk.*	*Czyt.*
29	9	*nieuctwa,*	nicestwa.
60	15	*Dzielnicy*	Dzielnicę
77	13	*w mnie*	w nie
123	23	*marą*	marę
138	12	*wartowałem*	wertowałem
163	21	*sprzymierzy*	sprzymierzy.
165	21	*podołać*	podolać;
192	4	*nieszczęście*	nie szczęście
264	6	*bólu*	bolu
266	4	*kwiaty*	kwiaty,
269	9	*Roztwiera*	Roztwiera.
272	13	*gwiazd.*	gwiazd,
299	4	*trupem*	z trupem
323	6	*bólu*	bolu